

KULTURA

MUZYKA

FILM

ROZRYWKA

SPORT

ISSN 1730-1971
indeks 376426

BLEK

Nr 2
marzec
2003
8 zł
(w tym 7% vat)



TYLKO U NAS!

SAMUEL L. JACKSON

RZA

TEDE

FISZ

OWAL

JAJONASZ

IGS

HALLE BERRY

Agencja Independa in association with Ringz & Partners Entertainment Group present

JEDYNY KONCERT W POLSCE



RZA/CILVARINGZ EUROPEAN TOUR

RZA

WU-TANG CLAN

support:

CILVARINGZ (WU-TANG)
+ Surprise Wu-Tang Acts

PFK KOMPANY

FOKUS RAHIM SOT DJ HAEM

DJ FEEL-X

MAD CREW

25 MARCA

WARSZAWA, KLUB STODOŁA

WJAZD OD 18:30



radiostacja

onet **onect**

AKTIVIST
www.aktivist.pl

dos dedos
www.dosdedos.pl
supermagazin

empik news

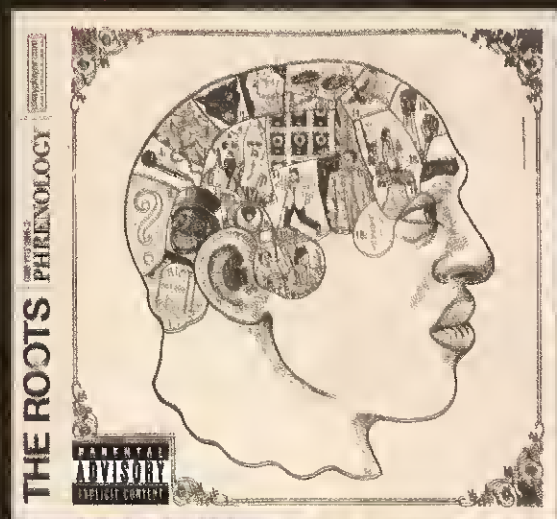
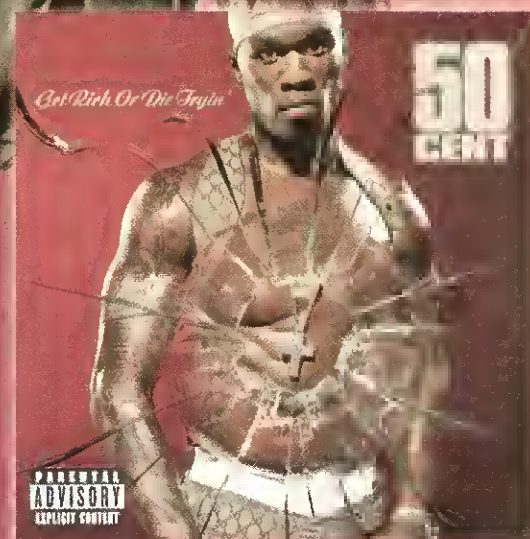
BLEK

Magazyn Hip-Hop.pl



info o koncercie, biletach, rezerwacje: 0-22 8256031, 0-32 2597296, independa@o2.pl

Get Rich Or Die Tryin'



NOWY ALBUM

THE ROOTS phrenology





www.igs.prv.pl

WYDAWCA
Blek Sp. z o.o.

REDAKTOR NACZELNY
Piotr Kozłowski

ZASTĘPCA RED.
NACZELNEGO
Piotr Buchalik

SEKRETARZ REDAKCJI
Kamil Kasner

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Keb, Seth, Dotzent, Flintstone,
Renia, Cess, Rudas, Eskaubei

WSPÓŁPRACOWNICY
Hirek Wrona, Emes, Ilona,
Jakuza, Effes, Playette, Tpix

KORRESPONDENT Z
HOLLYWOOD
Yola Czaderska-Hayek
(wywiady; copyright)
Tłumacz: Krzysztof Lipka-
Chudzik

REDAKTOR WWW
Piotr Jach

GRAFIKA, SKŁAD,
ŁAMANIE
Sebastian Miłosek

ADRES REDAKCJI
05-870 Błonie
ul. Faszczycza 7
tel./fax. (022) 725-38-80
e-mail: redakcja@blek.pl

Redakcja nie odpowiada za
treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń oraz nadesłanych
listów, zdjęć i wszelakich
tekstów.

Redakcja zastrzega sobie
prawo do adyustacji, skracania
i zmiany tytułów tekstów oraz
obróbki zdjęć.

SPIIS TREŚCI

LUDZIE

- 10 **Nelson Mandela** BIOGRAFIA
- 11 **Fisz** BEZ KOMPROMISÓW
- 14 **Samuel L. Jackson** WYWIAD YOLI
- 18 **Halle Berry** CZARNULKA NUMERU
- 23 **Owal/Emcedwa** RAPNASTYK
- 28 **RZA** FILOZOF Z WU-TANG CLANU
- 30 **Jajonasz** PRZERAP, PRZEBITY, PRZESTUDIO
- 35 **Tede** MA JUŻ NIEZŁY FEJM W BLOKU
- 40 **Bob Marley** PROROK RASTA
- 56 **Hlhat** CHOREOGRAF HIPHOP WU-TANG NIE TYLKO
- 64 **O.S.T.R.** RZUCIŁ 20 HASEŁ
- 65 **Koligacja G.K.** TO IDZIE MŁODOŚĆ
- 70 **Erykah Badu** KRÓLOWA SOULU
- 71 **Ice Cube** KONTROWERSYJNY WIEC

FELIETONY

- 59 **Czarny Kot, Biały Kot** ÓSMA MILA
- 34 **Okiem Oldskula** HIREK WRONA
- 77 **Beka Keba** LET'S TALKI
- 78 **Czarna Robota** KLANSTROFOBIA

ARTYKUŁY

- 27 **Historia Koszykówki** JOHN NAISMITH
- 33 **Bojkot Autobusów** ZACZĘŁA ROSA PARKS
- 62 **Jedyny Taki Weekend** NBA ALL-STARS

RECENZJE

- 61 **Klasyka** MARVIN GAYE
- 42 **Płytoteka** PONAD 30 RECENZJI
- 54 **Filmoteka** FILMY STARE I NOWE
- 58 **Biblioteka** BIAŁE ZĘBY ZADIE SMITH
- 64 **Czarna Seria** OBLICZA NOWEGO JORKU
- 76 **DVD** SZEŚĆ KRAŻKÓW KTÓRE WARTO MIEĆ

RUBRYKI STAŁE

- 6 **Listy** PIERWSZE OPINIE O BLEKU
- 7 **Newsy** MUZYCZNE
- 8 **Newsy** FILMOWE
- 9 **Newsy** SPORTOWE
- 26 **Hebanowy Heros** BLADE
- 60 **Netowe Spacery** INTERNET
- 69 **Z Czarnej Dziury** UNDERGROUND
- 72 **Hot Spot** ŻYCIE GWIAZD R'N'B
- 73 **Krzyżówka** PŁYTY DO WYGRANIA

Listy

Cześć!!!!!!!

Właśnie przeczytałam pierwszy numer gazety BLEK. Uważam, że takie pismo powinno powstać o wiele lat wcześniej. Od paru lat fascynuje mnie czarna muzyka (soul, gospel, r&b, hip-hop, rap). Co chwila odkrywam nowe brzmienia, dźwięki - uważam, że może być inspiracją dla innych. Staram się być na bieżąco jeśli chodzi o muzykę. Gdy zobaczyłam okładkę pisma pomyślałam, że nareście jest polska gazeta tylko o czamej kulturze, muzyce, filmie, rozrywce i sporcie. Pełna entuzjazmu kupiłam waszą gazetę. Uważam, że jest super i jedyna w swoim rodzaju. Ale zawiódłam się na was, znowu powstała gazeta, w której piszecie o polskim hiphopie. Nie krytykuję tego rodzaju muzyki, ale uważam, że za dużo jest już artykułów na ich temat. Jakbym chciała poczytać o polskim hiphopie to mam już KLAN, ŚLIZG i parę innych gazet. Chciałabym wręcić gazetę tylko o muzyce z zachodu. Uważam, że niepotrzebne są strony o polskich wokalistach hip-hop. Chciałabym, aby w gazecie pojawił się rozdział PANTEON SŁAW - gdzie przedstawiane by były gwiazdy (piosenkarze, aktorzy, politycy itd.) które wywarły duży wpływ na muzykę i historię, a już ich nie ma, lub zakończyli swoje kariery (AALIYAH, LEFT EYE z TLC, 2PAC, NOTORIOUS B.I.G. i inni). Np. do tej pory nie wiem kiedy i jak zginęła LEFT EYE z TLC, a uważam, że była wspaniałą wokalistką i powinno się ją przypomnieć. Dobry jest pomysł, aby przedstawiać gwiazdy, które dopiero zaczynają karierę. Czy mogli-byscie włączyć gwiazdy znane w Stanach, a w Polsce znane tylko nielicznym np. BABYFACE, D'ANGELO. Są bardzo znani w U.S.A., a w Polsce dość mało osób o nim słyszało. Oczywiście jest dużo innych takich gwiazd, które zasługują na opisanie. Czy moglibyście dodawać przynajmniej jeden plakat do waszego pisma. Czy moglibyście zrobić kącik dla fanów waszej gazety. Ja osobiście chciałabym poznać innych ludzi o podobnych zainteresowaniach do moich - takich ludzi nigdy za wiele. Pomimo, że dość sporo napisałam co moglibyście zmienić w waszej gazecie, to jednak uważam ją za bardzo dobrą. Mam nadzieję, że nie znikniecie z rynku i staniecie się częścią życia fanów hip-hopu i soulu. Życzę wam dużo dobrego i mam nadzieję, że będziecie jedyną niepowtarzalną i oryginalną gazetą w swoim rodzaju. P.S. Czy moglibyście napisać coś o wokaliście USHER, KANDI i D'ANGELO. Uwielbiam tych wokalistów, ale w żadnej polskiej gazecie nie mogę zdobyć informacji na ich temat nie mówiąc nic o posiadaniu choćby jednego plakatu. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości będziecie mogli spełnić moją prośbę.

LILMO

Od redakcji: Bardzo dziękujemy za ciepłe słowa. Cieszymy się, że w końcu znalazłaś pismo dla siebie. Co do polskiego hip-hopu: musisz zważyć na to, że, czy to się komuś podoba czy nie, nie wziął się nagle z kosmosu, ale powstał dzięki temu, iż kilka dekad wcześniej zapoczątkowali go Afro-Amerykanie. Dlatego też jest częścią (tak samo jak hip-hop afrykański, japoński czy norweski) całej tej wspaniałej kultury, o której piszemy. Nigdy nie będzie tak, że czytelnicy będą stuprocentowo zgodni. Jedyną fascynującą w BLEK'u muzyką, jedynym film, innym sport. Ci wolą felietony, tamci wywiady, jeszcze inni recenzje. Dlatego też BLEK ma 80 stron, by każdy mógł wybrać i znaleźć coś dla siebie. Nad plakatem obiecujemy pomyśleć, nie Ty jedna się go domagasz, więc może niebawem... Jeśli chodzi o wymienionych przez Ciebie wykonawców, gwarantujemy, że przeczytasz coś o nich już w najbliższych numerach. W tym numerze znajdziesz dwa nowe stałe działy poświęcone uwielbianej przez Ciebie muzyce soul/r'n'b - Hot Spot i Soul Food - mamy nadzieję, że to, i nie tylko to, Cię usatysfakcjonuje.

Siemano.

Chcieliście by pisać jak się podoba pierwszy numer Bleka, więc piszę. Jedyne zastrzeżenia mam do formy graficznej, tzn. kolorystyka ogólnie jest fajna, ale moglibyście stosować mniej barwnych kolorów, przydałyby się cieplejsze. Ale przynajmniej jest adekwatna do treści co mi się bardzo podoba - jak o Kingu to smutny czarno-biały, jak o modzie to jaskrawy - i tak powinno być. No i jeszcze błędy - źle podzielone wyrazy na sylaby i za duża czcionka wg mnie. Ale wiem że początki bywają trudne i wiem też że będzie coraz lepiej bo w Was wierzę, nikt od razu nie jest alfą i omegą. Przejdę do najważniejszej rzeczy czyli strony merytorycznej - powaliłicie mnie. Skoro nr 1 przeczytałem od deski do deski i zajęło mi to naprawdę sporo (przyjemnie spędzonego) czasu to wyobrażam sobie Was za parę numerów i morda sama mi się cieszy! Nie będę wymieniał tu wszystkich 80-ciu stron, napiszę co jest wg mnie najlepsze. Po pierwsze recenzje - macie najdłuższe ze wszystkich pism jakie znam i macie ich dużo, nie może być lepiej, właściwie mogę stwierdzić że jesteście jedynym pismem zamieszczającym RECENZJE, a nie jakieś notki krótkie o płytach. Po drugie wywiady - świetne głównie z zagranicznymi gwiazdami - duże brawa dla Yoli Hayek i Setha. Najlepszy wywiad: Sticky Fingaz, uśmiechał się do lez z tego wariata. Po trzecie artykuły - szczególnie przypadł mi do gustu ten o niewolnictwie Renii - jest ciekawy, widać że napisany z dużym zaangażowaniem. Fajnie że dopuszczacie też laski do głosu, jest różnorodnie, macie w ogóle bardzo silną „załogę” - mało w jakim piśmie podobają mi się style wszystkich piszących i super że są to też kobiety (bo czy jest coś lepszego na tym świecie?) i to jest TO. Wiem że tu będę dziwny i w opozycji do większości, która zapewne stawia na muzykę i film, ale proszę: więcej takich historycznych tekstów! Nie mam niestety dostępu do internetu, a naprawdę bardzo mnie to interesuje, a w żadnej innej gazecie o tym nie przeczytałem. I tak mógłbym w sumie pisać jeszcze co jest w Bleku dobre i pisać i pisać... ale już skończę. Mam tylko nadzieję, że nie podzielicie losu niektórych naszych magazynów i będziecie się ukazywać jeszcze dłużej. Trafiłicie z Blekiem w 10.

Czarek

Od redakcji: Twój list jest znakomitą dowodem na słuszność naszej argumentacji w odpowiedzi na list LILMO. Nie jesteś dziwny, wprost przeciwnie - przedtem mieliśmy pewne obawy czy historyczne teksty zainteresują dzisiejszą młodzież - teraz mamy ogromną satysfakcję, że te obawy okazały się bezpodstawne. W tym numerze również znajdziesz na pewno coś dla siebie, oczywiście najbardziej polecamy Ci artykuł o bojocie autobusów. Ucieszysz się też zapewne ponowną mnogością recenzji i jeszcze większą liczbą wywiadów. A czy jest coś lepszego na tym świecie od kobiet? Zdecydowanie NIE!



Hmm... Zaczęć od strony graficznej. Po tych wszystkich „wrzaskach” i „krzykach” w internecie spodziewałem się czegoś dużo słabszego, a tu... wcale nie jest tak źle, a nawet jest spoko. Przyjemna oprawa, której przydałyby się może małe poprawki (przede wszystkim jakoś niektórych fotek jest raczej kiepska, ale to chyba łatwo zmienić w przyszłych numerach). Treści. Najlepsza zbiórka tekstów z wszystkich magazynów. Jeśli coś mnie interesuje to wiem, że przeczytam tu o tym dobry tekst. To jest chyba najważniejsze. Działy. Newsy - ciekawie, zarówno jeśli chodzi o muzykę, film czy sport (a może raczej NBA). (...) Artykuły. Wiadomo, potrzebne. W tym numerze dużo o Martinie Lutherze Kingu, przeczytałem wszystko. Bardzo fajnie napisane i interesujące. Szczególnie tekst o morderstwie. Taki watek historyczny zawsze mile widziany (przeze mnie). Czarnulka numeru - na plus. Wywiady. Oczywiście powinny być, ale... chodzi mi o rozmowy z polskimi wykonawcami, bo do pozostałych nie mam zarzutów. Dizkret - chyba udzielał ostatnimi czasy już kilku wywiadów, więc jego obecność w tym czasie może nie była wskazana, kiedy przeczytałem niedawno kilka wcześniejszych rozmów z nim. HST - ten człowiek chyba nie ma zbyt dużo do powiedzenia. Dj Panda - na plus. 20 pytań do Mesa - moim zdaniem całkiem nie potrzebne, hmm nie dowiadujemy się z niego raczej nic ciekawego, chociaż i tak nie udaje się nam przeczytać całych wypowiedzi, wiadomo dlaczego. Co do takich wywiadów proponowałbym ludzi, o których było lub niedługo może być głośno (ale nie kolejny wywiad z Dizkretem, np. w tym wypadku Lona, może Pezet (ostatnio mało o nim, a coś się chyba zapowiada... teraz można na spokojnie o tym porozmawiać)), ale nie będę więcej wymieniał konkretnych przykładów, sami pewnie wiecie lepiej. Jednak staranność przy zadawaniu (wymyślaniu) pytań zauważona. Recenzje - ho ho, zajebicie. Konkretnie i dużo. Tak powinno być. Filmoteka - fajnie, tylko może trochę za dużo. Biblioteka - też ciekawa, zachęca do czytania książek. Czarny humor - na plus. Kalendarium - też może być, można dowiedzieć się czegoś ciekawego. Jest jednak coś, czego moim zdaniem brakuje. Wiem, że to BLEK, ale... może jakiś mały kącik o europejskim rapie, takim np. ze Skandynawii... to byłoby bardzo ciekawe, przynajmniej dla mnie, chociaż możliwe, że nie tylko. „Artyści vs Krytycy” - nareszcie ktoś poruszył ten temat oficjalnie. No dobra, tyle starczy. Pozdrowki.

Od redakcji: Wielkie dzięki za szczegółową opinię. O europejskim hiphopie również będziemy pisać, nie zawiedziesz się. Pozdrowki.

MUZYKA

NEWSY



Dr. Dre zaprosił do współpracy nad swoją nową płytą **Burta Bacharach**, 75-letniego legendarnego kompozytora, który współpracował z takimi gwiazdami jak: Marlena Dietrich, The Carpenters, Elvis Costello, Nat King Cole, Paul Anka, Tom Jones, ma na koncie kilka Oscarów za muzykę filmową (m.in. do „Butch Cassidy i Sundance Kid”) oraz takie przeboje jak „What The World Needs Now Is Love”, „What's Up Pussycat?”. *„Dre przesłał mi pliki z nagraniem bitami i samplami i powiedział, że mogę z nimi zrobić wszystko, co mi się podoba. To nie będą zwykłe piosenki, to będą kompozycje, coś bardzo in-teresującego.”* - powiedział Bacharach.

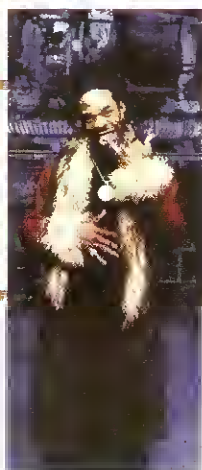


23 lutego rozdano nagrody **Grammy**. Nagroda za najlepszy hip-hopowy album 2002 roku przypadła **Eminemowi** („The Eminem Show”). Najlepsza piosenka r'n'b to „Love Of My Life” Erykah Badu i Common'a. Dwie statuetki dostał Nelly, po jednej: Missy Elliott, OutKast, Ashanti, Mary J. Blige, Usher oraz Chaka Khan.



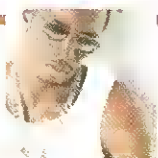
Chris Gotti, prezydent Murder Inc Records, brat Irv'a Gotti, został postrzelony w nogę, kiedy opuszczał konferencję dotyczącą magazynu The Source. Wcześniej był on zamieszany w strzelaninę podczas której został ranny 50 Cent.

Przed ceremonią rozdania nagród Grammy, ktoś podziurawił z broni automatycznej limuzynę **Busta Rhymes'a**, na szczęście nikogo nie było w samochodzie. Podejrzewa się, że zamach jest konsekwencją trwającego od dłuższego czasu konfliktu w środowisku raperskim.



Suge Knight, założyciel wytwórni Death Row, został zwolniony z więzienia. Przebywał tam od 23 grudnia zeszłego roku, po tym jak złamał postanowienia zwolnienia warunkowego - został zatrzymany w towarzystwie członków znanego gangu. Knightowi zostało już tylko do odpracowania 200 godzin w czynnie społecznym.

P. Diddy, **Jay-Z** oraz **Missy Elliott** założyli fundację Musicians United To Win Without War. Wierzą oni, że spór z Irakiem można rozwiązać bez użycia przemocy. Diddy twierdzi, że jest bardziej popularny niż Bush i zamierza to wykorzystać aby przekonać opinię publiczną oraz administrację, że wojna nie jest konieczna.



Mimo ostatnich skandali i posądzeń o pedofilię, nowa płyta **R. Kelly'ego** „Chocolate Factor” sprzedaje się świetnie. W pierwszym tygodniu od premiery kupiło ją ponad pół miliona amerykańców. Do momentu wyjścia płyty Kelly'ego, na pierwszym miejscu najlepiej sprzedających się płyt hip-hopowych było „Get Rich or Die Tryin” 50 Centa.



DMX zapowiedział, że jego następne dzieło „It's Not A Game”, będzie jego ostatnią płytą. Twierdzi on, że scena hip-hopowa jest zbyt polityczna i gdyby nie to że zainspirował go Nas, nie nagrałby już ani jednego albumu. Najpierw Ja Rule, potem Jay-Z, teraz DMX, to chyba początek jakiejś mody.

Na wiosnę tego roku ma wyjść kolekcja odzieży Shady Gear firmowana przez **Eminema**.

27 lutego **Keith Murray** i jego grupa LOD mieli dość poważny wypadek samochodowy, ich van dachował i wpadł na kilka innych samochodów, ale skończyło się na szczęście tylko na niegroźnych obrażeniach.

RZA połączył siły z Larsem Ulrichem (Metallica), żeby stworzyć soundtrack to nowego filmu **Quentina Tarantino** „Kill Bill”. To już drugi raz, kiedy RZA zajmuje się muzyką filmową, wcześniej był autorem muzyki do filmu Jima Jarmuscha „Ghost Dog”. Premiera „Kill Bill” zapowiedziana jest na 10 października 2003.



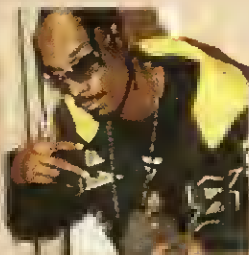
Gazeta The New York Daily News donosi, że **Nas** i **Kelis** planują się pobrać. Para poznała się na rozdaniu nagród MTV we wrześniu ubiegłego roku.

Za to **Jay-Z** w swoim niedawnym wywiadzie dla Playboya, zaprzeczył pogłoskom jakoby zamierzał pobrać się z **Beyonce Knowles**. Oznajmił też, że po wydaniu swojej ostatniej płyty „Black Album” (28 listopad 2003), zamierza zająć się prowadzeniem Universal Records. Wraz z płytą Jay-Z wyda książkę o swoim życiu.

Sticky Fingaz zakończył prace nad swoim drugim albumem solowym „Decade (But Wait, It Gets Worse)”. Płyta dedykowana jest pamięci Jay Master Jay'a, gościnnie pojawiają się na niej Omar Epps i Fredro Starr. Przewidywana data premiery: 29 kwietnia 2003.

Dział prowadzi: **Dobry Piotrek**

Snoop Dogg pracuje obecnie nad realizacją „**Snoopafly**”, nowej wersji głośnego obrazu z 1972 r. pt. „**Superfly**”. Raper wcieli się w postać handlarza narkotyków, który zamierza porzucić przestępczy proceder i rozpocząć nowe życie. Niestety, bardzo szybko okazuje się, że jego dotychczasowi szefowie nie przewidują dla niego planu emerytalnego i stawiają mu ultimatum - albo dalej pracuje dla nich albo zginie.



Will Smith tym razem w roli producenta. **Fresh Prince** uraczy nas adaptacją powieści „**Scorched Earth**”, której rozgrywająca się na południu USA akcja opowiada historię mieszkańców małego miasteczka, których uprzedzenia rasowe stają się przyczyną tragedii. Zmarłe zaraz po urodzeniu murzyńskie dziecko zostaje pochowane na „białym cmentarzu”. W nocy ktoś wykopuje jednak trumienkę ze zwłokami i przenosi ją na „czarny cmentarz”. Wywołuje to bunt wśród murzyńskiej społeczności miasta, a w niedługim czasie po tym

wydarzeniu zostaje spalony kościół, do którego uczęszczali biali. W ruinach świątyni zostają znalezione zwłoki córki szeryfa. O zbrodnię i podpalenie zostaje oskarżony ojciec zmarłego dziecka.

Shekhar Kapur („Elizabeth”) stanie za kamerą na planie obrazu „**Long Walk to Freedom**”, opowieści o życiu i działalności słynnego południowoafrykańskiego polityka, **Nelsona Mandeli**, w którego wcieli się niemniej słynny, wybitny aktor **Morgan Freeman**.

Krayzie Bone **Bone Thugs N Harmony** zamierza zrealizować „**Ghetto Cowboys**”, jak sam wyjaśnia - „westernem w stylu rap”. Bone wcieli się w obrazie w postać banity Slima, który ucieka przed stróżami prawa, poszukując jednocześnie zaginionego skarbu. Obecnie prowadzone są rozmowy z kandydatami do głównych ról, wśród których znaleźli się m.in. **Ice Cube**, **Da Brat** oraz **Mary J. Blige**.

Master P wyprodukuje, a **Jesse Dylan** wyreżyseruje „**Shorty**” - opowieść o młodym chłopcu (**Lil' Romeo**), który chce wygrać konkurs talentów MTV.

LL Cool J zagra główną rolę w remake'u kultowego „**Dolemite**” z 1975 r. Swego czasu, w środowisku Afro-Amerykanów, większą popularnością cieszył się jedynie „**Shaft**”. W obrazie wystąpi również **Rudy Ray Moore**, który w oryginalnym „**Dolemite**” grał pianino-skrzypce.

Brian DePalma pracuje nad filmem zatytułowanym „**Son of Tony**”, będącym kontynuacją głośnego „**Człowieka z blizną**”, ulubionego filmu większości amerykańskich raperów. W rolę głównego bohatera wcieli się **Michelle Pfeiffer**, a jego samego zagra kubański raper **Cuban Link**, członek **Terror Squad**.



Ice Cube napisze scenariusz i zagra w filmie „**From the Old School**”, opowiadającym o czarnoskórych panach w starszym wieku, którzy chcą kupić lokalny sklep i przerobić go na klub go-go.

Snoop Dogg zagra główną rolę w „**Lady T. & MoJo Slim**”. Obraz, który przez producentów zapowiadany jest jako połączenie legendy o **Robin Hoodzie** z „**Bonnie i Clyde**” opowiadać będzie historię drobnego kryminalisty, który zakochuje się w córce policjanta i wraz z nią zaczyna okradać bogatych, których pieniądze przekazują później biednym.

Jamie Kennedy, **Taye Diggs**, **Anthony Anderson** i **Blair Underwood** wystąpią w „**Malibu's Most Wanted**”. Będzie to opowieść o białym mężczyźnie (Kennedy) aspirującym do bycia sławnym raperem. Przyszły „gwiazdor”, by poprawić swój image utrzymuje, iż wywodzi się z murzyńskiego getta. Głośno sprzeciwia się temu jego ojciec, kandydujący na fotel gubernatora stanu. Wraz z managerem syna (Underwood) zatrudnia on dwóch aktorów (Anderson i Diggs), którzy mają udawać „chłopaków z sąsiedztwa” i przstraszyć rapera, pokazując mu, jak naprawdę wygląda życie ludzi z getta.

Wesley Snipes zagra główną rolę w filmie „**John Doe**”, gdzie wcieli się w postać dotkniętego amnezją bezdomnego mężczyzny, który starając się poznać swoją prawdziwą tożsamość odkrywa, że obdarzony jest tajemniczymi mocami.

Eddie Griffin zagra główną rolę w filmie akcji zatytułowanym „**Blast!**”. Obraz utrzymany będzie w klimatach „**Szklanej pułapki**”, a jego akcja rozgrywać się ma na platformie wiertniczej.



W „**Lil' Romeo and Lil' Juliet**” w głównej roli wystąpi młody raper, **Lil' Romeo**. Jednym z producentów obrazu jest ojciec „aktora” - **Master P**. Będzie to hip-hopowa wersja szekspirowskiego dramatu, w której nacisk położony będzie na muzykę i krytykę przemocy. Z założenia będzie to przedsięwzięcie, w którym wystąpią przedstawiciele różnych ras i kultur. Trwają poszukiwania odtwórczyni roli Julii. Nie wiadomo jeszcze, kto będzie reżyserem filmu.

Method Man i **Redman** zagrają w komedii „**Ghetto, Inc.**”, opowiadającej o trójce przyjaciół, którzy chcą założyć wytwórnię muzyczną.

Ice Cube'a zobaczymy już niedługo w komedii wg własnego scenariusza - „**De-Fense**”. Film opowiada historię zawodowego gracza w football, który za karę zostaje odesłany do swojego rodzinnego miasteczka, gdzie ma trenować drużynę miejscowej szkoły średniej.



Method Man zagra w thrillerze zatytułowanym „**The Other Side of Simple**”, gdzie wcieli się w rolę szefa gangu. Obok rapera, w filmie zobaczymy jeszcze m.in. **Dona Cheadle**, **Vince'a Vaughna** i znanego z najnowszej części „**Gwiezdnych Wojen**” **Haydena Christensena**. Scenariusz opowiada historię dwóch złodziei, którzy wracają po latach do rodzinnego miasteczka w celu spotkania się z bratem jednego z nich, który jako jedyny z trójki odsiedział 10-letni wyrok za udział we wspólnej kradzieży.

Wieści o **Czarku Trybanskim** ciąg dalszy. „Nasz człowiek” w NBA nadal gra bardzo mało. Wychodzi przeważnie w końcówkach meczy, kiedy sytuacja jest już klarowna (najczęściej kiedy **Grizzlies** nie mają już szans na wygraną). Zdarza mu się jednak i w tak krótkim czasie pokazać się z dobrej strony. W meczu z **Utah Jazz**, w ciągu dwóch minut Czarek zdobył 5 punktów i zanotował dwie zbiórki w ataku. Uwydatnia się także jego talent do blokowania. 2 razy udało mu się w meczu zanotować po 2 bloki (średnio w meczu 0,5). Zważywszy na średnią minut gry (ok. 6 na mecz), to niezły wynik.

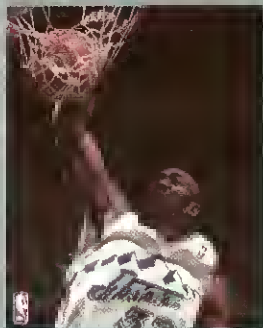
Przed weekendem gwiazd doszło do zasadniczej zmiany w lidze. Za zgodą zawodników, komisarz NBA **David Stern** ogłosił, że również pierwsza runda play offs będzie rozgrywana w myśl zasady „best of seven” (do 4 wygranych), tak jak i dalsze rundy, a nie jak do tej pory „best of five” (do 3 zwycięstw). Więcej spotkań, więcej transmisji, więcej reklam, większe pieniądze.

Shawn Kemp (**Orlando Magic**) został bezterminowo zawieszony w występach w lidze z powodu problemów z narkotykami. Długość kary miała zależeć od dalszych badań na zawartość narkotyku w organizmie i dobrej woli samego zawodnika. Kemp twierdził, że jest czysty, i to, że nie stawiał się do badania, nie oznacza zażywania narkotyków. Po upływie ok. tygodnia, zawodnika uniewinniono i odwieszono. Swoją drogą to już nie ten sam „Reign man”, który czarował jednymi z najlepszych dunków w lidze za czasów gry w **Supersonics**, walczył w finałach NBA i grał w meczach all-stars. Po problemach ze sporą nadwagą (podobno miał trudności z włożeniem piłki do kosza), kuracją odwykową od alkoholu i narkotyków, Shawn nie stawia się na kontrolę, a jego postawa na boisku jest poniżej oczekiwań.

Zdarza się, że zawodowa koszykownia idzie w parze z rapowaniem. Świetnymi przykładami są niektórzy zawodnicy NBA. **Shaquille O'Neal** ma na koncie 5 nagranych płyt. Swoich sił próbowali też **Chris Webber**, **Sam Perkins**, **Kobe Bryant** i **Allen Iverson**. „The Answer” miał nawet problemy z władzami NBA z powodu dość ostrych i jak to określono „rasistowskich i nakłaniających do przemocy” tekstów. Ciekawostką może być fakt, że rapowy kawałek nagrał też **Gary Payton**. Nosi on tytuł „Livin' legal and large” i ukazał się w 1994 roku na kompilacji prezentującej dorobek muzyczny zawodników ligi. Kawałek, jak przystało na pochodzącego z **Oakland** Paytona, jest utrzymany w stylistyce „west-coast”.

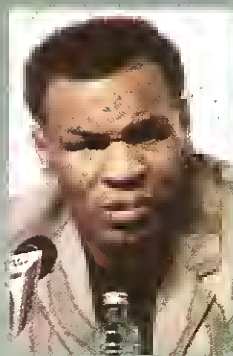
Odwrotna sytuacja także miała miejsce. **Master P**, znany ze swoich nieprzeciętnych umiejętności koszykarskich (według wielu lepszych niż jego rap), był przez jakiś czas w oficjalnym składzie drużyny **Charlotte Hornets** (obecnie **New Orleans**). Rozegrał bez rewelacji kilka spotkań przedsezonowych.

„40 lat minęło jak jeden dzień” - będzie mógł zaśpiewać w lipcu **Karl Malone**. Ulubiony koszykarz Afro Jaxa rozgrywa 18-ty i prawdopodobnie ostatni sezon w karierze. Niezniszczalny „Mail Man” zapowiedział wraz ze swoim nieodłącznym partnerem, **Johnem Stocktonem**, że po zakończeniu tego sezonu kończy swoje występy na parkietach NBA. Malone dalej gra świetnie, jednak da się zauważyć powolne skutki „40-tki na karku”. **John Stockton** jest jeszcze o rok starszy od swojego kolegi i o rok dłużej w lidze. Pobił już wszelakie rekordy dotyczące ilości asyst i przechwyty, jednak i on odczuwa nieuchronny upływ czasu. Dla wszystkich fanów tego najtrwalszego duetu koszykówki, na otarcie łez i zabicie smutku z powodu końca kariery ich idoli, polecamy kawałek **Afro Kolektyw** pt. „Karl Malone”.



Znany z trudnego charakteru skrzydłowy **L.A. Clippers**, **Lamar Odom**, powrócił do gry po długotrwałej kontuzji. Jak narazie spisuje się całkiem przyzwoicie i nie ma zastrzeżeń co do jego osoby. Jest to niewątpliwie wzmocnienie drugiej drużyny z Miasta Aniołów.

Mike Tyson zapowiada rewanżową walkę z **Lennoxem Lewisem**. Tyson odgrąza się, że nastawi się na znokautowanie przeciwnika jednym ciosem. Tłumaczy, że przygotowania do poprzedniej przegranej walki były prowadzone w nieodpowiedni sposób. „Bestia” powiedział w jednym z wywiadów, że rozwali Lewisa głowę. Lennox z tej okazji zrezygnował z zapowiadanej wcześniej walki z **Witalijem Kliczką**, aby zmierzyć się 21 czerwca z **Tysonem**, który pomimo tego, że boksuje dużo słabiej niż w swoich najlepszych latach, nadal przyciąga kibiców swoją nieobliczalną osobowością i wieloma skandalami. Jedno jest pewne. Niezależnie od sportowego poziomu widowiska, obaj panowie zrobią za tą walkę miliony dolarów.



Polecamy oficjalną stronę internetową najbardziej znanego czarnoskórego golfiarza, jakim jest niewątpliwie **Tiger Woods**. Zalicza się on również do jednego z najlepszych na świecie zawodników w tej dyscyplinie sportu. Przy jakiegokolwiek znajomości j. angielskiego można przeczytać tam newsy związane z Woodsem, obejrzeć galerię zdjęć, audio i video, przeczytać biografię lub zamówić gadżety związane z zawodnikiem. Strona dostępna pod adresem: www.tigerwoods.com.



Super Bowl 2003



Drużyna **Sebastiana Janikowskiego** - **Oakland Raiders**, zagrała po raz piąty w swojej historii w finale ligi NFL o **Super Bowl**. Ich rywalami była drużyna **Tampa Bay Buccaneers**. W meczu, który odbył się w **San Diego**, lepsi okazali się zawodnicy **Tampa Bay**, którzy wygrali spotkanie w stosunku **41:28**. Polski kopacz zdobył w tym meczu 3 punkty. **Super Bowl** to największe wydarzenie sportowe w Stanach Zjednoczonych.



NELSON MANDELA



Oto Rolihlahla Dalibhunga Mandela - symbol człowieka, którego życie naznaczone jest cierpieniem i triumfem, wolą walki i bezsilnością. Symbol człowieka, który wyzwolił miliony swoich braci z rąk aafrikans, ludzi, którzy chcieli nie tylko utrzymać „czystość rasową” poprzez całkowite rozdzielenie białych i czarnych, ale również planujących powolne zrzućenie kolorowych poza margines społeczeństwa. Nelson Mandela całe swoje życie przyporządkował jednemu celowi - zniesieniu dominacji jakiegokolwiek z ras, stworzeniu demokratycznego państwa - za te ideały gotowy był zapłacić najwyższą cenę - poświęcić życie.

Zaczyna działać w 1944 r., stając się najpierw członkiem, a następnie przewodniczącym Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Głównymi założeniami ANC stają się postulaty: uzyskania pełnego obywatelstwa i możliwości aktywnego udziału w polityce wszystkich mieszkańców RPA, masowa edukacja od najmłodszych lat. W późniejszych latach Mandela zwraca uwagę na problemy eksploatacji czarnych robotników, terrorystyczną działalność policji Bantustanu, zagrażającą wszystkim, którzy choćby w domniemany sposób mieliby przeciwstawić się białej władzy oraz segregację na państwowych uczelniach. Przez całe lata pięćdziesiąte Nelson Mandela jest ofiarą różnych form represji - ciągle zatrzymywany, aresztowany, więziony.

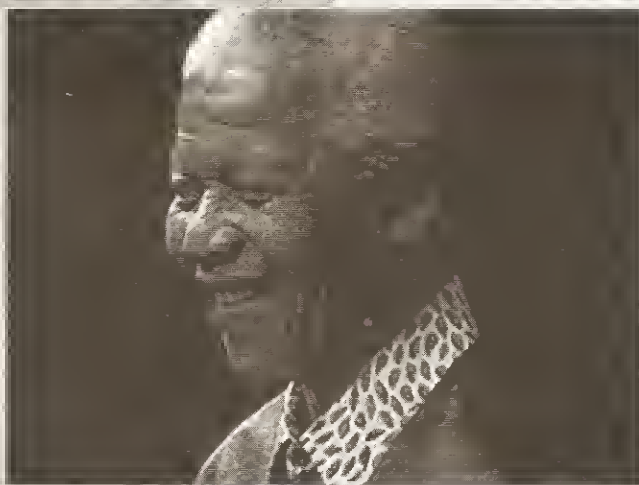
Po masakrze setek pokojowo nastawionych, nieuzbrojonych demonstrantów w Sharpenville, w 1960 r., ANC zostaje zdelegalizowane. Wtedy właśnie zostają wyczerpane wszystkie pokojowe rozwiązania, którymi starał się zawsze kierować Mandela, a na które rząd zawsze odpowiadał siłą. Powstaje radykalny odłam ANC, zwany Ukhonto we Sizwe, przeprowadzający akcje sabotażowe przeciwko władzy. Nelson Mandela zmuszony odchodzi do ciągłej ucieczki przed tajną policją i rzą-

„Walka jest moim życiem”. Te słowa wzbudzają respekt. Pochodzą z ust człowieka, który rozprawił się z okrutną ideologią segregacji rasowej, pozostając nieugiętym po prawie trzech dekadach spędzonych w więzieniu.

dowymi kapo stale zmienia miejsca pobytu i tożsamość: raz ubrany jak zwykły robotnik, innym razem udający szofera - działa w ukryciu.

Kiedy opuszcza w 1962 r. kraj, aby odbyć trening militarny w Algierii, rząd ma już przygotowany akt oskarżenia. Mandela trafia do więzienia, gdzie spędzi długie lata. Mimo to nie zaprzestaje działań - Robben Island staje się centrum kształcenia, gdzie Mandela staje się nauczycielem wykładającym nauki polityczne, stając się źródłem wiedzy i siły dla pozostałych więźniów.

Podczas gdy Nelson odbywa swój dożywotni wyrok, rozpoczyna karierę jego ówczesna żona - Winnie. Matka narodu dla tych, którzy popierają jej metody i morderczyni w oczach tych, którzy jej nienawidzą, zakłada „The Mandela United Football Team” dla kilkunastoletnich dzieciaków. Szczytna idea, prawda? Niestety, pani Mandela firmuje nazwiskiem swojego męża mafie, zaś kilkunastoletni chłopcy nie zajmują się kopaniem piłki, lecz kopaniem i eliminowaniem prawdziwych i wyimaginowanych wrogów Winnie. Wszechwładna pani Mandela kończy swoją działalność skandalem - 14-letni Stompe Seipei zostaje porwany, torturowany, a następnie zamordowany przez „football team”. To zdarzenie ma miejsce na krótko przed wyjściem Nelsona Mandeli z więzienia. Początkowo wspiera żonę w trudnych chwilach, nadchodzi jednak czas, gdy musi się rozwieść nie tylko ze względów politycznych - wyszły na jaw jej zbyt bliskie kontakty z jednym z „ochroniarzy”...



Pani Mandela trafia do więzienia - ale nie można powiedzieć żeby źle jej się wiodło. Nie posiedziała za długo, za to teraz najwięcej czasu spędza na zakupach w sklepach snobistycznych kreatorów mody. Wróćmy jednak do Bohatera naszego artykułu.

Skandale związane z żoną nie odbierają mu popularności, i kiedy wychodzi po latach odsiadki, ze zdwojoną siłą realizuje swój cel. W końcu mur apartheidu ostatecznie upada w 1994 r., kiedy Nelson Mandela zostaje pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem w kraju, który jeszcze parę lat wcześniej był piekłem dla czarnych ludzi. Tenże kraj ma od tej pory czarnego prezydenta - symbol niezłomności i dumy z tego skąd się pochodzi i kim się jest. Mandela - choć wielokrotnie atakowany i prowokowany - nigdy nie odpowiedział rasizmem na rasizm.

Nelson Mandela odchodzi z życia politycznego w 1999 r., wraca do miejsca, w którym się wychował i tam, słuchając Czajkowskiego, podziwia wschody słońca, których widoku tak bardzo brakowało mu przez długie lata spędzone w ciemnej celi.

Ikona

Nowa płyta pokazuje, jak niecodziennym artystą jest Fisz. Artysta to dobre słowo. Hip-hop w jego wykonaniu wkracza w nieznane dotąd formy, zbliża się do poezji, tworzony jest z uczuciem. Fisz coraz dalej jest klasycznemu hip-hopowi, za to coraz bliższy słuchaczom, którzy wymagają od muzyki czegoś więcej niż prostoty i banału.



Bez Kompromisów

Blek: Dlaczego po dwóch solowych płytach Fisza, nowy album postanowiliście podpisać wspólnie, jako Tworzywo Sztuczne?

Fisz: Kiedy nagrywałem pierwszą płytę, istniał jeszcze RHX i mój brat był zaangażowany w tamten skład. W momencie, kiedy produkował dla mnie podkłady, tam było bardzo dużo mojego grzebania ręką. Jest to też jakiś etap od „Na Wylot”, gdzie jeszcze wspólnie pracowaliśmy, później zrobiliśmy trasę, podczas której współpracowaliśmy ze stałym składem muzyków. Tworzywo Sztuczne - z jednej strony M.A.D., dlatego, że przygotował w całości muzykę (niektóre rozwiązania były dla mnie zaskoczeniem), a z drugiej Tworzywo Sztuczne to także cały skład muzyków, który wziął udział w nagraniu płyty, a od momentu jej wydania jeździ z nami po Polsce.

Jakie są Twoim zdaniem różnice między nową płytą, a poprzednimi?

Każda płyta jest pewnym etapem. Pierwsza była bardzo rozgadana, chyba najbliższa korzennemu hip-hopowi. Druga, jeśli chodzi o teksty, była moja, bardzo pozamykana, hermetyczna, a muzycznie, dzięki rozgłosowi „Polepionych Dźwięków”, mogliśmy wejść do studia. Na trzeciej płycie, słowa są bardziej ugięte, teksty nie pełnią roli rymów, są bardzo osobiste, natomiast muzykę w całości przygotował M.A.D. i jest ona jeszcze bardziej eklektyczna, ponieważ są zwroty i do sceny nowo-jazzowej i do tzw. live bip-bopu.

Skąd u Ciebie przejście od rymów do bardziej osobistych tekstów?

Są różne etapy i akurat w tej chwili w tą stronę się rozwijam. Niewykluczone oczywiście, że będę powracał, są zawsze takie numery jak „Polityki” czy „Warszawka”, które są czystym rapem. Ja przede wszystkim traktuję nasz rozwój bardzo muzycznie, frazy są układane w ten sposób, żeby stanowiły z muzyką jedną całość. Tak, jak podejście M.A.D. do hip-hopu jest bardzo osobiste, tak moje teksty, chociaż to nie pamiętniki, są również próbami, bardziej lub mniej, literackimi.

Jak wygląda wpływ M.A.D. na żywe instrumenty?

To jest człowiek-orkiestra. Ostatnio można go zobaczyć na koncertach za bębni. Przygotował oczywiście partię samplową, ale zagrał też piano-fendera, w jednym utworze gitarę na przeszkadzajkach, więc potrafimy poruszać się po instrumentach, co nam ułatwia sprawę, nie boimy się tego. Wręcz przeciwnie, cała szkoła, która nas inspirowa, typu SoulQuarians, pokazuje, że ta muzyka ewoluje w najróżniejsze strony, a dzięki niej rozwinął się new-jazz. Hip-hop zawsze był z jazzem bardzo powiązany, z jednej strony samplował jazz, a z drugiej strony dzięki sampligowi hip-hopowemu rozwinęła się scena nowo-jazzowa, więc wszystko przyszło nam bardzo naturalnie, rozwijamy się teraz nie tylko w kierunku samplingu, ale i kombinowania z instrumentami.

Jak dużo Was łączy jeszcze z hip-hopem?

Przed wszystkim nasze korzenie sięgają bip-hopu, całego środowiska skupionego wokół Volta, Tytusa i Bogny, natomiast już na pierwszej płycie, gdzie pojawiły się utwory „Stop” czy „Huragan”, udowodniliśmy, że tak naprawdę hip-hop jest tylko jakąś drogą do poszukiwań. Traktujemy go muzycznie, a jakiejkolwiek ideologie schodzą na drugi plan. Ale nie byłoby Tworzywa Sztucznego bez hip-hopu, nie ma żadnych wątpliwości.

Czy Twoją ostatnią płytę można traktować autobiograficznie?

Wiesz, każdy tekst jest, niestety (czasami-boję się spowiedzi), bardzo osobisty, oczywiście uciekam od pisania pamiętników i dbam o to, żeby były one również ciekawe. Wrażliwość z tego, że mamy swoją grupę fanów wszędzie w Polsce, okazuje się wbrew pozorom bardzo neutralna.

Nie obawiasz się, że przez to, że teksty są bardzo osobiste, a mniej jest tam rymów i typowego hip-hopu, trudniej będzie Ci dotrzeć do ludzi?

Nie. Część odpadnie, ale trafię do innych ludzi. Taka jest cena za poszukiwanie. Nie wiem, ja się nigdy nad tym nie zastanawiam, chciałem zrobić to właśnie tak, ponieważ wolę dopieszczać słowo niż nim rozrzucać. Trudno mnie w tym momencie nazwać MC. Ja czerpię dużo rytmiki z reggae, z jazzu, więc to jest droga poszukiwań. Natomiast korzenie zawsze będą się pojawiać, tak jak na ostatniej płycie w niektórych utworach. Ale nie wybiegam w przyszłość, być może kiedyś będę chciał powrócić do korzeni. Na tym etapie chcę się bawić i nie zanudzać siebie.

Czy malarstwo wpływa na Twoją muzykę, a muzyka na malarstwo?

Nie, nie próbuję tego łączyć. Ale jedno i drugie jest wynikiem fascynacji hip-hopem, dlatego, że kiedyś bawiłem się w graffiti i na pewnym etapie fascynował mnie Basquiat czy Herin, którzy z graffiti zrobili bardzo indywidualny język. Oglądając moje prace, nie widzisz grafiki hip-bopowej, jest tam więcej miro, więcej prymitywizmu, ale cały czas używam sprayów, bo te prace są fakturowe, każdy obraz ma fakturę muru, zdrapanych ścian, więc to się przewija. Można na siłę porównywać to z muzyką, ale nie próbowałbym łączyć tych dwóch działalności.

Czy trudna miłość może doprowadzić Cię do tego, co robisz w teledysku?

Nie, ja bym teledysku nie łączył z tekstem, ani nie dorabiał do niego ideologii. Oczywiście zapowiada on koniec etapu, o którym mówi cała trzecia płyta, ale jest to głównie zamach estetyczny. Reżyserem jest mój przyjaciel, z którym już parę klipów nakręciliśmy i stwierdziliśmy, że musimy zrobić coś innego. Tutaj są wyraźne inspiracje filmem, np.



Scorese. Chodziło nam o to, żeby ich ochotę zamieścić - estetycznie. Zakładaliśmy, że będą problemy, ale jak raz obejrzyś, zapamięta sz ten teledysk. Nie podoba nam się teledyskowy szablon, który się wykreował.

Wydajesz w Asfalcie, wytwórni niezależnej. Jakie są tego plusy, a jakie minusy?

Dostrzegam na razie same plusy. Nagrywamy sobie muzykę kiedy chcemy, brzmi ona tak, jak chcemy, wydajemy ją jak chcemy, mamy wpływ na okładkę... a szefem Asfaltu jest osoba, która się interesuje tą muzyką, mamy z nią wspólny język, jest naszym przyjacielem. To są same plusy. Minusy - oczywiście finansowe. Wszystkie teledyski powstały dzięki temu, że mam wielu kolegów artystów, którzy zajmują się także sztuką filmową i za ich pomocą ktoś nam pomoże, jakoś to dźbiemy. Natomiast nie mamy wielkich budżetów. Ale może warto za cenę przyjaźni oraz poczucia wolnej ręki. Oczywiście dystrybucyjnie zostalibyśmy zjedzeni przez Empiki i MediaMarkt'y, dlatego współpracujemy z Soni Music.

Nie myślałeś nigdy o dużej wytwórni?

Miałem kiedyś podobną przygodę, wiem, że ktoś się o mnie starał, ale już sama rozmowa mnie zniechęciła. W dużych wytwórniach siedzą ludzie, którzy nie mają pojęcia, co to jest hip-hop. Oni to traktują na zasadzie: Hip-hop! Nowa muzyka! Nie śluchają tego. Po prostu widzą, że Fisz doszedł do czwartego miejsca sprzedaży i zaczynają się interesować. O czym ja z taką osobą mam rozmawiać? O występach w „Rowerze Błęźa” czy artykułach w „Bravo”? Mnie to nie interesuje. Fajne jest to, że mogę z Tytusem szczerze porozmawiać i powiedzieć mu, czego nie chcę robić, on wszystko rozumie. Sam ma bardzo ambiwalentny stosunek do telewizji, bo jest mało programów, w których można się śmiało i bez narażenia się pokazać.

Pod względem finansów jesteś zadowolony?

Nikt nigdy w tym kraju nie będzie zadowolony, bo to jest harówka. Ale ja już sobie wybrałem taką rolę. Raz są pieniądze, raz ich w ogóle nie ma. Życie cały czas na adrenalinie, jednego dnia inwestujesz w sprzęt, na coś cię stać, drugiego masz problemy, musisz zbierać, pożyczać. Ale jakoś z tym się nie borykałem. Nie jest najgorzej, póki jest rach, póki płyty cieszą się zainteresowaniem. Starcza mi na to, żeby opłacić rachunki, a z drugiej strony, żeby rozwijać muzykę. Oczywiście nie są to wystarczające pieniądze.

Nadal masz negatywne zdanie o recenzentach?

Mam problem z tymi recenzentami, bo wprawdzie jest dużo pochlebnych recenzji w różnych gazetach, ale ich styl i forma jest mdła, denerwująca. Albo porównują mnie do czegoś, albo „ja jestem inteligentny, a reszta to głupie barany”. Często taki wniosek można z tych recenzji wysnuć, co jest totalnym bełkotem. I co z tego, że ona jest pozytywna? Przeglądam recenzje, ale one mnie nie mobilizują. Jeśli są krytyczne, to również nie pokazują mi, w którą stronę powinienem się rozwijać. Recenzja jest jakąś tam promocją, czasami jest też nią teledysk. To tak naprawdę wszyscy, co nas promuje. Nie mamy plakatów, ulotek itd. Ale przeraża

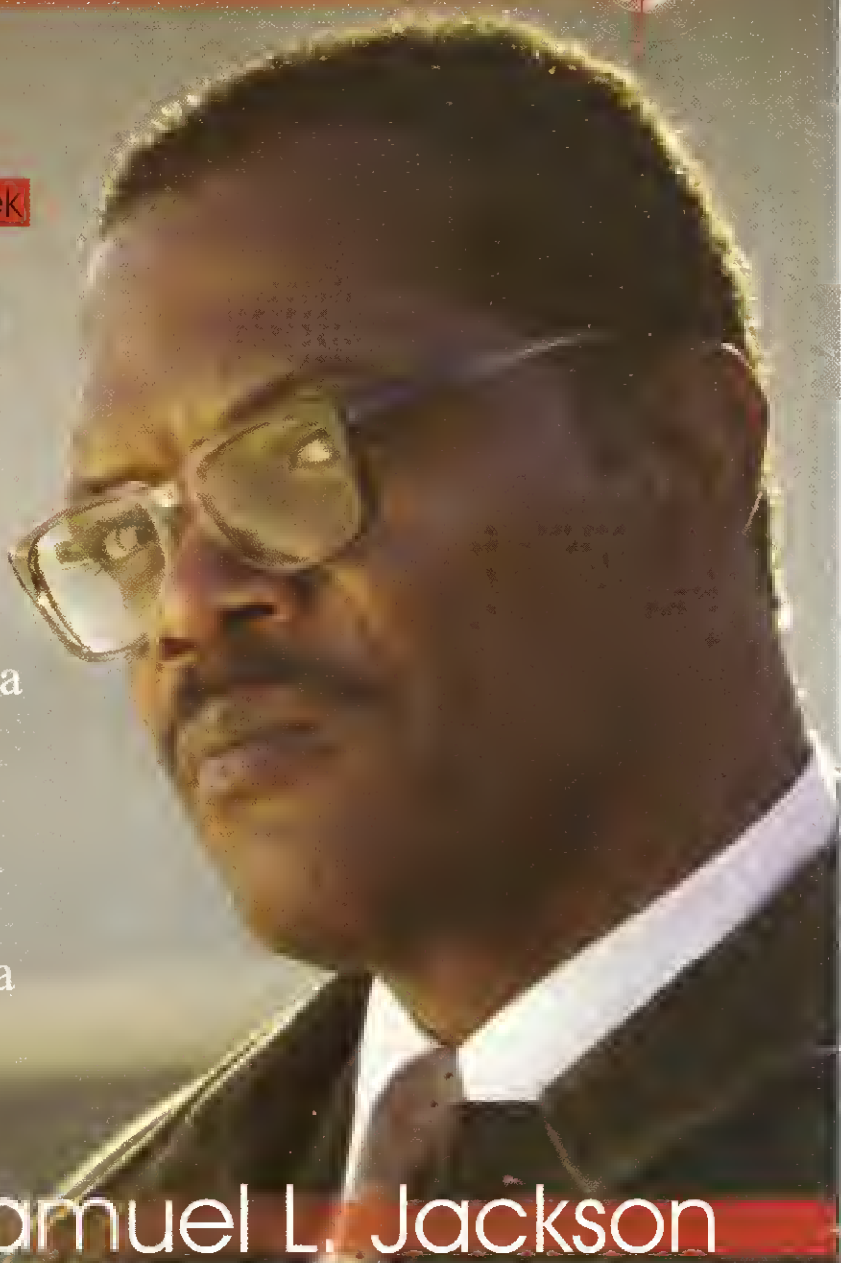




Yola Czaderska Hayek

Jedynak. Awanturnik. Niegdyś narkoman. Dziś szczęśliwy mąż. Człowiek o niespotykanej charyzmie. Zapalony golfiarz. Obsesyjny miłośnik filmów z Hong Kongu, określający sam siebie mianem nieznosnego typa i nudziarza. Coś jeszcze?

Hmm... Aha, byłbym zapomnian! Jeden z najlepszych i najślawniejszych gwiazdorów światowego kina. Specjalnie dla BLEK'a, z Samuelem L. Jacksonem rozmawia Yola Czaderska-Hayek.



Samuel L. Jackson

Yola Czaderska-Hayek: Kiedy oglądałem Twoje filmy, zawsze mam wrażenie, że scenarzyści specjalnie dla Ciebie dopisują sceny, w których Twój bohaterowie wpadają w furję. Nawet jeśli grasz spokojnego ojca rodziny, to prędzej czy później muszą mu puścić nerwy. Czy poza planem też jesteś taki niespokojny?

Samuel L. Jackson: Oj, pewnie. Gdybyśmy mierzyli emocje w skali od jednego do dziesięciu, to ja jestem w stanie dojść do dziesiątki w ciągu sekundy. Teraz na szczęście nauczyłem się nad sobą panować, ale kiedyś byłem naprawdę nieznosnym typem. Jak ktoś mi podpadł, to koniec, po prostu musiałem mu nawrzucać. Nawet w domu nie było na mnie siły. Kiedy chodziłem jeszcze do szkoły, matka często karała mnie za moje zachowanie, ale nie pomagało. Dzisiaj, kiedy coś mi nie pasuje, jestem w stanie policzyć do dziesięciu, zanim się odezwę. Albo zastanawiam się, czy zamiast nawrzeszczeć na kogoś nie można powiedzieć mu tego samego w inny sposób. Na przykład „Nie zgadzam się z tobą” zamiast: „Idiota jesteś”. Wiesz, człowiek wyrasta z pewnych rzeczy. Dochodzi w jakimś momencie do wniosku, że innych trzeba traktować tak, jak samemu chce się być traktowanym. Nadal uważam, że należy mówić prawdę prosto w oczy, ale przecież nie trzeba przy tym nikogo obrażać. Oczywiście jeśli ktoś się wobec mnie zachowa nie w porządku, to wtedy nawrzucać mu równo, nie przebiegając w słowach. I trudno, niech się obraża, przynajmniej więcej się do mnie nie odezwie (śmiech). Czasami lepiej spać za sobą różne mosty, niż pozwolić, aby nieodpowiedni ludzie mieszaali Ci w życiu.

Co najbardziej wprowadza Cię z równowagi?

Kiedy w sklepie ustawiam się w kolejce do kasy ekspresowej i przede mną stoi facet, który nie dość, że ma w koszyku piętnaście produktów za-

miast dopuszczalnych dziesięciu, to jeszcze chce płacić kartą (śmiech). Od razu zapala mi się czerwona lampka (śmiech). Zwracam gościowi uwagę: „Przepraszam, nie widzi pan napisu? To są kasy ekspresowe. Nie chodzi mi o to, że pan kupił za dużo. Ale zatrzymuje pan kolejkę. Tu się płaci gotówką”. To niby drobiazg, teoretycznie taka rzecz nie powinna mnie denerwować, a jednak denerwuje. Potrafię naprawdę ześwirować. Albo kiedy moja żona coś pije z mojej szklanki. Oj, to też mnie wkurza (śmiech). No, ale to są narowy, które wynikają z tego, że jestem jedynakiem. Nie do wykorzenienia (śmiech).

W filmach często grywasz twardzieli. Czy kiedykolwiek ktoś próbował bić się z Tobą, żeby sprawdzić, czy poza ekranem też jesteś taki mocny?

Ludzie na ogół utożsamiają mnie z moimi bohaterami, dlatego raczej dają mi spokój (śmiech). W odróżnieniu od takich facetów, jak Bruce Willis czy Arnold Schwarzenegger, ja nie potrzebuję chodzić wszędzie w towarzystwie ochroniarzy. Tamci muszą, ponieważ zawsze znajdują się ludzie, którzy chcą się z nimi sprawdzić. Faceci, których gram, na ogół onieśmielają innych, dlatego mało kto ma ochotę mi podskoczyć (śmiech). I bardzo dobrze.

W Hollywood krąży anegdota, że kiedy kupiłeś dom od Roseanne, podobno zostawiła Ci wszędzie swoje zdjęcia, na których pozuje nago. Czy to prawda?

Tak, powiedziała mi coś takiego, że bym ich sobie poszukał, że podobno gdzieś tam je ukryła. Przyznam się, że nie szukałem (śmiech). Do tej pory nie znalazłem żadnych fotek i chyba niespecjalnie bym chciał (śmiech).

Z pewnością trafia do Ciebie wiele scenariuszy. Czy na ich podstawie



możesz powiedzieć cokolwiek o zmianach zachodzących we współczesnym kinie?

O jakich zmianach? Czytam przeciętnie siedem scenariuszy w tygodniu i czuję się, jakbym ciągle czytał jeden i ten sam tekst. Bez przerwy są jakieś wybuchy, pościgi, cwane grepsy (śmiech), a będąc na stronie 15, jesteś w stanie przewidzieć, co się zdarzy na stronie 75. Oryginalne pomysły zdarzają się rzadko. Dla mnie najważniejsze są filmy, w których główną siłę napędową stanowią postacie. Lubię, gdy bohaterowie, których gram, mają szansę na pełne wyrażenie swojej osobowości. Zauważyłaś pewnie, że na ekranie prawie bez przerwy gadam. Zostało mi to jeszcze z czasów teatralnych, na scenie wygłaszałem dużo monologów. Dzisiejsze kino nieczęsto daje aktorowi taką szansę. Oczywiście pojawiają się też w typowych hollywoodzkich produkcjach z wybuchami i strzelaninami. Wynika to głównie z mojego sentymentu; jako chłopak często siedziałem w kinie i marzyłem sobie: „O rany, jak ja bym chciał w czymś takim zagrać!”. Dlatego nakręciłem na przykład „Gwiezdne wojny” czy „xXx”. Niestety, większość wytwórni produkujących filmy akcji traktuje masową widownię jak przygłupów. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda.

Powiedz mi, jak z Twoim wybujałym temperamentem radzisz sobie podczas trwania zdjęć? Czy nie denerwuje Cię nieustanny chaos na planie?

O rany! (śmiech) To dobre pytanie. Lubię myśleć o sobie, jako o tym jedynym, który zachowuje spokój podczas burzy. Przychodzę do pracy i mam konkretny plan, co zamierzam zrobić danego dnia. Mam nadzieję, że reżyser też ma plan (śmiech). Czasami go nie ma i chaos na planie pogłębia się. Myślę sobie wtedy: trudno, dzisiejszy dzień będzie trochę cięższy niż zwykle. Tak się składa, że lubię moją pracę, ale żeby naprawdę cieszyć się tym, co robię, muszę być do niej przygotowany. Jeśli ja wiem, czego chcę, to wtedy innym pracuje się łatwiej. A jeżeli sam kapitan statku nie ma pojęcia, jaki obrać kurs, wówczas wszystkich czeka burzliwa podróż. Jeżeli ludzie widzą, że nawet w takich warunkach ja zachowuję spokój i konsekwentnie realizuję swój plan, od razu podnosi ich to na duchu. Wiesz, żyjemy w bardzo chaotycznym świecie i nigdy nie wiadomo, co przyniesie nam los. Jeśli chodzi o mnie, codziennie wstaję o wpół do szóstej rano i idę na pole golfowe. Jeżeli gra dobrze mi idzie, myślę sobie: ten dzień będzie udany. Jeśli wynik jest kiepski, to też myślę: ten dzień będzie udany, bo przecież jutro też zagram i na pewno wyjdzie mi lepiej, dzisiaj widocznie nie skoncentrowałem się wystarczająco. Kiedy pierwszy raz przymierzyłem się z kijem do piłki, uderzenie zupełnie mi nie wyszło. Z furją cisnąłem kijem o trawę i wtedy zorientowałem się, że inni golfarze patrzą na mnie ze zdziwieniem. W ich oczach wyczytałem pytanie: „No i czym się tak denerwujesz? Nie jesteś przecież na tyle dobry, żeby ci się od razu udało”. Dało mi to do myśle-

nia. I polubiłem golf, zwłaszcza za jedno: cała odpowiedzialność w tej grze spada na ciebie. Nikt cię nie atakuje, nie musisz nikogo kiwać. Po prostu jest sobie mała piłka, którą musisz posłać w odpowiednim kierunku. Uda się czy nie uda? To zależy tylko od ciebie. Zarówno sukces, jak i porażka są Twoim dziełem. Dzięki golfowi udało mi się w znacznym stopniu zapanować nad temperamentem. Zrozumiałem, że bez sensu jest się wściekać, gdy wystarczy po prostu się przyznać: „To ja ponoszę winę za to, co się stało”. A wracając do Twojego pytania: na pewno w pracy pomaga mi to, że potrafię cieszyć się drobiazgami. Ktoś powie mi coś milego, zadzwoni mój agent z dobrą wiadomością - takie rzeczy podnoszą mnie na duchu. Z drugiej strony zasmuca mnie, gdy słyszę, że gdzieś tam jakiś facet wszedł do sklepu, zdetonował bombę i zabił trzydziestu ludzi. Taki jest los, nigdy nie wiadomo, co nas spotka. Nauczyłem się to akceptować i doszedłem do wniosku, że jedyny sposób, aby sobie z tym poradzić, to być po prostu dobrym dla innych, sprawić, że dzięki spotkaniu ze mną będą czuli się lepiej, że będą mieli dobry dzień.

Czy na planie traktujecie się nawzajem jak przyjaciele, czy też są to relacje czysto służbowe?

Kręcenie filmu to przede wszystkim praca, ale owszem, na planie nawiązują się przyjaźnie. A kiedy człowiek współpracuje z kimś kolejny raz, te przyjaźnie odnawiają się, stają się mocniejsze. To jak ze znajomymi z dzieciństwa. Dorastacie razem, a potem wyprowadzasz się gdzieś do innego miasta. Mija jakiś czas, a potem znowu się spotykacie, dajmy na to, gdzieś przypadkowo na ulicy. No i oczywiście wtedy pada mnóstwo pytań: co u ciebie, jak zdrowie i tak dalej. Podobnie jest między nami aktorami, gdy po dłuższej przerwie znów ktoś obsadzi nas w jednym filmie. Oczywiście są w tej branży ludzie, których nie chciałbym widzieć na oczy do końca życia, ale są też tacy, których bez przesady mogę zaliczyć do grona swoich przyjaciół. Na przykład cholernie cieszę się, że niedawno znowu miałem okazję zagrać z Johnem Travoltą. Mam nadzieję, że to nie był nasz ostatni raz.

A co robisz w tych rzadkich momentach, kiedy akurat nie kręcisz żadnego filmu?

Jak już Ci mówiłem, co rano gram w golfa. Poza tym chodzę do siłowni, głównie po to, żeby zachować kondycję, bo nigdy nie lubiłem podnosić zbyt dużych ciężarów - no i poza tym mam już swoje lata. Dużo czytam. Wspominałem już, że pochłaniam siedem scenariuszy w tygodniu? No i oczywiście oglądam dużo filmów. Jestem maniakiem produkcji z Hong Kongu. Mam ich w domu chyba półtora tysiąca, z czego jakichś sześciuset jeszcze nawet nie widziałem. Kupuję płyty DVD i trzymam je na lepsze czasy. Na przykład podczas lotu, kiedy wyświetlają coś w samolocie, ja na ekranie mojego laptopa oglądam film z Hong Kongu (śmiech). Poza tym lubię programy sportowe: koszykówkę, futbol...



Rany, nie do wiary, jaki ze mnie nudziarz! (Śmiech)

Wielu aktorów boi się braku propozycji. Czy Ty też po zakończeniu każdego filmu z niepokojem czekasz na kolejną rolę?

Oczywiście. Za każdym razem mam takie wrażenie: „To był mój ostatni film. Nikt się do mnie więcej nie odezwie. Telefon nie zadzwoni”. Kiedy pracowałem w teatrze, często zdarzało się, że kiedy spektakl schodził z afisza, zostawałem bez zajęcia i nic nie wiedziałem, co będzie dalej. Nawet dzisiaj źle się czuję, jeśli nie mam pewności, co będę robił, powiedzmy, za miesiąc czy dwa. Mam wtedy złe przeczucia. Oczywiście od tego ma się agentów i menedżerów, żeby chronili człowieka przed takimi sytuacjami. Ale nie możesz im też pozwolić na przejęcie całkowitej kontroli nad Twoim życiem. Staram się myśleć, że to oni pracują dla mnie, a nie ja dla nich, ale czasami naprawdę trudno wytrzymać, kiedy usiłują zaplanować mi coś, na co nie mam ochoty.

Powiedz mi, jak Ty to robisz, że nie dość, iż od lat należysz do ścisłej hollywoodzkiej czołówki, to jeszcze jesteś fantastycznym mężem?

Nie mam pojęcia. Co do pierwszej części Twojego pytania, to wydaje mi się, iż sukces zawdzięczam temu, że zawsze stawiałem na różnorodność. Starałem się, aby każda moja rola była inna od poprzedniej. Dzięki temu nie można mnie zaszufladkować, mogę zagrać absolutnie w każdym filmie. Co prawda nigdy nie zdarzyło mi się nakręcić na przykład westernu czy romantycznej komedii, ale z drugiej strony nigdy nie natrafiłem na scenariusz, który by mnie do tego skłonił. A co do mojego związku, to jesteśmy z LaTanya razem już od trzydziestu dwóch lat. To znaczy, pobraliśmy się dwadzieścia dwa lata temu, ale byliśmy ze sobą już wcześniej. Myślę, że LaTanya wytrzymała ze mną tyle czasu głównie dlatego, że nigdy nie pytam: „Kochanie, ile pieniędzy dzisiaj wydałaś?” (Śmiech). A poza tym nasza praca zmusza nas nieustannie do podróży. Przez ostatnie dwa lata moja żona realizowała telewizyjny serial w Nowym Jorku, a ja w tym czasie jeździłem po całym kraju, kręcąc kolejne filmy. Jeśli więc spotykamy się po takiej rozłące, jest to dla nas równie intensywne przeżycie, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy. Myślę, że takie przerwy tylko odświeżają nasz związek. Nie musimy się codziennie widywać (śmiech).

Nowa wersja „Shafta” z Twoim udziałem okazała się ogromnym hitem. Czy masz w planach kontynuację?

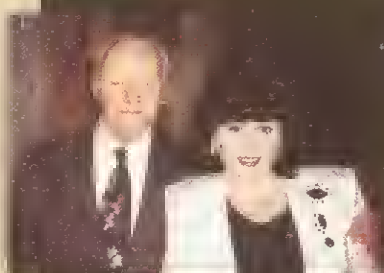
Ja tak, ale nie wiem, czy wytwórnia też (śmiech). Mam taką nadzieję. Popularność tego filmu ogromnie mnie zaskoczyła, zważywszy na to, że przed premierą prognozy nie były najlepsze. Wszyscy narzekali: po co nam kolejny „Shaft”, czy Jackson jest odpowiedni do tej roli - a potem się nagle okazało, że ludzie chcą to oglądać. A przecież mojemu Shaftowi brakuje kilku charakterystycznych cech pierwowzoru.



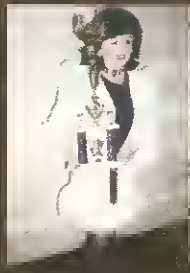
Samuel L. Jackson na imprezie w domu Yoli.

Na przykład nie lecą do niego wszystkie laski jak do seksmaszyny (śmiech). Zauważyłaś to, nie? Dlatego bardzo chcę nakręcić następną część. I wtedy, żeby nie wiem co, będę seksmaszyną!

Yola Czaderska-Hayek



Sir Anthony Hopkins



Ben Affleck



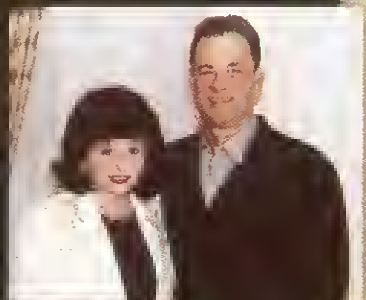
Jim Carrey



Tommy Lee Jones



Sidney Pottier



Tom Hanks



Mike Myers



Danny Glover

Yola Czaderska-Hayek

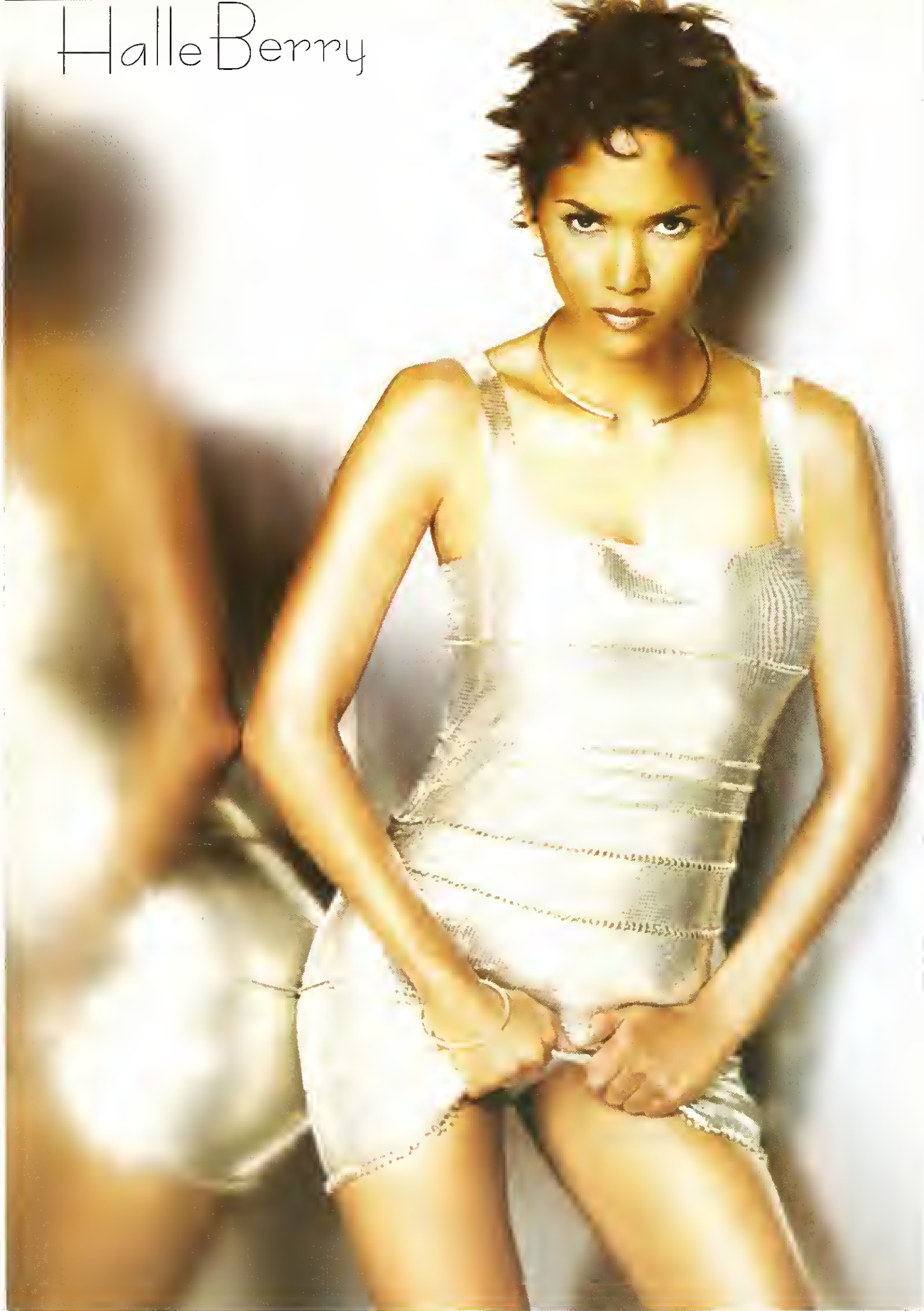
Urodziła się w Tarnowie, więc co do jej polskich korzeni nie ma najmniejszych wątpliwości, stanowi idealny przykład tzw. *american dream*. Już jako dziecko wiedziała, że kiedyś zamieszka w Hollywood i doczeka się księcia z bajki, który ją tam zabierze. Niedługo po skończeniu studiów polonistycznych, przedstawiono Joli Czaderskiej w Krakowie amerykańskiego pilota, kapitana pasażerskich linii lotniczych American Airlines i biznesmena. Ów dżentelmen nazywał się Edwin Hayek. Marzenie stało się rzeczywistością...

Obecnie, Yola Czaderska-Hayek (zamieniła pierwszą literę imienia z „J” na „Y”, gdyż Amerykanie „Jola” wymawiali jako „Dżola” lub „Hola”, teraz już nie mają problemów) to jedna z najbardziej poważanych i lubianych osób w stolicy światowej kinematografii. Często nazywana pierwszą polską damą Hollywood. Jest również ambasadorem polskiej kultury w Hollywood, popularyzatorem rodzimej sztuki, korespondentem filmowym, autorką książek o celuloidowej metropolii, kronikarzem i historykiem specjalizującym się w filmie westernowym. Przeprowadziła ponad 1.000 (!) wywiadów, głównie z gwiazdami filmu i estrady, ale także cykl rozmów z prezydentami USA i znanymi politykami. Píše do gazet z niemal wszystkich kontynentów, półzartem, półserio można stwierdzić, że nie ma kraju, gdzie nie byłoby czasopisma o tematyce filmowej do którego Yola robi wywiady. Pomaga początkującym polskim filmowcom w *publicity*, które w Hollywood niezbędne jest do otrzymania najbardziej prestiżowych nagród. Zaowocowało to w przypadku Fabickiego i Godfrejowa nominacją oscarową. Pomaga polskim dziennikarzom w uzyskaniu hollywoodzkich akredytacji i kontaktów z niedostępnym światem filmowej metropolii. Jest również prezesem i fundatorem International Star Awards, statuetek przyznawanych od 1992 roku legendarnym artystom filmów westernowych. Laureaci tych nagród otrzymują połączane gwiazdy osadzone na granitowej bryle. Wraz z nagrodą Yola zawsze wręcza laureatom listy gratulacyjne od aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, gubernatora Kalifornii i burmistrza Los Angeles. Na całe Hollywood słynne są jej huczne bankiety, które urządza w swym królestwie, zabytkowej posiadłości w której niegdyś mieszkał sam Rudolf Valentino - „BELVEDERE”. Ta cudowna posiadłość mieści się na wzgórzach, tuż pod słynnym na cały świat napisem „HOLLYWOOD” i jest uznawana za jedną z najpiękniejszych, najbardziej gustownie urządzonych zabytkowych rezydencji w Hollywood. Yola sprawuje także zaszczytną funkcję członka elitarnego Stowarzyszenia Hollywoodzkich Korespondentów Prasy Zagranicznej (Hollywood Foreign Press Association), które rokrocznie wyróżnia aktorów Złotymi Globami. Godny podziwu jest fakt, że jest PIERWSZYM w 60-letniej historii istnienia organizacji Polakiem, przyjętym w poczet jej członków. Jak sama powiedziała w jednym z wywiadów: „Jest to bardzo, bardzo elitarna i ekskluzywna grupa ok. 85 osób. Dostać się tam jest zadaniem niemal niemożliwym, taka *Mission Impossible*. Kraje mają jed-nego, dwóch swoich przedstawicieli. O przyjęciu w poczet członków decyduje bardzo duża znajomość tematyki filmowej, przede wszystkim jednak konieczna jest wcześniejsza akredytacja przez Motion Picture Association of America, o którą również nie tak łatwo. Członkowie naszego stowarzyszenia powinni obejrzeć przynajmniej 300 lub więcej filmów rocznie, przeprowadzić ogromną ilość wywiadów, odwiedzić międzynarodowe festiwale i plany filmowe oraz liczne konferencje prasowe. Znać trzeba Hollywood od podszewki. Musi się być po prostu ekspertem od hollywoodzkich spraw. Studia filmowe ułatwiają bardzo kontakty, bo „Złote Globy”, na które głosuje, to prawie jak Oscary. Dla aktora, filmu, producenta i studia przynoszą dodatkowe miliony dolarów.”

Jednak Yola nie tylko przyznaje nagrody, również sama je dostaje. Ma już ich na swym koncie mnóstwo, ostatnio ta kolekcja powiększyła się znów o dwa prestiżowe wyróżnienia, jakie Yola otrzymała od Południowokalifornijskiej Rady Filmowej (Southern California Motion Picture Council): Golden Star Halo Awards - za rozbudzanie zainteresowania wartościowymi filmami w kinie i telewizji, sztukami teatralnymi i występami estradowymi, oraz SMPS Golden Crown Award - za znaczący wkład w rozwój przemysłu rozrywkowego. Warto nadmienić, iż laureatami tych przyznawanych od 1936 roku nagród byli m.in. Stevie Wonder, Robert Mitchum, Chuck Norris i Liza Minnelli oraz dziesiątki innych sław.

Pani Yolu, witamy w BLEK'u!

Halle Berry



**Nazwisko:**

Halle Maria Berry

Wiek:

34 lata

Data urodzin:

14 sierpień 1968

Miejsce urodzenia:

Cleveland, Ohio

Zawód:

Aktorka, modelka,
producentka

Wzrost:

170 cm

Wykształcenie:

Cuyahoga
Community College w Ohio

Znak zodiaku:

lew

Nagrody:

1985 - Miss Nastolatek w
finale

ogólnoamerykańskim,
reprezentując stan Ohio

1986 - Pierwsza V-ce
Miss w finale wyborów
Miss USA

1986 - Wyróżnienie za
kostium w finale Miss
Świata

1999 - Złoty Glob za
najlepszą rolę żeńską w
„Introducing Dorothy
Dandridge”

2002 - Oscar dla
najlepszej aktorki
pierwszoplanowej za rolę
w filmie „Czekając na
wyrok - Monster's Ball”



➤ Zanim rozpoczęła swoją przygodę z filmem, przez kilka lat pracowała jako modelka i brała udział w konkursach piękności.

➤ Drzwi do sławy otworzyła jej rola Vivian w filmie Spika Lee „Jungle Fever” z 1991 r.

➤ W telewizyjnym filmie „Introducing Dorothy Dandridge”, wcieliła się w postać Dorothy Dandridge, która była pierwszą AfroAmerykanką nominowaną do Oscara w kategorii Najlepsza Aktorka. Halle Berry jest pierwszą Afro-Amerykanką, która dostała tę nagrodę.

➤ Jest też pierwszą Afro-Amerykanką, która startowała w konkursie Miss World.

➤ Jej gaża za rolę w „Śmierć nadejdzie jutro” wynosiła 4 mln dolarów.

➤ Ona i Kim Basinger są jedynymi „dziewczynami Bonda”, które mają na swoim koncie statuetkę Oscara.

- Jest rzecznikiem firmy kosmetycznej Revlon.
- W 1998 i 2002 roku magazyn People umieścił jej nazwisko na liście 50 najpiękniejszych ludzi świata.
- Jej hobby to oglądanie filmów oraz kolekcjonowanie afrykańskich dzieł sztuki i porcelanowych lalek.
- Znalazła się na 2. miejscu listy najseksowniejszych kobiet

roku 2002, wybranych przez kanał telewizyjny E!.

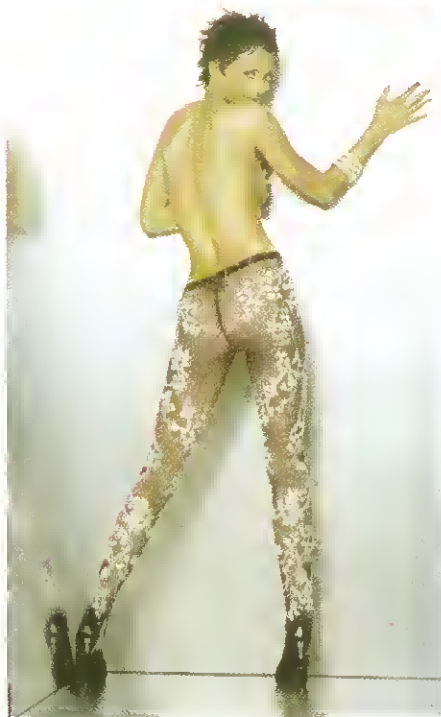
- Halle swoje imię zawdzięcza nazwie słynnego w Cleveland domu towarowego Halle Brothers. W budynku tym znajduje się obecnie studio, w którym kręcony jest sitcom „Drew Carey Show”.

FILMOGRAFIA:

1989 - Living Dolls (serial tv)
 1991 - Jungle Fever (Malaria)
 1991 - Strictly Business
 1991 - The Last Boy Scout (Ostatni Skaut)
 1992 - Boomerang (Bumerang)
 1992 - Knots Landing (serial tv)
 1993 - Queen (serial tv)
 1993 - CB4
 1993 - Father Hood (Tata Na Wagarach)
 1993 - The Program
 1994 - The Flintstones (Flintstonowie)
 1995 - Losing Isaiah (Dwie Matki)
 1996 - Solomon & Sheba
 (serial tv)
 1996 - Executive Decision (Krytyczna Decyzja)
 1996 - Race the Sun
 1997 - Girl 6 (Dziewczyna nr 6)
 1998 - The Rich Man's Wife
 1998 - B*A*P*S
 1998 - The Wedding (serial tv)
 1998 - Bulworth (Senator Bulworth)
 1998 - Why Do Fools Fall In Love
 1998 - Welcome to Hollywood (Witamy w Hollywood)
 1999 - Introducing Dorothy Dandridge (film tv)
 2000 - X-Men
 2001 - Swordfish (Kod Dostępu)
 2001 - Monster's Ball (Czekając Na Wyrok)
 2002 - Die Another Day (Śmierć Nadejdzie Jutro)
 2003 - X2 (X-men 2)
 2003 - Gothika
 2003 - The Set-Up
 2004 - Need
 2004 - The Guide

- Ma córeczkę o imieniu India.
- Została zraniona w oko podczas zdjęć do „Śmierć Nadejdzie Jutro”. Podczas jednej ze scen, w której Berry i Brosnan wyskakują z wybuchającego helikoptera, w lewe oko Halle trafił odłamek szkła. Po drobnym zabiegu, wszystko skończyło się dobrze.
- Jej mąż Eric Benet nie miał nic przeciwko temu, by w jednej ze scen w filmie „Kod Dostępu” pojawiła się topless. „Powiedział mi, że nie mam się czego wstydić i jeżeli mam to kiedykolwiek zrobić, powinnam to zrobić teraz”.





► Odrzuciła rolę w filmie „Speed”, którą przyjęła później Sandra Bullock.

► W maju 2000 roku została skazana na 3 lata więzienia w zawieszeniu, 13.500 dolarów grzywny oraz 200 godzin prac społecznych za oddalenie się z miejsca wypadku przed przyjazdem policji. Berry przejechała wtedy na czerwonym świetle powodując wypadek i odjechała do pobliskiego szpitala, gdzie założono jej 20 szwów.

► W początkach kariery, w 1991 roku, wystąpiła w teledysku R. Kelly'ego „Honey Love”.

► Jedną z jej ulubionych potraw jest grillowany tuńczyk i czosnek zmieszany z ziemniakami.

► Po rozwodzie z baseballistą Davidem Justicem zmieniła tatuaż z napisem „David” na pośladku, na kwiatek.

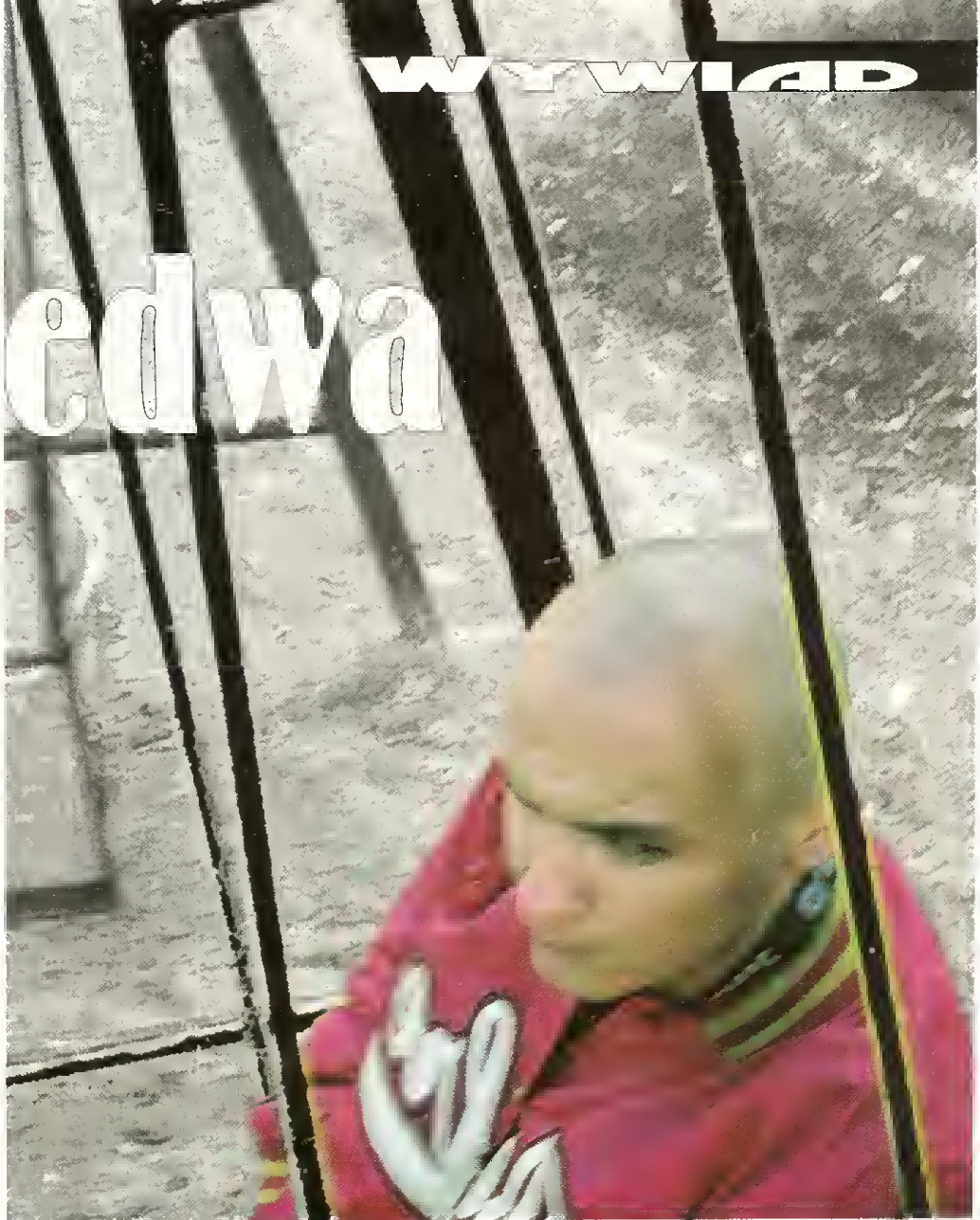
► Jest diabetyczką.



Opracował: Seth

OWAL Emcedwa

Do Poznania udałem się w wyjątkowo ciepły i słoneczny, jak na końcówkę lutego, dzień. Na miejsce spotkania Owal wybrał położoną w pobliżu dworca restaurację Mc Donalds'a - gdy tam zawiązałem okazało się, że nie jest sam. Towarzyszył mu Mezo, bliski znajomy, członek formacji Lajner. W trzyosobowym składzie nawiązaliśmy bardzo sympatyczną rozmowę, zakończoną tym oto wywiadem. Zapraszam do lektury.



Blek: Mimo rozpadu grupy Emcedwa, pozostawiłeś ten człon w nazwie. Sentyment do przeszłości?

Owal/Emcedwa: Tak, właściwie tylko i wyłącznie. Dawno temu wymyśliłem tę nazwę i podoba mi się, jest to pewien neologizm, jednak prosty do rozszyfrowania. Tyle, że w pewnym momencie dochodzi się do wniosku - gdzie jest ten drugi emce? Dlatego ludzie często piszą do mnie w mailach: „Pozdrów Emcedwa”, albo piszą w liczbie mnogiej myśląc, że mają do czynienia z dwiema osobami: Owalem i Emcedwa. Dla mnie to czysty sentyment. Tak było i niech tak zostanie.

Muzyczną działalność rozpocząłeś w '95 roku. Dlaczego musiało minąć aż 7 lat, żebyś mógł wydać swoją pierwszą profesjonalną płytę?

Ponieważ w tym czasie zajmowałem się wieloma innymi rzeczami. Pierwsze nagrywki, z '95 roku, to był właściwie spontan, raczej powiązany z tym, że w tamtym okresie rozpoczęła się moja fascynacja czarną muzyką. W ciągu tych siedmiu lat zdążyłem jeździć na deskorolce, ćwiczyć judo, zajmować się informatyką... Także ilość moich zainteresowań była naprawdę spora. Gdybym miał się poświęcić każdemu z nich, to doba by nie starczyła. Gdzieś do '99 roku hip-hop traktowałem w ten sposób, że nagrywałem kawałki, jeśli mi się chciało, a jeśli nie, mogłem przez pół roku nic nie nagrać, a w tym czasie jeździć sobie na desce. Ale w końcu stwierdziłem, że trzeba coś wybrać, zresztą napisałem o tym w kawałku „Panta Rhei”. Zrezygnowałem z deskorolki, nie chodzę już na treningi, ale mam czas na hip-hop, a oprócz tego chodzę do pracy, uczę się i spędzam czas z dziewczyną. A od 2000 roku, kiedy wydałem demo, które dobrze się przyjęło, zacząłem z premedytacją pracować nad płytą. Początkowo wcale nie miałem pewności, że to będzie legal, ale bardzo w to wierzyłem i dobrze, że tak się stało.

Nie miałeś problemów z wydaniem legala? Wielu wykonawców o tym

marzy, ale nie udaje im się nawiązać współpracy z żadną wytwórnią...

U mnie wyglądało to tak, że płytę „Rapnastyk” wydał poznański, nowo powstały label - UMC Records. Bardzo dobrze, że powstał. Tak w ogóle to przyszedłem do UMC po numer do innej wytwórni (śmiech), a Remik zamiast mi go dać, przedstawił mi swoją ofertę i więcej już nie musiałem niczego szukać.

Jak doszło do współpracy z Tabbem i dlaczego właśnie jemu powierzyłeś rolę producenta Twojej płyty?

Tabb tworzył kiedyś zespół LPS, usłyszałem ich demo, na którym muzyką zajął się właśnie Tabb, a wówczas sam robiłem sobie bity na płytę i postanowiłem dać mu materiał do zmasterowania, gdyż ewidentnie miał na ten temat dużo większe pojęcie niż ja. Od masteringu się zaczęło, następnie zaproponowałem mu, aby zrobił dla mnie 2-3 bity, one pokazały, że pomiędzy naszymi umiejętnościami muzycznymi jest znaczna przepaść (śmiech), więc nie chcąc tracić na spójności płyty, ustaliśmy z nim, że zrobi wszystko sam, od podstaw. Ja dostarczyłem niektóre sample, ale cała produkcja, mix, aranżacja i mastering to jego dzieło.

A nie myślałeś o dość popularnym na polskiej scenie rozwiązaniu, by skorzystać z usług kilku producentów?

Nie ma w Poznaniu aż tylu producentów, bym miał w czym wybierać. Poza tym „Rapnastyk” jest dość specyficzną płytą i zależało mi na jej spójności. Mogłbym oczywiście wziąć po parę bitów od różnych ludzi, od Donia, Sajlenta czy Kady, ale każdy z nich ma swój specyficzny styl, jeden tworząc podkład od razu myśli, jak on będzie brzmiał po zmasterowaniu, a drugi na to nie zwraca uwagi, nie zastanawia się, czy wziął dobrą perkusję, czy uda się ją dobrze dopasować z basem, czy też nie. Głównie o to chodziło. Poza tym u Tabba w domu mamy studio, ode mnie

10 minut drogi piechotą, więc miejsce nagrań pod ręką, mogłem się często wbijać, nagrywać wokale, nanosić poprawki. Wszystko przemawiało za tym, by pracować z Tabbem, poza tym to jest spoko gość. (śmiech)

Sluchając Twojej płyty ciężko natrafić na coś, co Cię wyróżnia. Nie ma specjalnej oryginalności czy niespotykanych wcześniej rozwiązań. Pisząc teksty, zastanawiałeś się nad tą sprawą?

Nie miałem założenia, że muszę zrobić coś, czego jeszcze nie było. Płyta wygląda tak, jak miała wyglądać. Wiadomo, że zastanawiam się nad doborem słownictwa, ale staram się to wypośrodkować, nie nagrywać ani czystego bragga, ani czystego, acz słabo zarapowanego, tekstu z przekazem. Nad stylem cały czas pracuję, dla niektórych jest on poki co mało wyraźny, ale myślę, że po drugiej płycie będzie bardziej rozpoznawalny. Nie pójde natomiast nagle w jakąś stronę, żeby koniecznie się wyróżniać. Nic na siłę, ale rozwój na pewno uczyni styl bardziej charakterystyczny i wyrazisty.

W jednym z kawałków stwierdzasz: „Pięknie zrymowane, lecz niestety puste wersy”. Nie popierasz stawiania w tekstach na formę, na technikę?

Nie. Nie będę oczywiście dissował wszystkich, którzy robią bragga-docio, ale dzisiaj jest mnóstwo zespołów, które postawiły na przechwałki, a mi to osobiście nie odpowiada. Wolę tekst dobrze zarymowany, z dobrymi rymami, ale zawierający przesłanie, to coś, co zawsze uważałem za najważniejsze w hip-hopie. Kiedyś, pisząc teksty, każdą zwrotkę kończyłem wyraźną puentą w dwóch wersach, która zawsze podsumowywała temat. Braggadocio - ok, ale musi to być bragga charakterystyczne i konkretne, a takie robią dla mnie np. Mezo z Lajnera, Kret, Gural czy Pezet, ale bragga Pezeta jest przykładowo tak nachalnie kserowane przez różne zespoły, że aż mi przykro. Potem po raz piętnasty słyszysz to samo, te same wyrazy, czuć mega silenie się, by tylko było to jak najbardziej efektowne, żeby pojawiało się jak najwięcej rymów, podwójnych, poczwórnych, dziesięciokrotnych, a całość finalnie to zlepek pustych słów i nic poza tym. Do mnie niestety to nie trafia. Po przesłuchaniu takiego kawałka zapamiętam dwa rymy i nawet się nad tym, co usłyszałem, dobrze nie zastanowię. Dlatego uznaję wyższość nagrań, które coś przekazują, nad takimi, które zawierają wyłącznie dobre rymy.

A nie sądzisz, że od czasu do czasu można sobie pozwolić na czyście efekciarstwo, jeśli słuchacza zadowolają umiejętności danego rapera?

Osobiście nie zwracam uwagi na to, co zadowala słuchacza. Mój rap wypływa ode mnie, a to że teraz jest modne bragga nie oznacza, że tak będę nagrywał. Potępiam takie myślenie: „Posłuchałem paru płyt, gdzie raperzy tak fajnie rapują, to jest joł, więc zacznę jechać podobnie”. A czy można sobie pozwolić? Osobiście czasami sobie pozwalam, ale jest to tylko detal. Nie chcę nagrywać kawałków z samą formą dla formy, co nie oznacza, że nie troszczę się o jakość rymów. Staram się to wypośrodkować, cały czas dążę do tego, by połączyć dobre rymy z przekazem. To jest właśnie Rapnastyk.

Więc dobre rymy plus dobra treść?

Tak, dobrymi rymami trzeba coś ciekawego przekazać, albo opowiedzieć jakąś ciekawą historię... To musi mieć ręce i nogi. A nie tak, że siadam przed kartką, chociaż nie mam wcale koncepcji na tekst, piszę dwa wersy i potem ciągnę to dalej. Z takiego czegoś wychodzi zwykła zabawa słowem, nic poza tym. Ja natomiast słyszę podkład, który mnie nastraja, siadam i przed postawieniem pierwszych wersów wiem, o czym będzie kawałek i wiem, co chcę powiedzieć.

Na płycie obrywa się od Ciebie internetowym krytykom. Mówisz o recenzentach płyt, czy użytkownikach forum?

Raczej tych z forum. Widzisz, tak sobie myślałem, że do płyty trzeba by było dołączyć słownik, żeby zdefiniować pojęcia, np. kim jest „krytyk internetowy” czy „nastoletnia kurwa”. (śmiech) Krytyk internetowy to gość, który wejdzie na forum, zjedzie cię od góry do dołu i napisze: „Flow zjebane, producent nie potrafi robić bitów a płyta do dupy”. Tak wygląda jego „krytyka”. Niech taka osoba przyjdzie na koncert i powie mi to osobiście. Będziemy mogli porozmawiać, może wytłumaczy mi, dlaczego np. bity są zjebane. Śmieszne jest natomiast, jeśli gość w Internecie wpisze się „ziomal” i zacznie jechać moją płytę, na końcu dodając obowiązkowo „CHWDP”.

Jaka zatem krytyka jest właściwa i przez Ciebie akceptowana?

Taka, która pokazuje wady, ale jest jednocześnie konstruktywna.



Np. gdy ktoś stwierdza: „Flow nie jest najlepszy, ale...” i pisze dwa-trzy zdania na ten temat, analizuje sprawę, rozważa to. Krytyk w prawdziwym tego słowa znaczeniu opisze płytę od podstaw, opisze na kilkanaście zdań produkcję, występy gościnne, oceni całokształt. Zdarzają się dobre, krytyczne recenzje, piszą je Dobry Piotrek, Flintstone, Prezes czy Bandi - osoby, które potrafią takie recenzje pisać. Generalnie recenzja musi być przemyślana, bez względu na to, czy jest pozytywna czy negatywna, wszystko zależy od recenzenta. Zobacz, jak zrecenzował moją płytę Prezes, a jak Dobry Piotrek...

Tu jest pewna różnica: Prezes sam nagrywa płyty, czy to powinno iść w parze z recenzowaniem?

Myślę, że nie powinno. Jeżeli ktoś pisze tak krytyczne recenzje, a potem wydaje płytę, która nie jest niczym wielkim, to coś tu jest nie tak. Prezes potrafi skrytykować każdego, lecz płytę, którą ostatnio wydał nie jest przełomem i mnie osobiście nie powala, więc nie wiem - ja bym nie mógł krytykować a potem nagrywać coś takiego, nijako nie dając właściwego przykładu. Ale wiadomo - każdy ma swój gust i dlatego jeden oceni tak a drugi inaczej.

Jeśli chodzi o teksty, ich oryginalność i pomysłowość, co Prezes zawsze podkreśla w recenzjach, jego płyta jest na pewno dobrym przykładem. Co innego bity...

Zgadzam się, dlatego recenzent powinien być osobą stojącą z boku, która słucha płyt, ma swoje wyrobione zdanie i na temat każdej produkcji może coś napisać. A ktoś, kto tworzy muzykę, zupełnie inaczej na to patrzy. On, słuchając płyty, słyszy warsztat. Słyszy, że w dwóch kawałkach jest ten sam bas, albo że stopa się powtórzyła. Wyłapuje rzeczy, na które zwykły odbiorca nie zwróciłby uwagi. Nie jest to do końca złe, ale zwykle wygląda to tak, że ludzie, którzy sami tworzą muzykę, piszą o wiele bardziej krytyczne recenzje niż ci, którzy po prostu muzyki słuchają.

Kawałek „Pelen Pokus” mówi o zepsuciu w polskim rap-biznesie. Jakie pokusy czyhają na wykonawców?

Przykładowo masz propozycję, żeby zagrać w miejscu, gdzie normalnie byś nie wystąpił, bo miejsce i potencjalni odbiorcy w dresach ci nie od-

-powiadają, ale masz dostać za koncert szybkie 2000 zł, bo imprezę robi jakiś dobrze postawiony koleś, więc masz opcję na łatwy hajs. Osobiście bym się nie zgodził, bo to byłoby wbrew mnie. Najpierw mówię sobie, że nie, ale potem pojawia się perspektywa korzyści finansowej, więc przemykam oko - tak nie można. Przykłady można mnożyć, nawet nie będąc hip-hopowcem. Cbodzi o różnice między tym, co mówisz, a co robisz. Kiedy to, co robisz w muzyce jest rozbieżne z tym, jak myślisz i co robisz na co dzień. Słuchacza oszukasz, każdego możesz oszukać, ale z tym będzie trzeba żyć. Jeśli ktoś potrafi żyć, mając coś na sumieniu, to fajnie, ale ja wszystko traktuję dość poważnie, wstałbym rano, spojrzał w lustro i byłoby mi przykro, że w odbiciu widzę frajera.

Decydują głównie kwestie finansowe?

Niekoniecznie. Czasem chodzi o zachowanie, np. na koncercie masz świadomość, że na sali są hardkorowcy, więc krzykniesz „CHWDP”, chociaż w rzeczywistości się z tym hasłem nie utożsamiasz. Określone działanie, żebyś zyskał fanów, żeby płyta się sprzedawała, żebyś był ogólnie fajny (choć w rzeczywistości wcale byś tak nie postępował) jest błędne. Będąc artystą, poniekąd prowadzisz dwa równoległe życia, bo jakiś tam wizerunek artystyczny sobie kreujesz. Ale jeśli go kreujesz, a nie jest sprzeczny z Tobą, to nie ma problemu. Fu np. na co dzień rozmawia z ludźmi normalnym głosem, natomiast w kawałkach jego głos jest niski i chropowaty, a to wcale nie jest zarzut, tylko przykład na to, mimo wszystko kreujesz sobie jakiś wizerunek i używasz głosu jako środka ekspresji. Prezes też nie wchodzi do sklepu i nie kupuje paczki fajek w taki sposób, w jaki rymuje, bo sprzedawca by na niego pewnie dziwnie spojrzał. Wszystko trzeba sobie wyważyć. Ale niestety, bardzo dużą pokusą w hip-hopie, jak i ogólnie w biznesie, jest hajs. Na to trzeba uważać i nie zboczyć.

Jak Ty sobie radzisz z tego typu pokusami?

Owal/Emcedwa: Nie mam z tym na razie problemu.

Mezo: Kawalek „Pełen Pokus” mówi też o tym, że kiedy nagrywasz sobie nielegalne płyty i działasz w podziemiu, jesteś całkowicie niezależny. A w momencie, kiedy wchodzisz w opcję koncertowe czy wydawnicze, gdzie możesz coś zarobić, nie działasz już sam. Jest wydawca, który ciebie promuje, jest okładka, która idzie w świat, są wywiady dla gazet... Jesteś wtedy pewnym trybem. Wiadomo, że musisz być głównym trybem, który to napędza, i chodzi o to, by mimo tego, że z każdej strony masz naciski, zachować swą niezależność. Nie jest to łatwe, ale trzeba starać się zachować swoją tożsamość i samego siebie.

Owal/Emcedwa: Nie wolno zapominać, że hip-hop to jest biznes, ale traktować to tak, jak wtedy, kiedy się nagrywało demówki: z pasją i zaangażowaniem. Chciałbym, żeby hip-hop był taki, jakie miałem o nim kiedyś wyobrażenie. Wszystko dla mnie było zajębiste, wierzyłem w ideały, był czysty, undergroundowy. Nie było wtedy legalni, na legalni był Yaro, Liroy i WYP3. A teraz każdy może wydać płytę, nie jest już taki problem, wiele osób ma możliwość nagrywania i niestety coraz bardziej się wkręcamy w tą machinę. Masz gościa, który ci załatwia koncerty, masz wydawcę, ktoś ci załatwia wywiad w jakiejś gazecie... I ty musisz powiedzieć, czy chcesz wywiad w „Bravo”, czy nie chcesz. Bo wydawca będzie ci podsuwał ten pomysł, jemu na tym zależy. On wie, że dzieciaki to pismo kupują, a jako że głównie oni przychodzą na koncerty, fajnie będzie się tą drogą wypromować. Nie twierdzą oczywiście, że Remik mi tak mówi (śmiech), ale ja bym do „Bravo” nie poszedł. To jest gazeta dla pewnej grupy wiekowej, do nastolatka pewnie ona trafia, ale ja czułbym się zagubiony będąc na którejś z tych kartek.

A propos nazywania polskiego hip-hopu biznesem, Tede mówi otwarcie o tym, że hip-hop stał się w Polsce interesem i trzeba na nim zarabiać, i zarabiać mają wykonawcy, a nie np. organizatorzy.

Tak, tutaj Tede ma 100% racji, ale takie coś jest niemożliwe. Jednak najwięcej zależy w przypadku wydania płyty od dystrybutorów, a weź się dogadaj z Sony Music Polska, żeby nie brali pieniędzy, która należy się Tobie? Ostatnio na WP był ciekawy artykuł o jakimś zespole, pokazali po kolei ile powinien dostać kasy z płyty, z reklam, z wszystkiego, a po drodze każdy sobie coś odkroił. Na końcu dla sa-

mych wykonawców została tak śmieszna suma, że gdyby słuchacze wiedzieli, jak taka procedura wygląda, przestaliby mówić o artystach, że muszą mieć pełno hajsu. Pełno hajsu w Polsce ma może Budka Suflera czy Wiśniewski, w hip-hopie natomiast nie jest aż tak pięknie, ja przykładowo chodzę cały czas do pracy. Pewnie gdybym miał zapewnioną koncertową stabilność, nie musiałbym tego robić. Hip-hop jest w pewnym sensie biznesem. Jeżeli robisz to co chcesz i masz możliwość zarobienia pieniędzy, które ci się należą, to dlaczego nie? Ty pracujesz w gazecie, sprzedajecie gazetę i również będziecie mieli z tego kasę.

Oby.

Na pewno. (śmiech) A ludzie patrzą na to w zły sposób. Jak jakiś zespół bierze 4000 zł za koncert to jest źle. Zapominają, że ktoś, kto tą imprezę zorganizował, ma 3 razy tyle. W Polskim hip-hopie tak już się przyjęło, że nie można zarabiać, że to jest coś nie tak, nieetycznie... Bzdura! Każdy chciałby żyć z hip-hopu, tylko niektórzy pozostają za tą maską poprawności i nie wiem czego tam jeszcze. Ja nigdy nie powiem, że nie chcę na tym zarabiać, bo musiałbym skłamać.

A nie uważasz, że zarabianie większych sum jest niebezpieczne z tego względu, że wykonawcy mogą przyspieszać nagrywanie płyt? Albo wchodzący na scenę MC's zaczęli robić kawałki takie, jakie najchętniej się przyjmują?

Ale stracą na tym. Dla tych, którzy są ślepo w ciebie zapatrzeni, wydasz następną płytę i chociaż będzie ona słaba, jeszcze jakoś przejdzie. Ale nowy słuchacz, jeśli zacznie ciebie słuchać od tej nowej, szybko zrobionej płyty, zauważy, że wypuściłeś gówno. To już od ciebie zależy. A jak to jest, i czy tak jest, to ci nie powiem, bo nie gramy koncertów za astronomiczne honoraria ani nie jesteśmy gwiazdami, żeby w tym uczestniczyć. Ja nie czuję pośpiechu w przypadku produkcji drugiej płyty. Oczywiście rozumiem, że nie mogę jej wydać za 5 lat, bo przez ten czas pojawi się wiele rzeczy, o których chciałbym powiedzieć. Ale nie czuję jakiegoś ciśnienia, że muszę to szybko zrobić, bo za rok skończą się koncerty i co ja będę robił? Nie czuję presji, żeby być na topie, płyta wyjdzie, kiedy przyjdzie na to czas.

Bardzo nie lubisz Liroya?

Widzisz, trochę nieprecyzyjnie zostało to ujęte w kawałku. Chodzi o to, że ten koleś miał potencjał. Zapoczątkował w Polsce hip-hop i chociaż to była 100%-owa kalka ze Stanów, na pewno miał duży wpływ na rozwój tej muzyki w Polsce. Ale on stanął w miejscu. Poszedł w złą stronę. Nagrał „Scyzoryka”, „Alboom”, „Bafango”, z płyty na płytę coraz gorzej. Koleś mieszka sobie w Gdyni, na pewno nie żyje mu się źle, bo sprzedał sporo płyt, a cofa się w tył, jego teksty z płyty na płytę są coraz gorsze. W tej chwili, powiedziałbym, wręcz katastroficzne. On kontynuuje taką wizję rapu, że idzie ulicą, widzi biedę, widzi żebraków, jest źle i w ogóle. Tematy poruszane 5 lat temu. Wątpię, aby hip-hopowcy, którzy przychodzą na nasze koncerty, zaliczali Liroya do hip-hopu. Kto go w ogóle zalicza do hip-hopu? Kiedy i gdzie Liroy zagrał koncert? Ja nie byłem na żadnym jego koncercie, bo o żadnym nie słyszałem. Dla mnie on stoi z boku. To nie jest nienawiść do Liroya-człowieka, bo go nie znam, ale do Liroya-artysty, nie podoba mi się to, co on robi. To, że sobie zaprosi DJ Tomkka, Ice-T czy niewiadomo kogo jeszcze, w niczym mu nie pomoże. Bo to, co robi, jest kiepskie.

Na Twojej stronie internetowej widnieje informacja, że zablokował SMS'y z Internetu. Dostawałeś takie, których nie miałeś ochoty czytać?

Pewnie wiesz, jak to jest, jeśli ktoś ma dostęp do Internetu, bardzo łatwo mu wysłać jakieś bzdury. Dostaję różne SMS'y, np. kiedy gdzieś zagram, a przecież jest dział „koncerty”. Albo czy nagram z kimś kawalek, a sto razy mówiłem, że nie nagram, kiedy kogoś nie znam, bo to jest bez sensu. Dziennie przychodzi pełno bezsensownych pikawek, ktoś dzwoni i puszcza jakiegoś kawałek, albo dzwoni jakaś laska i mówi: „Czy to Peja?”, bo ona ma ten numer z płyty SLU. Nie chcę takich sytuacji. Jak ktoś ma naprawdę jakąś sprawę, wyśle SMS'a z telefonu, poza tym można zadzwonić albo napisać maila.

Największa bzdura jaką dostałeś?

Ktoś kiedyś pytał się, czy mam jakieś wolne bity lub teksty (!), bo on kończy demówkę i musi sobie ją czymś zapełnić. (śmiech)

Dzięki za rozmowę.

Ja również dziękuję.

Rozmawiał: **Keb** (Czyste Słowa)

Prawdziwe imię: Nieznane.
Zawód: Kiedyś prywatny detektyw. W tej chwili zajmuje się zabijaniem wampirów.
Miejsce urodzenia: Nieznane.
Stani cywilny: Wolny.
Znana rodzina: Matka - zmarła.
Członek grup: Obecnie samotny jeździec, wcześniej należał do Synów Północy (The Midnight Sons), a także współpracował z Quincy'm Harker'em.
Wzrost: 188 cm
Waga: 90 kg
Kolor oczu: Brązowy.
Kolor włosów: Czarny.
Sily nadprzyrodzone: Dzięki temu, że jego matka została ugryzioną przez wampira, stał się po części człowiekiem i właśnie wampirem. Dlatego też może chodzić za dnia, nie działa na niego słońce i ukąszenia gorszego sortu braci.
Bronie: Blade szalał z małymi nożykami zrobionymi z tekowego drewna. Posiadał też miecz, który m. wywiał niczym Daniel Olbrychski na pamiętnej wystawie. Oprócz tego używał m. nóstwo broni palnej.
Debiut komiksowy: Tomb of Dracula (#10).
Debiut filmowy: Blade (1998).



BLADE

Podobne postaci:

- Seth Gecko (film „From dusk till dawn”): za sposób obchodzenia się z wampirami i zajebiste tatuaże
- Morbius (komiks „Spiderman”): za podwójną osobowość człowieczo-wampirza
- Elrond (książka „Władca Pierścieni”): również za podwójną osobowość, tym razem człowieczo-elfia
- Kain (gra „Blood Omen: Legacy of Kain”): za chęć zemsty
- Władimir Putin (życie codzienne): za zimne spojrzenie.

Najlepszy tekst: „Catch you at a bad time, Comrade?”

Cechy charakterystyczne: Czarne okulary, miecz, tatuaże na całym ciele.

Historia: Blade przyszedł na świat jako sierota. Jego matka zmarła kilka chwil po jego narodzinach. Powodem zgonu było ukąszenie przez wampira Diakona Frosta, powszechnie uważanego za wielkiego skurwiela. Pełne zemsty dziecko postanowiło odpłacić się oprawcy. Niestety, nie mając doświadczenia, musiało się do kogoś przylączyć. W filmie dołączył się do Whistlera, natomiast w komiksie stworzył grupę łowców ścigających Draculę (tak, tego samego, który wylizał zakrwawioną brzytwę Keanu Reeves'a). Wreszcie dościsnął go w kraju „kwitnącej wiśni i boskich wiatrów”, gdzie wsadził mu drewniany kołek w serce, tym samym odsyłając go w zaświaty. Jednak wierni słudzy króla wszystkich pijawek, komarów i nietoperzy powołali go ponownie do życia. Ten, w akcie zemsty wybił wszystkich pomocników Blade'a. Zrozpaczony Daywalker przylączył się do Quincy Harker'a i Rachael Van Helsing (potomkini najznamienitszego łowcy wampirów - grał go Anthony Hopkins w „Draculi”). Później Blade razem z innymi pomocnikami (zmieniał ich częściej, niż Sharon Stone świeciła ciecym w swoich filmach) pokonał Draculę i wszystkie inne wampiry na Ziemi. Z braku zajęć założył agencję detektywistyczną. Jednym z pierwszych zleceń było zabicie kozackiego motocyklisty z pionącą czaszką zamiast głowy - Ghost Rider'a, znanego wcześniej jako Johny Blaze (brzmi znajomo, nieprawdaż?). Jednak po długiej walce, Blade połączył się z ognistym harleyowcem i wspólnie zabili zleceniodawczynię (Królową Demonów - Lilith). Niestety, to nie był koniec problemów. Do świata ludzi ponownie wrócili wampiry, dlatego Blade musiał znowu ruszyć do boju.

Dotzent



HISTORIA KOSZYKÓWKI



JAMES NAISMITH WKROCZYŁ DO SALI GIMNASTYCZNEJ SZKOŁY DLA CHRZEŚCJAŃSKICH PRACOWNIKÓW W SPRINGFIELD, MASSACHUSETTS (SCHOOL FOR CHRISTIAN WORKERS) Z NADZIEJĄ, ŻE POSTAWI „KROPKĘ NAD I” W GRZE, KTÓRĄ WŁAŚNIE WYMYŚLIŁ. BYŁA PÓŹNA JESIEŃ 1891 ROKU, A ON WŁAŚNIE ROZPRACOWAŁ PRAWIE WSZYSTKIE DETALE SWOJEJ GRY, NAZWANEJ KOSZYKÓWKĄ. BRAKOWAŁO MU TYLKO... PIŁKI. W SALI LEŻAŁA PIŁKA DO FOOTBALLU AMERYKAŃSKIEGO I PIŁKA NOŻNA. NA SZCZĘŚCIE DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ KOSZYKARZY, NAISMITH NIE NALEŻAŁ DO LUDZI ZŁOŚLIWYCH. WYOBRAŹCIE SOBIE JAK MICHAEL JORDAN DRYBLOWAŁBY JAJOWATĄ PIŁKĄ PO PARKIECIE? ILE BYŁOBY STRAT PIŁEK? SIĘGAŁ WIEC PO PIŁKĘ NOŻNĄ I ZRODZIŁA SIĘ NOWA DYSCYPLINA SPORTOWA.

Nowa gra w ekspresowym tempie rozniosła się na uczelnie i szybko zyskała popularność wśród społeczności amerykańskiej. Podstawowe zasady zawarte w pierwszym regulaminie przez Naismitha narzucały wolną, prawie statyczną grę. Dzisiaj brzmią one dość śmiesznie, ale w swoich głównych zamierzeniach nie różnią się zbyt wiele od obowiązujących we współczesnej koszykówce: piłka może być rzucana lub łapana, w grze nie wolno korzystać z nóg, gracz nie może biec z piłką - musi ją odbijać, punkt przyznawany jest, gdy piłka wpadnie do kosza, kosz zawieszony jest na tyle wysoko, aby żaden z graczy nie mógł go dotykać.

Dzisiejsza koszykówka znacznie różni się od tej wymyślonej przez Naismitha przed ponad 100 laty. Przede wszystkim tempo gry znacznie wzrosło po tym, jak ktoś mądry wpadł na genialny pomysł, wycinając dno w koszu brzoskwińowym, stosowanym wówczas jako „bramki”. Sama piłka w zasadzie się nie zmieniła, oprócz jednej, bardzo ważnej zmiany, wprowadzonej w 1894 roku oraz wielu poprawek natury technologicznej, które spowodowały, że dzisiejsza piłka do koszykówki ma lepsze odbicie i łatwiej zawodnikom ją opanować. Według „Niesamowitej Książki o Koszykówce: Pierwsze 100 lat” („The Amazing Basketball Book: The First 100 Years”) pióra Bobba Hilla i Randalla Barona, w koszykówkę grano piłką nożną do sezonu 1893/94, kiedy to firma Overman Wheel Company of Chicago z Chicopee Falls, wyprodukowała nową, większą piłkę, o obwodzie od 76 do 82 cm - czyli o wymiarach zgodnych z dzisiejszym standardem 76 cm. Autorzy teoretyzują, iż być może większa piłka była łatwiejsza do opanowania przez strzelców, którzy w owych czasach rzucali oburącz. W każdym razie nowa piłka stała się jedyną piłką tej dyscypliny. Co ciekawsze, firma Overman Wheel Company stała się oficjalnym producentem piłki koszykarskiej dlatego, że według pierwszych przepisów: „Piłka ta została zatwierdzona przez ligę sportową Association Athletic League i musi być używana we wszystkich ligowych spotkaniach. Każda piłka jest ważona, mierzona i testowana przez Dr. Luthera Guilicka - sekretarza ligi, po czym przystawiana jest na niej pieczęć z jego nazwiskiem. Ważne jest, aby wszystkie związki używały takiej piłki, w innym przypadku nie ma gwarancji jednolitości”.

No cóż, przepisy to przepisy. Ale Hill i Baron przy okazji podkreślają: „Większa jednolitość panowała w ogródku warzywnym Guilicka, niż wśród pierwszych piłek koszykarskich”. Oczywiście nikogo nie zdziwił fakt, że inne firmy zaczęły produkować piłki do kosza. W oficjalnym „Przewodniku Po Piłce Koszykarskiej” firmy Spalding (Official Basketball Guide), który stał się biblią amatorskiej koszykówki, piłka koszykarska została opisana w sposób następujący: „Piłka będzie okrągła, będzie miała skórzaną obudowę, obwód nie mniejszy niż 76 cm i nie większy niż 82 cm, różnice w tych wymiarach nie mogą być większe niż 0,635 cm, wagę nie mniejszą niż 18 uncji, nie większą niż 20”. Dodatkowo jest tam zapis: „Piłka wyprodukowana przez A.G. Spalding & Bros. będzie oficjalną piłką. Oficjalna piłka musi być użyta we wszystkich spotkaniach”. Pierwsze piłki, niezależnie kto je wyprodukował, miały wiązany pęcherz, co nie czyniło ich solidnymi. Często pod koniec spotkania piłka taka traciła swój oryginalny kształt, bardziej przypominając jajo. Z tym problemem poradzono sobie dopiero w latach 30-tych, kiedy wynaleziono „lane” piłki. Stały się one oficjalnymi piłkami w tej dyscyplinie począwszy od sezonu 1949/50. Od tamtej pory jedyne zmiany, które wprowadzano, miały na celu zwiększenie jej przyczepności do dłoni, ułatwienie obchodzenia się z nią przez zawodników. Przez lata zmieniał się kolor piłki. Dopiero w 1957 roku, komisja zajmująca się przepisami gry w kosza postanowiła, że wolno używać piłki koloru naturalnego (skóry). „Jedyny wyjątek” - według Hilla i Barona stanowiło: „Używanie piłki koloru żółtego, ponieważ był najlepszym kolorem dla telewizji”.



Związek ABA z lat 60-tych i 70-tych zdecydował z kolei, że piłka w ich lidze będzie koloru czerwono-biało-niebieskiego. Natomiast NBA, przez swoje jak dotąd ponad 50 lat, używała piłki koloru naturalnego, aczkolwiek w latach 80-tych wprowadziła trochę szaleństwa i ich oficjalna piłka stała się mniej brązowa, a bardziej pomarańczowa, by być lepiej widoczna na ekranach telewizorów.

W 1932 roku w Genewie powstała Międzynarodowa Federacja Koszykówki Amatorskiej - FIBA. Obecnie zrzesza około 200 państw. Do Polski ta dyscyplina trafiła w początkach XX wieku. Pierwsze oficjalne spotkania odbyły się w 1909 roku we Lwowie. Kiedyś polscy koszykarze należeli do międzynarodowej elity. W 1963 r. we Wrocławiu, Polacy zdobyli złoty medal w Mistrzostwach Europy, w 1997 w Barcelonie srebrny, a w 1965 w Moskwie i 1967 w Helsinkach brązowy. Koszykarki zdobyły 3 razy Mistrzostwo Europy. W 1980, 1981, 1999 r. Debiut w programie olimpijskim nastąpił dopiero w 1936 r. (4. miejsce Polski). Złote medale zdobywały zespoły USA, a z rzadka ZSRR i Jugosławia.

Wielka ekspansja koszykówki rozpoczęła się w latach 80. i 90., gdy światową popularność zdobyli zawodowi koszykarze z amerykańskiej ligi NBA. Na olimpiadzie w Barcelonie w 1992 r., USA reprezentował po raz pierwszy w historii Dream Team, czyli Drużyna Marzeń. Był on najbardziej sensacyjnym zbiorem talentów koszykarskich, jakie kiedykolwiek zebrano w jednej drużynie. W Barcelonie znaleźli się: Magic Johnson, Michael Jordan, Larry Bird, Charles Barkley, Patrick Ewing, David Robinson, Chris Mullin, Scottie Pippen, Clyde Drexler, John Stockton, Karl Malone i gwiazda uniwersytetu Duke, Christian Laettner. Dream Team wygrywał mecze średnio różnicą 44 pkt., promując tym samym koszykówkę na całym świecie, czyniąc z niej jedną z najpopularniejszych gier zespołowych.

Myślę, że każdy kibic zna dalszą historię koszykówki. Pojawili się nowi zawodnicy, gwiazdy chcące zająć miejsce po Jordanie (Bryant, Carter, Iverson). Po jednorocznym panowaniu San Antonio Spurs, już drugi sezon ligę wygrali gracze z Los Angeles (trenowani przez najsukceszniejszego coacha, Phila Jacksona). Czy po raz trzeci z rzędu zdobędą mistrzowskie pierścienie? Przekonamy się o tym w maju, kiedy to zacznie się play-offy.

Rudas



POZOSTAWIĆ ŚWIATU SENTENCJĘ

Muszę przyznać, że miałem pewne obawy przed wywiadem z RZA. I nie chodzi tylko o respekt przed człowiekiem, który w 1993 roku płytą „Enter The Wu-Tang” zmienił układ sił na amerykańskiej scenie hip hop i mocno namieszał na światowej. Słyszałem bowiem, iż Robert Diggs nie jest zbyt przychylny dziennikarzom i zazwyczaj zbywa ich zdawkowymi półsłówkami. Jednak jak się okazało - niepotrzebnie się martwiłem. Bobby D. to bardzo sympatyczny, absolutnie nie obnoszący się ze swym gwiazdorstwem facet, a przy tym fascynująca osobowość. A jego wypowiedzi? Cóż, nie sypie referatami i nie jest nadzwyczaj wygadany, jak choćby szalony ziomek z Wu-Familii - Ol' Dirty, czy przepytany przez Setha w zeszłym numerze Sticky. Kiedy się słucha Roberta Diggsa, słowa, które leniwie płyną z jego ust, są takie same jak brzmienie muzyki jaką tworzy: hipnotyzujące, wyważone i oszczędne.

Blek: Co wiesz o Polsce?

RZA: Ludzie stamtąd są bardzo dumni. Znam Ivana Putskiego (znany także jako Polish Power, najśłynniejszy polski wrestler, odnoszący sukcesy w zawodowej lidze WWF w latach 80. - przyp. red.). Pamiętam, że jak byłem dzieciakiem, to z braćmi i kumplami jaraliśmy się tym co wyczyniał i naśladowaliśmy go.

Wu-Tang Clan ma w Polsce wielu fanów, wiedziałeś o tym?

Nie, nie wiedziałem, ale nie mogę się doczekać, żeby się z nimi spotkać.

Będiesz miał okazję ku temu już niedługo. Lepsza publiczność bywa na koncertach w USA czy w Europie?

Zależy, każdy koncert jest inny. Na moich koncertach zawsze wszyscy dobrze się bawią, ale Europejczycy przejawiają zdecydowanie większą miłość do zabawy, muzyki.

A co lepsze - koncertowanie czy praca w studio?

Obie te sytuacje są równie inspirujące.

A propos inspiracji. Jak wiadomo, Twe alter ego - Bobby Digital, nie wzięło się z kosmosu. Nadal, tak ja za młodzieńczych lat, fascynujesz się komiksami?

Tak, ciągle czytam komiksy. Może nie nazwałbym tego fascynacją, ale prawdą jest, że czytam je zawsze, kiedy mam na to ochotę.

Skąd w ogóle pomysł na brzmienie pierwszej, kultowej już płyty Wu?

Długo nad tym myślałem, czy była to iskra na zasadzie „będzie surowo, hardcorowo, dam trochę dźwięków z filmów o Sbaolin i rozjebimy świat”?

Myślałem nad brzmieniem bardzo, bardzo długo. Poza tym dużo czasu zajęła mi produkcja, a jeszcze więcej zajęło ludziom zapamiętanie tych klimatów.

Powiedz mi, patrząc obiektywnie - który solowy album członka Wu (wykluczając Ciebie) jest Twoim ulubionym? Tylko nie mów, że wszystkie...

To byłby miks „Only Built 4 Cuban Linx” Reakwon’a i „Return To 36 Chambers” Ol’ Dirtiego. Nie no, lubię wszystkie albumy Wu-Tang, ale gdybym musiał tak naprawdę wybrać tylko jeden, to „Cuban Linx” Reakwona.

A ulubiony hiphopowy album w ogóle?

Cholera, hmm... jest ich dużo, stary. Wybrałbym „Cuban Linx”, „Return To 36 Chambers”, „3 feet and rising” De La Soul, Eric B & Rakim „Paid In Full” i drugą płytę A Tribe Called Quest.

Z którego ze swoich dotychczasowych albumów jesteś najbardziej zadowolony?

Mówię zarówno o tych na których rapowałem, jak i o tych na których udzielałem się wyłącznie producencko.

Najbardziej chyba z „Enter The 36 Chambers” i „Wu-Tang Forever”.

Jestem dumny z nich obu, każdy miał dla mnie inne znaczenie, obydwa są mi niesłychanie bliskie, więc trudno mi wybrać.

Ścieżka dźwiękowa Twojego autorstwa do filmu „Ghost Dog” Jima Jarmusha zebrała bardzo entuzjastyczne recenzje także w naszym kraju. Czy myślisz, że soundtrack do „Kill Bill” Tarantino powtórzy ten sukces?

Mam nadzieję. Jestem nowicjuszem, jeśli chodzi o muzykę filmową, ale od niepamiętnych czasów chciałem to robić. Zacząłem z Jimem, a potem Quentin mnie zaprosił, znaczy to, że robię to dobrze. Skoro ludzie polubili soundtrack „Ghost Dog”, powinni docenić także „Kill Bill”... To znaczy, sądzę, iż tak będzie, chociaż tak naprawdę, z ludźmi nigdy nie wiadomo. Tym bardziej, że teraz stworzyłem coś innego, bezsensu jest się przecież powtarzać. Ale jedno jest pewne, ta kolaboracja Tarantino/RZA to będzie COŚ.

Widziałeś już „Kill Bill”?

Nikt jeszcze nie widział całości. Ale to, co widziałem, jest zdecydowanie imponujące. Quentin zaprosił mnie do Pekinu, pokazał mi parę scen, jakieś fragmenty. Wyglądało świetnie. Jestem fanem filmów kung-fu, więc możesz mi wierzyć.

Kto jest Twoim ulubionym reżyserem?

Oliver Stone i Cecil B. DeMille (słynny reżyser, aktor, scenarzysta i producent filmowy, tworzący w latach '20-'60 minione stulecie; wyreżyserował m.in. pierwszą hollywoodzką superprodukcję „Dziesięcioro przykazań” - przyp. red.). Cilvaringz uwielbia Cecil’a B. DeMille’a, obaj mamy wszystkie jego filmy.

Czy na tym etapie swej drogi życiowej i zawodowej, na którym się obecnie znajdujesz, nie musisz się już martwić o pieniądze?

Nie w takim stopniu jak kiedyś. Pieniądze to źródło wszelkiego zła, rządzą wszystkim wokół mnie, najważniejsze to nie pozwolić im rządzić sobą. Tak, dużo wpływów i równie dużo wydatków.

Czy zdarzają Ci się sytuacje, że przychodzi do Ciebie jakiś młody raper, mówi „słuchaj stary, świetnie rapuję, ale nie mam centa przy duży, a ponieważ bardzo Cię cenię, prosiłbym o podarowanie jakiegoś bitu”?

Tak, moja sława nie ma tu nic do rzeczy, ja się nie zmienię. Pomogłem w ten sposób już wielu braciom i wielu dziewczynom. Oczywiście zależy, jaki to typ osoby i czy jego intencje są rzeczywiście szczerze.

Masz jakieś autorytety?

Autorytetami są dla mnie prorocy i wszyscy wielcy, wspaniali mężczyźni, czyniący dobro.

Jakie masz zdanie na temat raperów grających w filmach? Pytam, gdyż nie tak dawno Samuel L. Jackson krytykował, że zatrudnia się

raperów tylko dlatego, że są sławni i przyciągają tłumy młodych ludzi do kin, zabierając tym samym rolę młodym, nieznanym aktorom.

No cóż, wielu raperów gra w filmach. Na przykład Larenz Tate. Kiedy go widziałeś w „Menace II Society”, myślałeś, że jest prawdziwym gangsterem, zgadza się?

Dokładnie.

Ale potem widziałeś go w melodramacie i był zupełnie kim innym, to jest aktorstwo. Z drugiej strony, wielu raperów na filmowej taśmie zachowuje się identycznie jak „na żywo”, czy to minus? Bo według mnie nie, są naturalni, szczerzy, to też jest aktorstwo. Oni naprawdę tak żyją. Zawodowi aktorzy przeważnie nie.

Czy masz przyjaciół wśród białych? Ale takich prawdziwych przyjaciół, nie znajomych.

Jasne, stary. Możesz być tego pewien. Przypuśćmy, że masz możliwość jeden dzień pobycć białym człowiekiem. Skorzystałbyś, żeby się przekonać jak to jest, czy nie?

Nie mam pojęcia. Wiesz, wolę nie rozmawiać o rzeczach, które są niemożliwe do zrealizowania.

Najbardziej zwariowana rzecz w życiu

jaką zrobiłeś?

Wiszenie z tyłu samochodu pędzącego 60 mil na godzinę. Robiłem dużo szalonych rzeczy w życiu.

Popierasz wojnę USA z Irakiem?

Jestem za wojną mentalną, umysłową, nie fizyczną.

Czy nie uważasz, iż Bush, poprzez otaczanie się współpracownikami pokroju Collina Powella czy Condoleezy Rice chce sprytnie zaskarbić sobie przychylność Czarnych?

Tak, przemknęła mi taka myśl przez głowę.

Czego możemy się spodziewać po następnej płycie Wu-Tang Clanu?

Autentycznej muzyki i przesłania. Czyli tego samego co przez ostatnią dekadę.

Jaki będzie RZA po 50-ce?

Myślę, że będzie ważną, liczącą się w świecie osobistością, pomagającą różnym kulturom się jednoczyć.

Masz jeszcze w ogóle marzenia, czy osiągnąłeś już wszystko do czego dążyłeś?

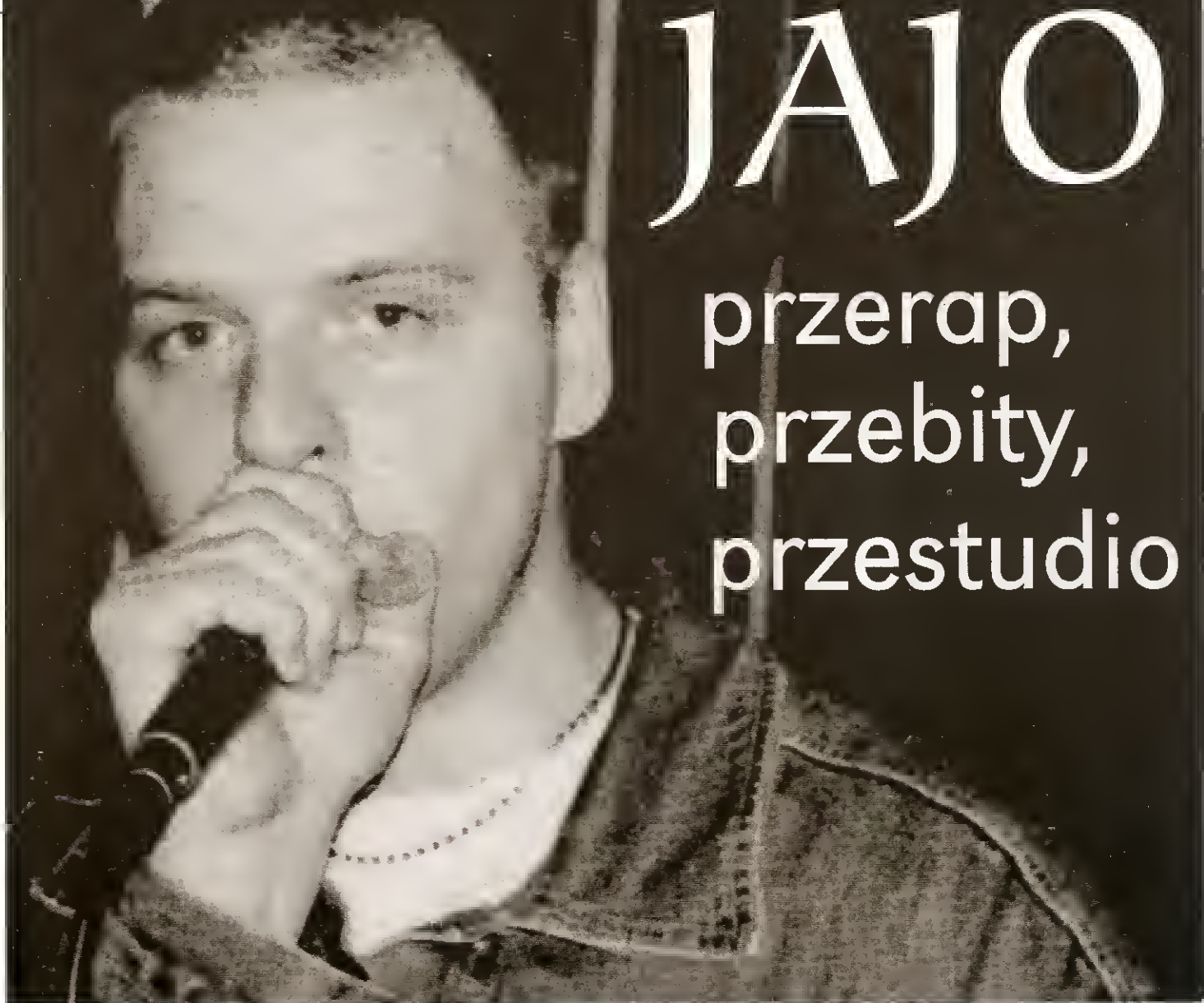
Mam jeszcze wiele marzeń, w sferze muzyki, nauki, filozofii. Muszę pozostawić światu jakąś książkę lub sentencję.



Rozmawiał: Dobry Piotrek
Podziękowania dla Setha za pomoc.

JAJO

przerap,
przebity,
przestudio



Blek: Robisz bity, sądzisz, że to profesja na dłużej?

Jajonasz: To się okaże, chciałbym żeby tak było. Jestem teraz na takim etapie, że są właściwie dwie drogi: albo zalapać gdzieś jakąś robotę, albo robić to co lubię, jednocześnie starając się z tego utrzymać. Nie ukrywam, że w chwili obecnej łatwo nie jest, liczę, że dzięki zaangażowaniu się w tą akcję z Przestudiem, coś się poprawi.

Czym właściwie jest Przestudio?

Przestudio (śmiech)... to nie studio nagrań, w Przestudio powstają przebity. Jest to moja działalność jeśli chodzi o robienie muzyki, mam tam parę urządzeń, na których pracuję robiąc muzykę. No i to jest moje Przestudio. Nagrania i mix są realizowane u IGS'a, tam są ku temu warunki.

Twoje najbliższe plany?

Pracuję nad swoją płytą - składakiem „Efekty Specjalne”. Kompletuję podkłady, niedługo chciałbym już powoli zgrywać gości, których zaprosiłem, sam też coś nagrać. Równolegle trwa praca nad płytą śpiewającej Siloe, którą mogliśmy słyszeć w kawałku HST „Kilka minut z nią”. Klimatami oscyluję pomiędzy r&b i soulem, ale bardziej zwracam się w stronę lat 70., czyli sporo samplowania, jednocześnie zachowując analogowe brzmienie.

Czego słuchasz na co dzień?

Jestem w miarę na bieżąco, jeśli chodzi o hip hop, przesłuchuję rzeczy, które wychodzą. 50 Cent fajny, Kool G Rap. Sean Price z Heltah Skeltah mi się podoba, Agallah, czekam na Group Home z undergroundowych. Czasem wracam do esencji reggae, do Michała Rosa i Gregorego Issaca.

Trochę danceball'u, i trochę rzeczy z lat 70. (Marvin Gay, Gap Band itd.).

Jak traktujesz hip hop? Jako zabawę czy jako muzykę niosącą przesłanie?

Jako i to, i to. Może być zabawą i może być jednocześnie swoim środkiem wyrazu, środkiem wyrażenia twoich poglądów; o to właśnie chodzi, robisz co chcesz człowieku.

Co powiesz o śląskiej scenie? Jak ona aktualnie wygląda, są jakieś dobre początkujące składy?

Nie wiem. (śmiech) Naprawdę to jest taka akcja, że troszeczkę jestem teraz jakby innym pokoleniem, wiesz, jest teraz kupę bardzo młodych ludzi, którzy coś robią, np. robią takie rzeczy, które nie wyszły poza ściany ich bloku, czy tam poza ich podwórko. Jest parę ekip, którym fajnie wróże, ale nie mam na tyle orientacji, żeby ci powiedzieć, czy są jakieś, powiedzmy, talenty w stylu HST. (śmiech)

A z Tobą jak było, jak powstawały pierwsze nagrania?

Zacząłem interesować się bardziej muzyką w '89 roku, wiesz, wtedy w Europie był boom na eurorappop, tak to mogę nazwać, wiesz, takie dyskotekowe rapowane szajsy jak Technotronic, MC Sar, Rebel MC, Double Trouble, BG the Prince of Rap, itp. Ktoś to pamięta? (śmiech) Jednocześnie pokazywały się też składanki, zestawiane prawdopodobnie w dużej części przez samych piratów, jak Famous Rap, 100% Rap, na których ten chłam przeplatał się z konkretnym rapem i tak zająłem się LL Cool J'em, EPMD, Run DMC, Public Enemy, Beastie Boys, Fat Boys, N.W.A., MC Eight'em. Później pojawiło się „Yo! MTV Raps” i było łatwiej, Magik miał antenę satelitarną i nagrywaliśmy wszystkie klipy.



Napisaliśmy rymy i nazwaliśmy zespół Young Rappers, nagrywając na Wilge. Później, pamiętam, że usłyszałem pierwsze próby robienia podkładu. Magik miał Commodore, na którym układał bity i jak wpadałem, to układaliśmy je razem. Potem była Amiga, a jeszcze później mój pierwszy pecet i Dygital Orchestrator, Fruity Loops. W tym czasie powstawały do pokładów nagrania Prohibite, moje, Łodzianina, Denego, Basa, pomagałem też Kalibrowi.

Teraz jak widzisz scenę hip-hop'ową w Polsce? Jak ją oceniasz, jakie miasta się wyróżniają?

Teraz już chyba w każdym małym miasteczku są ekipy, które rapują, nagrywają dema i jest tego coraz więcej. Tak samo jak jest coraz więcej syfu, jest coraz więcej ludzi, którzy już mają jakiś poziom. Hip hop stał się na tyle popularny, że zaczęło opłacać się w niego inwestować, co widać już na klipach. Niestety, poza Warszawą i ostatnio Wrocławiem, gdzie mają siedziby największe firmy wydające rap, w innych miastach jest chyba lipa, tak jak na Śląsku i Zagłębiu, nie ma tu pieniędzy, zaplecza marketingowego, nie ma ludzi, którzy by się zajęli hip hopem od strony promocji, managementu. Nie ma w końcu żadnego labelu, w związku z czym o wiele trudniej jest się przebić tym, którzy coś tworzą.

Czyli nielato jest zaistnieć w branży?

Trudno mi to ocenić. Teoretycznie powinno być tak, że jak ktoś potrafi dobrze nawijać, umie się z tym pokazać, powinien prędzej czy później, będąc konsekwentnym, zaistnieć. Z reguły jest jednak tak, że bardzo dużo zależy od tego, skąd po prostu jesteś. Nieporównywalnie trudniej będzie zdobyć jakieś uznanie i popularność w kraju, nie tylko lokalnie, komuś z małego miasta, o wiele łatwiej np. z Warszawy. Z drugiej strony, ludzie z różnych stron kraju współpracują ze sobą i pierdołą jakieś zamykanie się na swoim osiedlu, chcą się wymieniać z innymi, co myślą podobnie. **Czyli hip hop w Polsce nie jest dobrze promowany?**

Nasz nie. (śmiech) Myśmy chcieli zrobić parę rzeczy sami i to był pewien eksperyment dla mnie, ale jak się okazuje, tak naprawdę jest tylko wtedy dobrze promowany, jak się zwiąże z odpowiednią wytwórnią, która ma całe zaplecze biznesowo-managamentowe, gdzie masz załatwione wszystko, jeśli chodzi o koncerty, teledyski, wywiady, itd. To wszystko ludzie za ciebie załatwiają, bo nie możesz wszystkiego robić naraz.

Jaki masz stosunek do mp3?

Taki niestety, jak chyba większość ludzi w Polsce. U nas się ściąga mp3 i na tym się kończy, bo nie ma pieniędzy. Normalnie powinno być tak, że

się słucha po to, żeby potem, kierując się tym, kupić sobie płytę. Poza tym, większości tytułów, które mnie interesują, po prostu nie zobaczysz w sklepach i tyle.

Jesteś producentem, ale też rapujesz. Powiedz, co jest dla Ciebie bardziej interesujące, co jest dla Ciebie ważniejsze?

Obie rzeczy są fajne, ale ja bardziej wolę robić muzykę.

Inspirację czerpiesz tylko z hip hop'u, czy sięgasz też po inne gatunki muzyki?

Myślę, że jak szukasz inspiracji, to szukasz u korzeni. Wiesz, słuchasz muzyki, w jakiś sposób to się odbija na twojej twórczości. Ale jak naprawdę chcesz stestować coś zajebistego, to musisz sięgnąć do korzeni, czyli do tego, z czego czerpią ci, których słuchasz, wiesz o co chodzi, muzyka z lat 70. mnie kręci, reggae, souł, funk, itd.

Czym jest dla Ciebie hip hop?

I love hip hop and hip hop loves me... (śmiech)

Teraz freestyle, bo z tym wiele osób Cię kojarzy. Jak odbierasz freestyle? Jako formę sprawdzenia swoich możliwości, czy wyłącznie zabawę?

Wiesz co, jak pierwszy raz usłyszałem freestyle, nie pamiętam kogo, ale usłyszałem jednego koleś, wydawało się, że zajebiście freestyle, to było dawno temu, na koncercie pierwszym Kalibra w Mega Chubie. I wydawało mi się, że to jest przejebane i od tego czasu zacząłem próbować. Potem się okazało, że ten koleś nawijał tekst, a nie freestyle. Na freestyle czasem przychodzi czas, jak np. na wódkę i wtedy rapuję. Kiedyś często, ale teraz nie ma z kim się w to bawić, spośród moich ziomków, więc jak jest ku temu temat i tak się ułoży sytuacja, zaczynam gadać i tyle.

Jak Ci się współpracowało z HST? Ile czasu zajęło Wam przygotowanie Jego płyty i jak te przygotowania mniej więcej wyglądały?

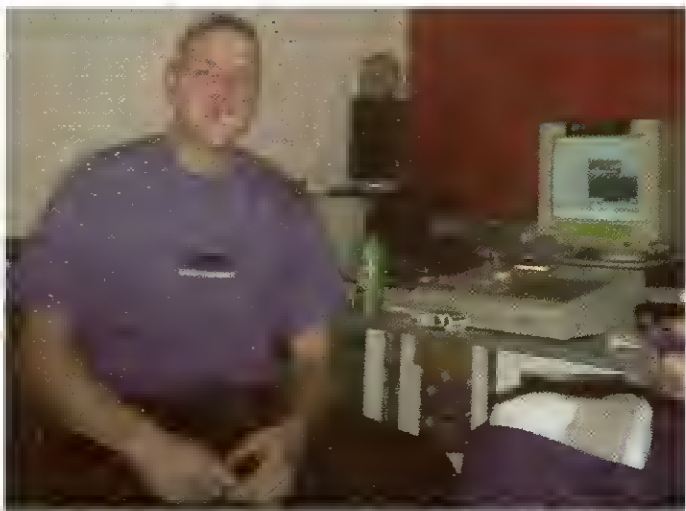
Ta płyta była robiona przez półtora roku, z czego ostatnie pół roku to było 90% tej roboty, pierwsze trzy kawałki powstały dwa, czy dwa i pół roku temu: „Masy ludu”, „Memento mori” i coś tam jeszcze, ale nie pamiętam. Potem była przerwa, potem znowu coś, a potem ostatnie pół roku to już cięższa praca. Kaczy przychodził mniej więcej co tydzień, miał jakiś tekst, ja robiłem podkłady. Z tym, że to jest tak, że też nie miałem takiego doświadczenia studyjnego, co okazało się, jak potem skonfrontowałem swoje podkłady z tym, co słyszysz w efekcie po masterze. Gdybyśmy tę płytę wydali we wrześniu, tak jak miała być, to by była dwa razy chujowsza, je-

–śli chodzi o stronę brzmieniową, itd. Jednak uważam, że jeszcze daleka droga przede mną, żeby osiągnąć poziom, który mnie usatysfakcjonuje, wiesz o co chodzi.

Zamierzasz dalej współpracować z HST?

Będzie HST 2, powoli będzie trzeba kompletować materiał na tą płytę. Już teraz wiem, że będzie w innym stylu, jeżeli chodzi o mnie, to zdecydowanie więcej sampli i mniej elektronicznie.

Co sądzisz o komercyjnym hip hopie?



Polska to nietypowy kraj, bo płyty, które są z założenia surowe i hardcore'owe, powiedzmy - uliczne, sprzedają się lepiej niż te, nazwijmy - łatwo wpadające w ucho, o pierdolkach i laseczkach, jak jakiś Yaro czy coś. Dlatego myślę, że w tym momencie trzeba pierdolić sam wydźwięk słowa „komercyjny”, powiedzieć sobie, że po prostu jest to ten hip hop, który leży na półkach sklepów i tyle.

Czy w Polsce da się zarobić na hip hopie?

Może się da, ja nie zarobiłem. (śmiech) Jak się sprzedaje w chuj płyt, to zarobisz na hip hopie, jak jeździsz i grasz dużo koncertów, to też zarobisz, jak tego nie robisz, to nie zarobisz, proste, nie?

Tak. Jak widzisz przyszłość polskiego hip hopu?

Nie mam pojęcia, nie jestem prorokiem. Wydaje mi się, że będzie pojawiać się coraz więcej produkcji z regionów kraju, które nie miały do tej pory okazji pokazać się, czy zaistnieć, itp., itd. A za 5, 10 lat, zapanuje wśród młodych nowa moda, nowa forma muzyczna, inny model życia i tak jak punk, metal czy inne ruchy subkulturowe, wypierdoli hip hop do podziemia i zostaną tylko stare rapery z przepitymi ryjami, wspominając czas jak to na bibach zapierdalało cykaczami tak znienawidzonego dziś przez niektórych bouncie. (śmiech)

Masz jakiś cel, kiedy robisz muzykę?

Możliwości mojej maszyny elektronicznej wykorzystałem w 100% praktycznie, więc teraz znowu wróciłem do sampli i po prostu sampluję; mam fajny sampel, układam mi się w głowie jakaś harmonia, układam bity, w tym momencie dokładam sampel i biorę muzykę. Chcę, żeby była najlepsza, chcę, żeby jakiś fajny patent był, nie chcę robić nudnych rzeczy, nie chcę robić rzeczy, które są zwykłe, chcę robić jakieś ciekawe bity, a jak mi to wychodzi, to już nie mi to oceniać. A potem tak sobie muszę pochytać, żeby na tym coś zarobić, proste.

Jaki masz stosunek do osób piszących o polskim hip hopie?

Wiesz co, takie osoby muszą być, to jest chyba normalne, ktoś coś robi, a drugi jest po to, żeby to oceniać. Niech se oceniają, to jest ich subiektywne zdanie, takie coś musi być. Trudno, żeby istniał jakiś muzyczny przemysł bez prasy i bez krytyków, to jest niemożliwe po prostu. Jak jest na to popyt i ludzie chcą słuchać, to muszą być ludzie, którzy opiszą to i nakierują, wiadomo.

Styl Twoich produkcji jest bardzo rozpoznawalny. Nie obawiasz się, że niebawem nie będziesz w stanie zaskoczyć czymś nowym słuchaczy?

Wątpię, bo nie umiem robić ciągle tego samego, wiesz, budować jakichś harmonii na tym samym schemacie. Zazwyczaj mam tak, że po pięciu, sześciu podkładach zbudowanych podobnie, wpada mi jakiś nowy pomysł i już następnych kilka chodzi inaczej. Już teraz te, które robię, są zupełnie inne od niektórych z płyty „Na Językach”, trochę inny klimat mi teraz wchodzi. Poza tym, nie zależy mi na tym, żeby kogokolwiek zaskakiwać, nie jestem komikiem i nie zastanawiam się nad tym, jak to ma być przyjęte. Robię pokład i chcę mieć swoją jakość.

Jak ważna jest muzyka w hip hopie?

Bez sensu jest przeceniać któryś z elementów. Mnie najbliższy jest rap, jakoś nie angażuję się w graffiti czy taniec. Dodatkowo myślę, że najbardziej komercyjnym, nie wiem, nagłośnionym i możliwe, że najszybciej ewoluującym elementem jest właśnie rap, który dzisiaj idzie już często zupełnie innym torem, np. w USA.

Dobrze jest być producentem? Chyba zadanie takiej osoby, to przede wszystkim działanie na korzyść innych...

Nigdy bym tego tak nie nazwał, obie części tej samej struktury ze sobą współgrają. Równie dobrze może producent powiedzieć, że to raperzy działają na jego korzyść, bo to on swoim, powiedzmy, charakterystycznym stylem (jeśli go ma) umieszcza rapera w jakiejś konwencji muzycznej, wiesz jak. Dla mnie, robienie muzyki (tak na prawdę nie wiem czy jestem producentem, wiele osób nadużywa tego słowa) jest po prostu większym wyzwaniem, mam wizję tego, co chciałbym usłyszeć do moich bitów, na moje potrzeby. Z przyjemnością też zapodam podkład czy też wyprodukuję kawalek na czyjąś płytę - zajebista sprawa.

Myślisz czasem o przyszłości, o tym, co będziesz robił za kilka lat?

Jak w ciągu najbliższych paru lat tak nie pochytałem, żeby móc spokojnie się utrzymać, wiesz, tak na luzie, to wypierdalać za granicę. I tyle.

Kiedyś, bodajże w Szczecinie, była bitwa na wolnym stylu, byłeś zaproszony, widniałeś na plakatach, a jednak Cię tam nie było, możesz powiedzieć czemu?

Sprawa jest prosta. Początkowo się zająrałem, ale po paru dniach zrezygnowałem, coś mi wypadło, możliwe, że miałem wtedy zajęcia, bo byłem na zaocznych. I tyle.

Coraz więcej zagranicznych artystów odwiedza nasz kraj, myślisz, że to dobrze?

Najlepiej. Zawsze chciałem zobaczyć na żywo tych artystów, składy, itp., którymi się jarałem. Mógłby w Katowicach ktoś sieknąć jakiś dojebany szol, chętnie stestuję. Najlepiej w Spodku: Reakwona, CNN, Mobb Deep, Snoop'a, Dogg Pound albo Nasa. Więc zapierdalać organizatorki i niech się stanie. (śmiech)

Co Cię motywuje, co inspirowa, gdy tworzysz muzykę lub piszesz wersy?

To jest takie pytanie z tej serii, że jak na nie odpowiesz, to to będzie mówienie na siłę, bo tak naprawdę, to nie wiem. Bo jak robię muzykę, sampluję, wpada jakiś sampel w ucho i od razu jak go słyszę, to wiem co z tym robić, dokładam potem coś innego do tej muzy i coś z tego wychodzi, a jak piszę (raz na pół roku), to wygląda to tak, że pół godziny piszę tekst, potem poprawiam i koniec.

Masz świetny flow, podobnie jak HST, czy to domena śląskiego hip hopu?

Nie. To jest domena moja i HST. (ŚMIECH)

Swego czasu byłeś wymieniany jako najlepszy polski MC, wiele osób do dziś nie może się nadziwić, jak taki świetny raper mógł nie wydać płyty, mimo takiego stażu na scenie. Jak się do tego ustosunkowujesz?

Wiesz, ja podejrzewam, że chyba odpowiada mi taka rola, że od czasu do czasu zrobię jakiś dojebany kawalek i tyle. Myślę, że do tego powinni się ludzie przyzwyczaić. Poza tym ja nie mam zamiaru iść na rentę, więc wszystko jeszcze przed nami chooowie!

Rozmawiał: Rudas



AUTOBUS DO PRZYSTANKU RÓWNOŚĆ

XIII poprawka do Konstytucji miała na zawsze znieść niewolnictwo, podziały rasowe, miała być gwarancją równości i wolności. Jej światłe idee odbiegały jednak od rzeczywistości, która jeszcze przez długie lata tkwiła w realiach minionej już epoki.

W niektórych Stanach, czarni nadal nie mogli czuć się pełnoprawnymi obywatelami, gwarantowane prawa, przywileje, pozostawały tylko zapisem, teoretyczną wzniosłą ideą, która nijak miała się do jakże odmiennej rzeczywistości. Często stawiali się ofiarami przemocy, uprzedzeń, prześladowań, a ich oprawców rzadko kiedy dotykał wymiar sprawiedliwości, ponieważ tak naprawdę ich postępowanie było wyrazem poglądów większości społeczeństwa amerykańskiego.

Przykładem takiego Stanu była m.in. Alabama (a głównie jej stolica - Montgomery). Jej mieszkańcy pozostawali głusi i obojętni na hasła wolności, równouprawnienia, ich światopogląd pozostał ograniczony, miarą człowieczeństwa był nadal kolor skóry. Również prawa były tu podzielone na prawa dla obywateli, tj. białych i zakazy dla pozostałych, tj. czarnych. Tu nadal obowiązywała rasowa segregacja, która dotyczyła wszystkich dziedzin życia - podziały w szkole, w pracy, w sklepie, w kinie, na placu zabaw, w taksówce, w autobusie. I właśnie ta ostatnia kwestia stała się punktem zapalnym, od którego rozpoczęła się fala protestów, od której zaczął się nowy rozdział historii amerykańskich Murzynów.

Korzystanie ze środków komunikacji, głównie autobusu, rządziło się swoimi „prawami” - czarni nie mogli siedzieć po stronie na której siedzieli biali, zmuszeni byli do opuszczenia miejsca, ustąpienia, w sytuacji, gdy biały nie miał gdzie usiąść. Karą za niedostosowanie się do takich zarządzeń było m.in. aresztowanie, grzywna, wyrzucenie z autobusu. Dotykały one wszystkich, bez względu na płeć, wiek, pozycję społeczną. Żywym przykładem na to jest m.in. Ann Robinson, która „dopuszczała” się zajęcia miejsca na przedzie autobusu. Za ten czyn została obrzucona wyzwiskami przez kierowcę, który w wyjątkowo nieprzyjemny sposób przypomniał jej gdzie jest jej miejsce. Podobnie było z Irene Morgan, która za nie ustąpienie miejsca została aresztowana i obciążona karą pieniężną w wysokości 10\$. Takie sytuacje z czasem stały się rutyną, która być może trwałaby jeszcze przez długi czas, gdyby nie 1 grudnia 1955 roku.

Tego dnia, czarnoskóra szwaczka Rosa Parks wracała jak co dzień autobusem z pracy. Tradycyjnie też zajęła miejsce wydzielone dla ludzi jej rasy. Kiedy do autobusu weszła grupa białych pasażerów, Parks nie wstała, nie zwolniła miejsca. Różne źródła podają, że Rosa była zmęczona i dlatego nie dostosowała się do powszechnie panujących zasad, jednak ona sama, jak pisze w swojej autobiografii, nie zrobiła tego z braku sił, „jedynym zmęczeniem, jakiego wówczas doświadczała,

było zmęczenie spowodowane ciągłym poddawaniem się, ustępowaniem”. Zgodnie z „prawem”, jak wszyscy jej podobni, została aresztowana.

To wydarzenie sprawiło coś, na co wszyscy czarni od dawna czekali - obudził się wreszcie uśpiony duch walki, walki o wolność, o równouprawnienie, o godność, o sprawiedliwość. Przełamano znowu milczenie, zgody na bezprawie. Czarni postanowili się bronić!

Jeszcze tej samej nocy, Ann Robinson wraz ze swoimi współbraćmi zaczęła planowanie akcji bojkotu autobusów. Jej liderem, czołową postacią stał się wkrótce mało wówczas znany pastor Martin Luther King. Swą charyzmą, zaangażowaniem i poświęceniem zaraził szybko czarnoskórą społeczność, która zorganizowała się i wspólnie utworzyła organizację pod nazwą Montgomery Improvement Association.

Kiedy rozpoczął się bojkot, mało kto przypuszczał, że akcja ta potrwa tak długo, że będzie miała tak znamienne skutki, że skupi w swych szeregach tak wiele osób. Nie był to jednak pierwszy tego rodzaju protest, podobnie działał m.in. w Louisianie w 1953 roku, w efekcie teoretycznie zniesiono podziały w autobusach, ale praktyka jak zawsze okazała się być zupełnie inna. Nadal jednak niektóre miejsca pozostały uprzywilejowane wyłącznie dla białych.

W Montgomery miało być inaczej. Bojkot sparaliżował komunikację miejską, po ulicach jeździły niemalże puste autobusy. Dla czarnoskórych mieszkańców nie był to żaden problem. Radzili sobie jak mogli, chodzili piechotą, jeździli autostopami, taksówkami. Nawet dla zmęczonych, schorowanych czy spracowanych ludzi, sytuacja ta nie była tragedią, przeciwnie - czerpali siły, widząc jedność i wolę walki u wszystkich protestujących. King bezustannie dodawał im otuchy: „(...) przyszlismy tu, aby uwolnić się od tej cierpliwości, która pozwala nam zadowolić się czymś mniej znaczącym niż wolność i sprawiedliwość (...). Nasze działanie musi być podyktowane najwyższymi zasadami wiary chrześcijańskiej.”

Bezustannie rodziły się nowe plany, w jaki sposób radzić sobie w tej sytuacji zastoju komunikacyjnego. Organizacja, na czele której stał King, postanowiła stworzyć tzw. „prywatne taksówki”, którymi zwyczajni właściciele samochodów wozili czarnych mieszkańców Montgomery. Pomysł ten okazał się być jak najbardziej trafiony. Biali mieszkańcy nie podzielali entuzjazmu Murzynów. Próbowali nawet dokonać rozłamu w czarnoskórej społeczności. 21 stycznia Komisarz

Miasta podał informację do miejscowej gazety, że podczas spotkania z przedstawicielami protestujących został osiągnięty kompromis i bojkot zakończył się. Oczywiście nikt z bojkotujących o podobnych ustaleniach nie wiedział, ponieważ tak naprawdę nie miały one miejsca. Cel nie został osiągnięty, protestujący nadal byli zjednoczeni w swym działaniu.

To doprowadziło zwolenników starego porządku do podjęcia bardziej zdecydowanych działań, do użycia przemocy. Wraz z tym zaczęły się oskarżenia, rozprawy sądowe, grzywny. Pierwszym z sądzonych był sam Martin Luther King, który w efekcie został skazany na 500\$ grzywny plus 500\$ kosztów sądowych lub 386-ciodniową odsiadkę w więzieniu stanowym.

Ale nawet to, czy też próby zlikwidowania „prywatnych taksówek”, nie zniechęciły bojkotujących.

Pewnego dnia zdarzyło się nawet, że kierowca autobusu zatrzymał się, widząc czarnoskórą, starszą kobietę idącą pośpiesznie w jego kierunku i powiedział żeby się nie martwiła, że poczeka. Kobieta zdecydowanie odpowiedziała, że to nie na jego autobus się spieszy, odmówiła. Sytuacja ta zaczęła powoli martwić białych mieszkańców miasta, którzy tracili coraz to więcej pieniędzy z powodu zastoju komunikacyjnego, zmniejszonych obrotów w największych sklepach. W związku z tym powstała grupa o nazwie Men of Montgomery, która próbowała dążyć do kompromisu z czarnymi i zakończenia bojkotu, ale w efekcie nie chciała ustąpić i negocjacje zostały zerwane.

Stopniowo, bojkotujący mieszkańcy Montgomery, postanowili dochodzić swych racji drogą sądową. Wiedzieli, że tylko pełna integracja i równość są jedynym rozwiązaniem konfliktu. Tak też stało się 13 listopada 1956 roku, kiedy to władza sądowa orzekła, że segregacja w publicznych środkach transportu jest niezgodna z Konstytucją i dlatego nie ma prawa istnieć.

Po blisko 381 dniach bojkotu, osiągnięto cel.

Czarni wrócili do autobusów, ale wolność i równość nadal były tylko pobożnym życzeniem, na którego spełnienie trzeba było jeszcze poczekać. Długo jeszcze było głośno o ostrzeleniu autobusów, zamachach i innych aktach przemocy na tle rasowym. Ale mimo to, akcja bojkotu autobusów stała się świadectwem zjednoczenia, wyrazem determinacji w obliczu niesprawiedliwości i nierówności wobec czarnoskórych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Autobus stał się punktem zapalnym, ogniwem, które rozpało nadzieję, rozbudziło motywację nie tylko w Montgomery, ale także w pozostałych stanach, tam gdzie czasy niewolnictwa nie były jeszcze zamierzchnią przeszłością, tam gdzie stereotypy, uprzedzenia wyznaczały codzienny rytm życia.

Renia



Na zdjęciu powyżej i na poprzednich stronach Rosa Parks

OKIEM OLDSKULA



Foto: Bartek Pogoda

„Adam Małysz przywrócił Polakom wiarę w pewne wartości” – tak powiedział Włodzimierz Szaranowicz podczas transmisji konkursu na średniej skoczni, podczas ostatnich Mistrzostw Świata w narciarstwie klasycznym.

Nie powiedział jakie, ale łatwo się domyślić, że chodzi o nadzieję i dumę narodową. Również i wiarę w sens naszej pracy.

Tej nadziei i wiary coraz mniej dookoła. Paradoks powstałej sytuacji polega na tym, że kiedy był bum połowy lat 90. – mnóstwo konsumowaliśmy, dużo było kredytów i dominowało przekonanie o przewadze dóbr konsumpcyjnych nad duchowymi.

Obecnie – w dobie totalnego bezrobocia – bieda staje się wyznacznikiem kierunku życia i wartości do których dążymy. Bieda wymusza stresi, które mają negatywny wpływ na wrażliwość wielu osób. Efektem jest sięganie po środki, które mogą je rozładować, czyli po różne używki, od alkoholu począwszy, na ciężkich narkotykach skończywszy.

Tacy ludzie jak Adam Małysz przywracają wiarę w sens tworzenia czegośkolwiek. Podobnie jest w muzyce. Wiele emocji wywołuje sukces Peji. Wiele osób zarzuca mu, że się skomercjalizował, że gra mnóstwo koncertów i że to już nie ten sam chłopak z Poznania co dawniej. Łatwo się teraz go ocenia i jeszcze łatwiej krytykuje. Niedawni pochlebcy stali się teraz gorącymi przeciwnikami. A Peja jest nadal tym samym chłopakiem ze Staszica w Poznaniu jak dawniej. Częściej może wyjeżdża na koncerty, poznał więcej osób, może inaczej troszkę myśli o ludziach i o życiu. Ale czy należy mu tego zabronić? Nie! On też dał – podobnie jak Małysz skoczkom – nadzieję wielu młodym raperom, którzy nie mają wsparcia wielkich firm fonograficznych, na to, że można odnieść sukces. I cały polski hip-hop powinien się z tego sukcesu cieszyć. Bo to nadzieja na to, że twórcy związani z hip-hopem pojawiają się w mediach w innym kontekście niż „łysy w szerokich spodniach i jointem w zębach”. Taki niestety jest obraz polskiego hip-hopowca, stworzony przez kilku dziennikarskich „pseudosocjologów”.

Już obydwa koncerty „Hip-hop Opole” pokazały dwie rzeczy: że fanów tej kultury jest mnóstwo oraz że sami wykonawcy potrafią wznieść się ponad podziały merytoryczne i regionalne i wystąpić na jednej scenie. Nie wiem czy będę robił kolejny koncert w ramach festiwalu opolskiego (na dziś jest opcja, że będzie to ktoś inny), ale wierzę w słuszność tej idei i jeśli tylko dostanę kolejną propozycję – przyjmę ją, bo wszyscy, którzy tam wystąpią i którzy przyjechali obejrzeć koncerty – zaufali mi – a to jest najwyższa forma uznania dla pracy człowieka. I dziękuję im za to.

Czas jakiś temu napisałem oświadczenie, w którym wycofałem się z działań związanych z polskim hip-hopem. Wytrwałem w swoim postanowieniu bodajże dwa tygodnie. Nie potrafię i nie chcę odmawiać pomocy ludziom, którzy propagują coś co lubię. To moja życiowa wiara w ludzi i nadzieja, że kiedyś będzie lepiej sprawa, że jeszcze chce mi się coś tam robić.

Ja, podobnie jak tysiące ludzi w tym kraju, traciłem wiarę w pewne wartości, ale dzięki takim ludziom jak Papież, Penderecki, Małysz czy kilku moich prawdziwych przyjaciół, odzyskałem ją. Życzę Wam tego samego, bo nie wolno się poddawać i należy cieszyć się sukcesami bliźnich, bo to tak naprawdę początek naszych sukcesów.

Hirek Wrona

TEDE



TEDZIO POWRÓCIŁ JAK PIERDOLONY BUMERANG

Tede, Tedeusz, TDF, Fleja, Fiodor - wiele imion, jeden przeziom. Nie trzeba go chyba nikomu przedstawiać, ale dla porządku przypomnijmy: już w połowie lat 90. Tede (jako Tas De Fleia), razem z Voltem i JMI, należał do legendarnej formacji 1kHz (Ein Killa Hertz). Potem, wraz z Ceu i Marianem, współtworzył Trzyha, które po odejściu Ceu i zajęciu jego miejsca przez Numer 1, przekształciło się w Warszawski Deszcz. WFD wydali jedną z najlepszych płyt w historii polskiego hip-hopu - „Nastukafszy”. Wszystkie te nazwy są już dziś legendarne, a Tede dopiero się rozkręca. Jest obecnie czołowym polskim raperem, wydał właśnie swoją drugą solową płytę oraz nielegal „Hałas”. Była więc okazja, żeby się spotkać i pogadać.

Blek: Czytałeś już jakieś recenzje nowej płyty? Jesteś zadowolony z pierwszych opinii?

Tede: Może to głupio zabrzmieć, ale tak naprawdę pierdolę opinie, bo jakbym myślał o opiniach, to bym już popełnił parę razy sepuku, po zesłaniu płyty na przykład albo po moich innych osiągnięciach, jak „Król Parkietu”. (śmiech) Natomiast wiadomo, że przez dwa pierwsze dni monitorowałem trochę opinie, zwłaszcza w Internecie, no i byłem zszokowany trochę, że się tylu osobom podoba. Czytałem też recenzję Flintstone’a, nie zdziwiła mnie, przypuszczałem, że coś w tym stylu będzie. I czytałem też inną recenzję, jeszcze bardziej pochlebną, więc spoko. Ale przygotowany jestem na najgorsze, wiesz, jestem już zaprawiony w boju, więc nie rusza mnie to. Mi się podoba, to jest najważniejsze.

Jak na razie większości się raczej podoba, słychać o wiele lepsze opinie niż po poprzedniej płycie...

No i bardzo mnie to cieszy. To znaczy, że mimo wiekowości stażowej ciągle jestem w stanie zaskoczyć czymś in plus, to budujące. To znaczy, że Warszawski Deszcz będzie zającibistą płytą. Po prostu w tym momencie już to wiem.

A wyjdzie kiedyś Warszawski Deszcz?

Wyjdzie w tym roku, w wielkiej wytwórni, teraz ma gdzie wyjść. Tylko teraz wiesz, pomyśl trochę z tej strony: wydawaliśmy jedną płytę w RRX’ie, potem ja wydałem drugą i czekaliśmy co będzie dalej. W sumie materiał mieliśmy i nie wydawaliśmy go, bo nie było wiadomo co RRX jest z tym w stanie zrobić, mogło to po prostu przepaść. I dobrze zrobiliśmy, teraz jesteśmy zvarci i gotowi. Numer kończy swoją płytę solo i robimy Warszawski Deszcz. Nagrywamy teraz na nowo, ten materiał, który nagraliśmy wcześniej, idzie do historii, może się ujawni gdzieś na nielegalu czy w Internecie na naszej stronie. I zaczynamy od nowa. Bo wiesz, już po prostu nowy poziom został wyznaczony na polskiej scenie przez wiele płyt i musimy się dostosować do poziomu, nie? Tak. Powinniście wydać te stare kawałki na jakimś nielegalu albo w mp3, jako przedsmak nowej płyty WFD...

No właśnie, taki jest plan, żeby to zrobić niezależnie od tego co o nich powiedzą. Chociaż na czas kiedy powstawały, a powstawały tak „do rok temu”, od roku mniej więcej żeśmy już nic nie nagrywali, bo w RRX’ie już się nic nie działo zbytnio i nie było warunków ku temu; na tamte lata są fajne, więc na pewno je umieścimy. Zwłaszcza, że jest taka opcja, że Krzysiek (Kozak, właściciel RRX - przyp. Seth) może to zrobić za nas, więc wiesz, musimy być szybsi, bo mamy ich więcej niż on. Ale myślę, że nie będzie głupi i tego nie zrobi. Byłoby to chujowe zagranie.

Jak wyglądają teraz Twoje stosunki z Kozakiem?

Generalnie ostatnio się ociepliły, od imprezy w Skarżysku (urodziny Mad Crew), widzieliśmy się tam po pół roku. Borixia też widziałem, ostatnio się trochę odcięliśmy od siebie. Ale ja jestem zwolennikiem pokojowego rozwiązywania historii na scenie i rozwoju pokojowego, to, że odszedłem z RRX’u, nie znaczy, że mają być antagonizmy. Zwłaszcza, że jak przyszedłem do RRX’u, jak żeśmy wydali Warszawski Deszcz, to Kozak chciał ze mną podpisać trzyletnią umowę na wyłączność. (śmiech) Ale nie podpisał, taką miał propozycję dla mnie, że podpiszemy umowę na pensję miesięczną nawet, że trzy lata tylko u niego robię. Ale trzy lata minęły i też się wykopcowaliśmy, wszystko było w ramach umowy niepisanej.

Ostatnio Kozak nawet założył bloga, gdzie...

Bloga nie czytałem jeszcze.

...zastanawiał się, jak go potraktujesz, kiedy się spotkacie i czy na płycie są na niego disy.

Nie, ja już nie będę nikogo disował. Zdisowałem Eldokę i już nie robię takich jazd. Różne osoby różnych disów się dopatrują na mojej nowej płycie, ale tak nie jest, zwłaszcza z „D.I.S em”, że jest na Sokoła. To nie jest na Sokoła, ale no tak wyszło, że dużo osób tak miało prawo pomyśleć.

Ale jak to jest z Sokolem, przecież on Ciebie disował („(...) a ty użyj jeszcze parę yo, bounce, jak biały murzyn” - featuring na płycie WSP).

Właśnie nie, bo tu jest cała zającibista historia, że kiedyś rozmawiałem o tym z Sokolem w Punkcie i mówię mu „Wojtek,

kurwa, zdisowałeś mnie”. A on mówi „Nie, kurwa, to jest na Borixona”. I potem żeśmy jeszcze rozmawiali i mówię „Myślałem, że to jest do mnie”, „Ale ja bym Cię nie zdisował”, „U mnie na płycie też usłyszysz i pomyślisz, że to jest do Ciebie, ale to nie jest do Ciebie”, ale widać zapomniał o tym. I jeszcze cały czas mi po głowie chodziło to canabis. Ale mam nadzieję, że już dużo osób się przekonało, że tak nie jest, zwłaszcza, że ten kawałek sam brzmi inaczej, a w kontekście całej płyty inaczej. Zamysł był zupełnie inny, no i fajnie tak jak jest. Natomiast wiem, że Sokół nie pojechał mnie z tym bouncem, przynajmniej tak mi powiedział. Myślisz że miałeś duży wpływ na rozpad Obrońców Tytułu, że Twoja wygrana w Płocku ich pograżała?

Na pewno ich osłabiła, czy pograżała to nie wiem, jakby nigdy nie zagłębiałem



się w ich struktury, że tak powiem. Nie wiem, jakie tam panowały zwyczaje i hierarchia, i nie miałem też zamiaru nic niszczyć, liczyłem na zupełnie inną historię, no ale wyszło inaczej. Nie myślałem, że się rozpadną, szczerze powiedziawszy myślę, że cały czas się tam jakoś trzymają razem.

Ciągle żywisz jakieś urazy do Eldo?

Nie no, generalnie powiedziałem co miałem do powiedzenia na ten temat i już więcej nie mam nic do powiedzenia i kontynuowania.

Pejs się skończył, ale podałbyś mu, na przykład, rękę na zgodę?

Znaczy, ja się nie mam z nim co godzić, bo już, kurwa, wiesz, co mam się godzić, okazał mi brak szacunku hip-hopowego, no i już. Ja dałem mu możliwość rewanżu na jego koncercie, a on udał, że mnie nie widzi. Chcieliśmy porozmawiać, to nie chciał z nami rozmawiać, więc wiesz, ja po prostu olewam typa. Nie chcę się z nim godzić, nie chcę się z nim kłócić. Po prostu w takich sytuacjach

uważam, że dobrze jest przyjąć zasadę „nie widzimy się, nie istniejemy dla siebie”, no i już. Niech on robi swoje, ja robię swoje i pierdolę to. „Dupoliza” nie ma na mojej płycie, jak widziałeś.

Czyli wspólnego kawałka nie będzie...

Nie no, nie ma w ogóle takiej opcji, zapomnij. (śmiech) Bez hip-hopowego „Wybacz mi”.

Myślisz, że RRR ma jeszcze szansę zaistnieć na polskiej scenie bez ludzi, którzy odeszli?

Szczerze im tego życzę, ale czy Krzyżowski się uda? Myślę, że wyciągnął na pewno jakieś wnioski, że trzeba to rozwijać, a nie tylko obserwować. A co będzie, to zobaczymy, jeszcze czas pokaże. Nie wiem nawet kto został jeszcze na pokładzie, ja uciekłem jak szczur z tonącego okrętu (śmiech), na moją izraelską łódź podwodną, która stała obok. Tak może Deliś napisać w swoim kolejnym felietonie. (śmiech)

Założyłeś z Ostaszem wytwórnię Wielkie Joł, a co to jest Pejs Entertejment?

Pejs Entertejment to jest po prostu nazwa zwyczajowa. Jeżeli znasz się na jakimś tam prawie gospodarczym, to wiesz, że żeby dwie osoby miały firmę, muszą założyć spółkę cywilną. Ale żeby założyć spółkę cywilną, trzeba mieć dwie działalności gospodarcze, więc moja działalność gospodarcza nazywa się Pejs Entertejment, to jest taka nasza jazda wewnątrz trzonu Gibon Składu i po prostu trzeba kręcić pejsa, żeby było fajnie. I dlatego tam jest ten ukryty napis. Wielkie Joł to Pejs Entertejment tak naprawdę. (śmiech)

Pan Pejs to też Ty?

Nie odpowiem na to pytanie (śmiech)... Nie no, proste, skąd by się wzięły takie typy jak Pan Pejs i DJ Buhh...

No właśnie, dlaczego wydajesz nielegal jako DJ Buhh, a nie jako Tede?

A właśnie, dzisiaj jest premiera (14 luty 2003 - przyp. Seth).

A na stronie ciągle nic nie ma...

Na stronie będzie jeszcze dzisiaj pierwszy kawałek, jeszcze jest czas do 12. w nocy, obsuwa musi być ziom, umowa jest umową, zawsze musi być obsuwa. A dlaczego DJ Buhh? No bo DJ Buhh jest przeziomem, wszyscy wiedzą, że jestem DJ Buhhem, ale jednak nim nie jestem, on żyje swoim życiem, jest pierdolniętym ziomem, zrobił pierdolony mixtape. Ale tam DJ Buhh tylko haftuje wszystko, czyli mówi co się dzieje i tak dalej, ktoś musiał to prowadzić, nie mogło być przecieź „Tede prezentuje Tede”. (śmiech) Zwłaszcza, że na tym nielegalu to jest 14 kawałków, z czego trzy są Numer Raza i jeden Kołcza z aparacją moją i CNE. No i taką wymyśliłem sobie jazdę, a to jest dopiero początek, druga część już wkrótce. DJ Buhh zapierdala na nielegalu, to jest zajebista jazda, bierzesz podkłady, które ci się podobają, i jedziesz. Nie muszę mieć niczyjej zgody, wypierdalałem sobie Jay-Z, z Killaz Group wziąłem sobie bit, co mi się tylko podobało, brałem wszystko. Nagrywam do bitów, które mi się podobają. I tak szybko to zrobiłem na takiej zawadce, to jest zajebiste. Myślę, że może kiedyś się w ogóle przeistawie na drugi obieg. W ogóle pomyśl, który koleżka z hip-hopowej sceny, z pierwszej ligi, zdobyłby się na taki krok, poświęcenia 14. kawałków. Poświęcenia, bo zakładałem, że dużo z tych koleżków, których znam, pisze te kawałki nie tak, że siada i pisze, tylko myślą nad nimi długo, jakieś przemyślenia swoje. A powiem ci, że tak naprawdę nielegal jest lepszy od płyty, tam są teksty trzy razy lepsze, bo napisałem je wszystkie po płycie. Zresztą zobaczysz. No więc taka jazda jest, żeby ludzie sobie pomyśleli, dlaczego zrobiłem podwójną płytę w cenie jednej i dlaczego jeszcze jedną dałem do Internetu. I potem pomyśleli sobie, kto jest komercyjnym raperem.

No właśnie, czemu dwie płyty w cenie jednej? Przecież mógłbyś na tym podwójnie zarobić...

Mogłem zarobić podwójnie. I z dwóch płyt można było zrobić jedną, bo takie opinie też słyszałem. Ale tak naprawdę, te dwie płyty były zrobione z trzech, a czwarta to nielegal. Ja po prostu nagrywam rap, co miałem z tymi kawałkami zrobić? A koszt wyprodukowania dwóch płyt jest tak naprawdę niewiele większy niż jednej, tam jest różnica z 1,5 zł, przy kasce jeszcze mniejsza, więc nie ma co osłabiać dzieciaków. W Lublinie płyta kosztuje 29.99 zł, a na piracie 12 zł, ale jest tylko 25 kawałków, bo wsadzili na jedną płytę. Na pewno nie wsadzili skitu z Rosjanami skurwysyny. (śmiech)

Myślisz, że piraci słuchają tych płyt, którymi handlują?

Wiesz no, hit musi na stoisku lecieć, jak to się mówi w ich gwarze. Więc zakładałem, że zrobią pirata podwójnego, że po prostu siłą rzeczy któryś kiedyś włoży płytę, włączy pierwszy kawałek i usłyszy. Ale wid-

-ac, że już selekcja nastąpiła zawczasu. Chociaż nie wiem, może on jest na piracie, bo nie widziałem jeszcze, tylko słyszałem, że jest.

Znasz rosyjski czy nauczyłeś się tych paru zdań na pamięć?

Nie no, rosyjskiego nie znam, tylko jestem w tym wieku, że rosyjskiego się uczyłem w podstawówce, to coś tam pamiętam. Na pewno bym się na jakimś tam poziomie porozumiał, ale jakoś nie miałem do tego talentu, a poza tym było to dawno temu.

Możesz powiedzieć coś o featuringach, dlaczego masz tak mało gości na płycie?

No bo wiesz, to jest typowa polska płyta hip-hopowa, trwa 2 godziny, ma dwa skity i 2. gości. (Śmiech) I kosztuje tyle co jedna. To jest płyta Tede solo, jakbym chciał nagrywać płytę „Tede i goście”, to bym nagrał płytę „Tede i goście”, a nagrałem płytę Tede. HST jest na płycie dlatego, że jak nagrywałem „Komer-cyjny rap” u IGS'a w Katowicach, to akurat HST był w studiu parę razy i po prostu się dograł. Dla mnie on w pewnym sensie pasuje, w pewnym momencie jest tak, jakbyśmy ze sobą rozmawiali i zostało to w tym kawałku. W sumie to był przypadkowy featuring. A z CNE to po prostu było tak, że jak przyszedł do mnie w lato i żeśmy siedzieli, to ja mówię: „Tomek, puszczę ci, kurwa, najbardziej wieśniacki bit na świecie”. On mówi „puść”, jak usłyszał to się zaczęliśmy śmiać, ta melo-dyjka, kurwa, najgorsza. I żeśmy siedzieli i pili tequilę, potem żeśmy pili gin i najebani ginem napisaliśmy ten kawałek, następnego dnia żeśmy go nagrali. I stąd się wziął ten featuring. Jedyny przemyślany featuring to w sumie Sistars. Po prostu usłyszałem jak dziewczyny śpiewają i się zajaralem, zrobi-liśmy kawałek w ostatniej chwili, tydzień przed masteringiem. Tak generalnie to nie planowałem żadnych featuringów. Borisu jest tam w drugich wokalach...

Borixon był w refrenie „Ciężkie jest życie rapera”, a potem go wyciąłeś?

Nie, ale pamiętaj jeszcze historię utraty danych z komputera. To było od nowa nagrywane i trudno było Boriksu wstawić drugi raz. Zresztą ta wersja, która jest na płycie, to jest po pierwszej utracie, ale przed drugą utratą, już trzeci raz tego kawałka nie nagrywałem, dałem go obciętego trochę, on był dłuższy w oryginale. Kilka kawałków jest z odzysku, „Pili gin” jest niezmasterowane i przesterowane, z odzysku jest jeszcze „360 obrót”, „Kredo” i „Ciężkie jest życie rapera” właśnie.

Komu pokazujesz fuck'a na okładce?

„Mam powód, żeby być tu znowu, środkowym palcem pozdrowić wrógów”. Pozdrawiam w ten sposób wszystkich, którzy wąpili. Wszystkich, którzy wąpili w Tedzia, a Tedzio powrócił jak pierdolony bumerang. (Śmiech)

Płyty żadnego innego polskiego rapera nie budzą tylu dyskusji i sensacji, jak się czujesz ze świadomością, że jesteś najpopularniejszym polskim raperem?

No wiesz, to jest popularność w obie strony, jedni mnie lubią, drudzy nienawidzą. (Śmiech) Ale generalnie jakoś wczułem się w tę rolę. Nie w sensie, że coś udaję, normalnie się zachowuję, jeżdżę autobusem, jeżdżę metrem, sram na to. Ale z drugiej strony zajebiście, udało mi się coś osiągnąć. Nigdy nie miałem czegoś, co bym robił dobrze, w niczym nie byłem dobry, byłem takim szaraczkiem. I nagle znalazłem coś, w czym czuję się dobrym i okazało się, że dużo osób to doceniło. I pięknie się z tym czuję, dało mi to dużo w życiu.



Myślisz o sobie czasem jako o żywej legendzie?

W pewnym sensie czasami tak myślę. Ale ja się nią nie zrobiłem, tylko mnie nią zrobili. Gwiazdorem też się nie zrobiłem, tylko mnie nim zrobili. I myślę w ten sposób czasami, bo tak czasami ludzie mówią. Ci, którzy przeżywają do dzisiaj „WuWuA” i 1kHz mówią, że to najlepsze, co w ogóle spotkało polski hip-hop.

A co sądzisz o porównywaniu Ciebie do Jay-Z, że jesteś jego polskim odpowiednikiem?

To dla mnie komplement, zwłaszcza, że jest to mój idol. Z idolem jest ciekawa historia, że nigdy nie miałem idola w sumie jak słuchałem rapu. A Jay-Z jest moim idolem. Byłem na koncercie w Kolonii, w trzecim rzędzie, cały koncert darłem mordę, po prostu jak najgorszy fan. Dzisiaj też czytałem w tej recenzji Flinta, właśnie też coś napisał, że Jay-Z może zarymować byle co, i tak się będą jarać, bo nie wiadomo o co chodzi, jak on to robi. Wiadomo, że dużo jest koleśi, którzy piszą zajebiste teksty, ale jak słyszysz te teksty to: a) dziesięć razy przesłuchasz, żeby coś zrozumieć; b) w życiu tego nie powtórzysz; c) słyszysz w tym najgorsze męki twórcze, przecież taki ziom przekombinował wszystkie możliwości. A ja to do tego mam takie podejście, że nagrywam i jadę dalej, zapominam o sprawie. Lubię sobie porapować,

traktuję to jako czynność taką powszednią. Mój pies się też nazywa Jay-Z, chociaż jest suką. Jay-Z, córka Hejzi. A druga córka Hejzi się nazywa Jigga. Vienio ma jej siostrę, Wujek Samo Zło ma jej siostrę, a CNE ma brata. Wielka psia rodzina. (śmiech) Taka jest historia o Jay-Z.

Powiedz, z czego żyjesz jak nie grasz koncertów, jak przez ostatnie pół roku, kiedy pracowałeś nad płytą.

Ostatnie koncerty były na jesieni. No, jak zwykle były tragiczne święta bez podarków, 20 złotych na tydzień, no i generalnie cały czas splacam długi. Jeszcze nie zacząłem zarabiać na płycie, więc w sumie jeszcze tak naprawdę ciągle się zaciagam. Teraz np. mam 30 złotych. Ale już sprzedałem parę płyt na lewo i zdążyłem spłacić trochę długów. Mam jeszcze tą akcję, że wiesz, na tyle jestem pewniakiem, że do pewnego poziomu mogłem się zadłużyć w rodzinie i wierzyli, że oddam, bo jakoś to wytłumaczyłem, że choćby nie wiem co, to tyle mi się uda oddać. No ale cały czas jestem zdania, że gdybym wydał płytę pół roku temu, to bym miał ciągłość zachowaną, i można się z tego utrzymać. Zresztą zauważ, że teraz coraz więcej osób zaczyna to przyznawać, że utrzymuje się z tego na luzaczku. Mówię o tych „pierwszoliogowcach”. Na nasze koncerty przychodzi po tysiąc osób i my bierzemy takie stawki, że to jest jakaś 1/3 tego, co bierze jakaś Kasia Kowalska, gdzie 300 osób przyjdzie. Więc nie ma w tym jakiejś pazerności, a dajemy jakoś radę.

Czy Twój wyjazd do Stanów miał jakiś wpływ na ostateczny wygląd Twojej płyty?

Nie, na płytę nie miał wpływu, natomiast miał wpływ na nielegal, trzy kawałki napisałem w samolocie, wracając.

Przywiozłeś sobie stamtąd jakieś instrumentale?

Akurat nie, jeden tylko mam stamtąd. Wiesz, ja robiłem tak, że takich w całości instrumentalni to miałem może ze trzy, a tak to brałem loopy. Niektóre są całe na jednym loopie i nawet tego nie zauważysz. Ale trochę tam przywiozłem, z Roc-A-Fella taki jeden zabebisty bit Rick Vocals z płyty Dream Team, taki r'n'b/soul.

A z tym „S.P.O.R.T-em” na Brooklinie to prawda?

No kurwa, na Greenpoincie jest sklep muzyczny, że takiego w Polsce nie widziałeś. Wchodzisz i masz półkę „polski rap”, nie ma płyty, która wyszła a tam jej nie ma. A jak jej nie ma, to jest pirat. Trzyha, S.P.O.R.T. na piracie, wszystko. W domu mam okładkę od pirata S.P.O.R.T-u, ziom mi przywiózł właśnie jak nagrywałem ten kawałek. Chłopaki tam jeżdżą wypasionymi furami, bo tam Navigator kosztuje 279 dolarów miesięcznie w leasingu, więc to nie jest duży problem, nie ma w tym przesady.

A jak tam z Group Home, nagrywacie z nimi ten teledysk?

No akcja jest finansowa w zasadzie, bo ten kawałek opłacił Kozak. My go mamy, i żeby go wykorzystać, musimy go wykupić. Jak byliśmy w Stanach, to nie spotkaliśmy się w ogóle z Lil' Dapem, a co jest najlepsze - kawałek nigdy nie słyszeliśmy do końca, mamy go na dat'cie, ale nie mieliśmy jak go przegrać. I on sobie leży schowany. I tak go trzeba przerobić, bo Lil' Dap go złożył tak, że nie wiedział o co chodzi i wszystko tam jest poprzestawiane, ale może kiedyś wykupimy tę zwrotkę z bitem i będzie. A jak nie, to na pewno da się załatwić inne światowe featuringi.

Ciągle czekasz na jakąś propozycję filmową?

Słuchaj, miałem propozycję filmową do niezależnego filmu (nie do tego, co soundtrack zrobiłem, tylko do innego), tylko nie poszedłem na casting. I widziałem ten film dwa dni temu, underground totalny, ale fajny. I widziałem moją rolę, ten koleżka zjebał, zrobiłbym to lepiej. Ale sprzedam ci plotkę, że wiem, że teraz powstaje film fabularny kinowy, ktoś hajs wyłożył, hiphopowa komedia, z hiphopowcami, ale jeszcze nikt mi nie zaproponował w niej roli. (śmiech) Ale nie wiem czy się będę mieszał w takie historie, bardziej jakieś kino sensacyjne chyba.

A jak tam Twoja następna płyta „Notes”, masz już wszystkie kawałki?

Nie no, jeszcze nie mam wszystkich kawałków, nie można też przesadzić z ilością. Więc ja sobie to robię na boku, to będzie taka bardziej przemysłowa płyta. Nie będzie dwupłytowa i będzie to bardziej to, co ludzie chcieliby usłyszeć, ale nie w sensie, żeby zaspokoić ich potrzeby, tylko żeby pokazać im, że nie jestem jakimś debilem, który ciągle pije wódkę, rucha dziwki, épa dragi i bansuje, tylko po prostu obserwuje życie i to nawet nieźle. Niektórzy się może zszokują moimi obserwacjami, ale rozkminiam wiele historii. Mam też wiele historii z tego osiedla do opowiedzenia. „Notes” będzie taką formą zapisów fragmentów z życia.

Możesz wyjaśnić o co chodzi z Twoim sąsiadem, który Cię denuncjuje?

Z doktorem Plamą? To jest stary skurwysyn. Zresztą jest teraz plan, że nakręcę undergroundowy teledysk do kawałka „Morda”, mam zioma, który mi to robi. Wszyscy poznają twarz doktora Plamy, bo się na niego zaczaje. To jest ziom, który mieszka w moim bloku, na drugim piętrze. Ja tu

taj nie mieszkalem przez 4 lata, wyprowadziłem się z rodzicami, a wróciłem sam. I nie wiem czy moi sąsiedzi mają wrażenie, że jak wróciłem nowym samochodem, jestem trochę większy, ogołony na łyso, to że wyszedłem z więzienia i jestem jakimś mafiozem. Trochę się tam mną przerażili, przynajmniej niektórzy. Stary ubek doktor Plama jest typowym społecznikiem z kawałka ZIP Składu, ma swoją poduszkę na parapecie i tam z żoną na zmianę napierdala obcinę z drugiego piętra. Jak tylko odpalam samochód, to skurwysyn już się patrzy. Ja krzyczę „Schowaj się ubeku!”. Jak zacząłem parkować pod domem, to poszedł do administracji i postawił słupki. 20 lat słupków nie było. I jestem jedyną osobą na tym osiedlu, której założyli blokadę na koła. Strażnik sprzedał mi numer mieszkania z którego dzwonili i to był doktor Plama. I dlatego nie daruję mu nigdy. Naprawdę kiedyś był ubekiem, ma swoją starą samarę i cierpi, zgred jeden.

Jakie plany wydawnicze ma Wielkie Jo! w najbliższym czasie, po kole...

Może w kolejności nie będzie, tak jak ci podam, ale tak: DJ Buhh wychodzi najpierw, bo wychodzi już. Potem Numer Raz „Muzyka, bloki, skręty”, płyta jest już prawie skończona, Sisters i Warszawski Deszcz. Teraz kwestia w jakiej będą kolejności. No i „Notes” ostatni, myślę, że po wakacjach, może na święta, żeby nie przesadzić. W sumie nie było mnie przez 2 lata, więc nie mogę teraz zrobić tak, że jestem 4 razy w jednym roku. No ale będzie dobrze. Sisters będzie zabebistą płytą. No i Numer. Numer to będzie taka jazda, że dużo ludzi na pewno czeka na taki rap, taki jak jest Numer, taki jak na Warszawskim Deszczu, taki, wiesz, sentymentalny, bity na loopach, no zabebisty klimat, „Muzyka, blanty i słodycze”, taki rap na pograniczu. Numer sobie tam zrobił parę zabebistych bitów. To będzie dobra płyta, na pewno wiele osób się zajara, bo to taki specyficzny klimat. Na pewno będzie inna niż moja i inna niż Warszawski Deszcz. A Warszawski Deszcz będzie inna niż moja i niż jego. Będzie wyznacznikiem mnie, Mariana i Numer, bo jesteśmy trzema tak różnymi typami, zupełnie innymi. I może to właśnie sprawia, że ten zespół przetrwał, chociaż nic nie wydaje, ale cały czas trzymamy się razem, nie się nie zmieniło. I może ludzie właśnie dlatego czekają tak na tę płytę, bo wiedzą, że połączenie trzech różnych wizji świata może być ciekawe.

A jak tam Twoje fanki, dają Ci życie, czy wydzwanają cały czas?

Nie no, nie robimy z tego paranoi, nie byłbym już jakoś oblegany. Nie wiem jak to jest, ale najpierw mnie lubią, potem coś robię i już mnie nie lubią. (śmiech) Jakoś tak potrafię zrobić, że już potem mi dają spokój. Ale generalnie bardzo je lubię.

Przydarzyły Ci się ostatnio jakieś ciekawe lub śmieszne historie?

Śmieszne historie? Proszę bardzo... Wracaliśmy pociągiem ze Skarżyska w tą niedzielę. Dojeżdżaliśmy już do Warszawy, a był to ostatni dzień ferii, dzieci wracały do domu, staliśmy na korytarzu, bo nie było miejsc. Ja jechałem, CNE, Kolcz, Wujek Samo Zło i jeszcze taki ziomek. I jakieś dzieci podlatują: „Łaaa! Wujek Samo Zło! O Jezu, a ten w czapce to Człowiek Nowej Ery! Łaaa!”. A oni mówią: „A tu Tede jest”, a dzieci: „Łaaaa!”, i zaraz wiesz, autografy, a za mną jakiś koleżka stal, taki normalny facet w okularach, a te dzieci: „A to kto?”. A ja mówię: „Włodi z Ewenementu”, a te dzieci: „Łaaaaaa! Włodi!”, i się na niego rzuciły, a ten koleżka w ogóle nie wiedział o co chodzi, ale nie zaprzeczył. Ale nic wyglądały na jakieś dzieci hiphopowe.

No już chyba jesteście znani nie tylko w kręgach hiphopowych...

Znaczący ja to nie, ale Wujek już tak. Jak z Wujkiem g d z i e ś idziemy, czy nawet jak u mnie w bloku windą z nim jadę, to się sąsiedzi patrzy. A jeszcze jedną miałem śmieszna historię. Jak się domyślasz, wszystko u mnie w bloku jest zaklejone „Tede płyta 2003”. I stoję przy samochodzie ostatnio, idzie taki siad, z którym nigdy nie zamieniłem więcej niż „dzień dobry”. On tak patrzy na mnie i pyta: „No i co, wystartowałeś?”. Ja tak patrzę na samochód i mówię: „Nie no, stoi”. „Ale płyta już wyszła, czy nie? Bo ja bym sobie kupił”. O kurwa, stary zgred, nawet nie wiem skąd wiedział, musiał po tych naklejkach dojść. Już mam fejm w bloku niezły.

Rozmawiał: Seth

Foto: Rafał Wielgus/BEBLUE



prorok rasta

Oto postać, o której z całą pewnością nie dowiecie się niczego uczęszczając do szkoły, a stanowi legendę muzyki reggae i muzyki w ogóle. Oto Robert Nesta Marley, bo tak brzmi w całości nazwisko Bob'a Marley'a, króla muzyki jamajskiej, proroka rasta i pierwszej gwiazdy Trzeciego Świata.



"Muzyka reggae stworzona została przez rastamanów, nosi w sobie ziemską moc, coraz więcej ludzi porusza się w jej taktach. Reggae, to muzyka ludzi, to wiadomość, to opowieść o sobie samym, to historia przeszłości. To wszystkie te rzeczy, o których nie nauczyli by was w szkole" (Bob Marley)

Bob Marley urodził się 6 lutego 1945 roku w miejscowości Nine Miles w prowincji St. Ann na Jamajce, w czasie II Wojny Światowej. Od najmłodszych lat był zaprzyjaźniony z Nevillem O'Riley Livingstone, swoim kuzynem ze strony matki. Z muzyką miał kontakt już jako mały chłopiec - jego matka śpiewała w kościelnym chórze, a Joe Higgs, przyjaciel domu, zrodził w nim fascynację amerykańskimi grupami The Impressions i The Ink Spots. Jako praktykant spawalnicy zetknął się z Desmondem Dekkerem i Jimmy Cliffem. Ten ostatni zaprowadził szesnastoletniego Boba do studia Leslie Konga, gdzie został wydany pierwszy singiel firmowany przez Roberta Marleya, pod tytułem „Judge Not”. W 1963 roku powstała grupa The Wailing Wailers, w której skład obok Marleya weszli: Neville O'Reilly Livingston (później Bunny Wailer), Peter Tosh (właściciel Winston Hubert McIntosh), Junior Braithwaite i Beverly Kelso (jedyna kobieta w kwintecie). Podczas nagrań korzystali z akompaniamentu muzyków sesyjnych (głównie The Skatalites), co było typowym zjawiskiem w raczkującej jeszcze wtedy jamajskiej muzyce popularnej. Ich pierwszym singlem był „Simmer Down”, nawołujący do pokoju w targanym walką polityczną getcie Trench Town, a wyprodukował go Clement „Coxsone” Dodd - właściciel studia One. Od początku drogi muzycznej, The Wailing Wailers byli wierni kulturze getta, z którego pochodzili, tam też mieszkali i tam znajdowali dźwięk. Źródłem ich powodzenia, popularności i szacunku, jakim ich otaczano, była wierność etosowi rudeboys oraz identyfikacja słuchaczy z przekazem zawartym w piosenkach. Nie można też zapomnieć o tanecznym charakterze ska, muzyki, którą pulsowało całe Kingston - stolica państwa, które zrzuciło więzy ucisku kolonialnego dopiero w 1962 roku. Wbrew ich popularności, mieli dość duże problemy finansowe. Wtedy właśnie grupę opuścili ich dwaj członkowie: Jr. Braithwaite i Beverly Kelso. W tym samym czasie Bob wyjechał do matki, która mieszkała w Stanach Zjednoczonych. Był to koniec pierwszego rozdziału w historii The Wailers. Pobyt Marleya w Ameryce był krótki. Wrócił do Jamajki, aby ponownie połączyć się z Peterem i Bunym. Pod koniec lat sześćdziesiątych znaleźli się pod opieką znanego producenta, Lee „Scratch” Perryego. Wtedy ponownie zaistnieli na szczycie jamajskich list. Rezultatem związku Wailer'sów z Perrym był, jak do tej pory, najlepszy okres dla Wailers. Utwory „Soul Rebel”, „Duppy Conquerer”, „400 Years” i „Small Axe” stały się nie tylko klasykami, ale definiowały przyszły kierunek muzyki reggae. W 1970 roku, Aston Familyman Barrett i jego brat Carlton (bas i bębny) połączyli się z The Wailers. Przyszli do zespołu jako niekwestionowana, najbardziej twarda sekcja rytmu w Jamajce; ich reputacja podczas następującej dekady nie miała się zmniejszać. Jakkolwiek zespół był jeszcze nieznany na arenie międzynarodowej, to miało się zmienić, gdy w 1972 roku Wailers'i podpisali kontrakt z wielką i znaną amerykańską wytwórnią Island Records. To był rewolucyjny ruch dla światowej sławy grupy, jak i dla całej muzyki reggae. Po raz pierwszy artyści jamajscy mieli dostęp do najlepszych studiów i optymalnego sprzętu. Byli traktowani tak samo jak grupy rockowe. Przed podpisaniem kontraktu zespołu z Island Records, reggae w Stanach sprzedawało się tylko w pojedynczych i tanich pirackich egzemplarzach.

Pierwszy album: „Catch A Fire” złamał wszystkie reguły: płyty były pięknie pakowane i mocno promowane. Był to początek długiego wspinania się na międzynarodowy szczyt sławy, szacunku, uznania. W następnym roku wydano „Burnin' LP”, który odgrzał stare piosenki, takie jak „Duppy Conquerer”, „Small Axe” i „Put In On”. Do nich dodano nowe kawałki: „Get Up Stand Up” i „I Shot The Sheriff” (który był także nagrany przez Erica Claptona, piosenka zdobyła pierwsze miejsca w Ameryce). W 1975 roku, Bob Marley & The Wailers wypuścili nadzwyczajny album: „Natty Dread” i latem zespół odbył trasę po Europie. Koncerty były rejestrowane, więc później została wydana płyta koncertowa „Live”, razem z singlem „No Woman No Cry”. Płyta i singiel odniosły ogromny sukces w Brytanii. Bunny i Peter zostawili kapelę. Bunny odmówił uczestnictwa w koncertach poza Jamajką (twierdził, że publiczność nie jest duchowo i emocjonalnie przygotowana do odbioru muzyki reggae), zaś Peter zdecydował się na solową działalność. W 1976 roku, płyta „Rastaman Vibration” wzbrowała się do Ameryki i trafiła tam na szczyty list. Dla wielu było to najlepsze i najbardziej jasne wytłumaczenie muzyki i wiary Marley'a. Na tym krążku znajdowały się: „Crazy Baldhead”, „Johnny Was”, „Who The Cap Fit” i być może najbardziej znaczący „War”. Słowa były zaczerpnięte z wypowiedzi imperatora Haile Selassiesa. W 1977 roku wyszedł na rynek „Exodus”, który potwierdził, że Marley jest międzynarodową gwiazdą. Pozostawał na brytyjskich listach przez 56 tygodni, a trzy single z tej płyty zostały przebojami: „Exodus”, „Waiting In Vain” i „Jamming”. W 1978 roku, zespół wypuścił płytę „Kaya”, która w ciągu tygodnia zdobyła numer czwarty na brytyjskiej liście przebojów. Był to album o miłości i oczywiście o potęgę ganji. W kwietniu tegoż roku Bob powrócił na Jamajkę (opuścił ją w 1976 r., gdy w strzelanie niemal stracił życie), zagrał koncert One Love Peace przed pierwszym ministrem Michael'em Manley'em i przewodniczącym opozycji Edward'em Seaga'em. Pod koniec roku po raz pierwszy odwiedził Afrykę, zmierzając początkowo do Kenii i do Etiopii, duchowego domu Rastafari. Marley wrócił do Afryki w 1980 roku, by zagrać koncert z okazji Dnia Niepodległości Zimbabw, w obecności rządu tego kraju. To był olbrzymi honor dla zespołu. W 1979 r. został wypuszczony „Survival”. Europejska trasa trwała rok. W tym czasie kapela dała stu tysięcy koncert w Mediolanie. Bob Marley & The Wailers byli teraz najbardziej cenionym zespołem i nowy album „Uprising” pojawił się na szczytach list przebojów całej Europy. To był okres maksymalnego optymizmu i planów dotyczących amerykańskiej trasy. Koncert otwierający ją odbył się następnej zimy. Zagrał na nim Steve Wonder. Bob Marley & The Wailers rozpoczęli wymarzoną trasę po Ameryce. Bob zagrał dwa koncerty. Jeden z nich w prestiżowym i słynnym Madison Square Garden. Niestety, zaraz potem poważnie zachorował. Diagnozą był rak. Marley walczył z chorobą osiem miesięcy. Walka zakończyła się klęską. Zmarł w szpitalu w Miami 11 maja 1981 roku. Miesiąc przed śmiercią, Bobowi przyznano order za zasługi dla narodów Trzeciego Świata. W czwartek, 23 maja 1981 roku w USA, odbył się honorowy pogrzeb, na który prócz gwiazd show-biznesu, fanów i członków rodziny, przybyło także mnóstwo Jamajczyków. Ciało Boba zostało zabrane do jego miejsca urodzenia, gdzie do dziś dnia spoczywa.



„Bóg uczynił mnie muzykiem. Ja o tym nie decydowałem. Byłem przecież facetem który pracował wśród mechanicznych rzeczy. Naprawiałem maszyny, samochody. Byłem spawaczem...”

„Wolność oznacza dla mnie zjednoczenie ludzi. Ludzie muszą być wolni i mieć prawo do własnych postanowień. Nasz umysł musi być niezależny, a można to osiągnąć przez prawa religii rastafariańskiej.”

„Muzykę zawsze inspirowały nasze przekonania i nasza wiedza. Oraz sposób w jaki dochodziliśmy do arkanów tej wiedzy. Muzyka reggae to muzyka o sobie samym. To własna historia - o swojej przeszłości i przyszłości.”



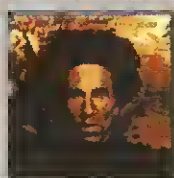
Dyskografia Bob'a



Catch the fire



Burnin



Natty Dread



Live



Rastaman Vibration



Exodus



Kaya



Babylon by bus



Survival

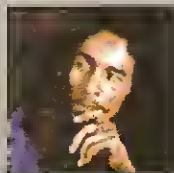


Uprising

Albumy pośmiertne



Confontation



Legend



Rebel music



Talkin blues



Natrail mystic



Soul almighty



Dreams of freedom



Chant down babylon



AALIYAH I CARE 4 U Blackground/Warner

Odeszła w kwiecie wieku, w najlepszym swym czasie, obwołana księżniczką r'n'b i dobrze rokującą aktorką. Aaliyah Dana Houghton zdołała wydać 3 bardzo dobre albumy, ostatni z nich wszedł na rynek już po jej śmierci. Teraz dostajemy kolejny, firmowany, tak jak poprzednie, pierwszym imieniem artystki. I tak jak poprzednie, jest to album wart uwagi, co więcej, bodaj najlepszy album Aaliyah. Dlaczego? Powodów jest kilka. Cieszy już sama, okazała grubość książeczki, obfita w zdjęcia pięknej gwiazdy. Zawartość krążka jest nie mniej satysfakcjonująca. Dostajemy najważniejsze przeboje Aaliyah, m.in. „We Need A Resolution” i „Try Again” produkcji Timbalanda, czy „Back And Forth” i „At Your Best” R. Kelly'ego. Do tego 6 nowych, wcale nie ustępujących tym najsłynniejszym utworów, wyprodukowanych przez Teddy'ego Bishopa, Jazze Pha, Rapture i Bryana-

Michaela Coxa, i słicznie wypiewanych erotycznym tembrem Miss Houghton. Dodatkowo mamy jeszcze bonusy w postaci całkiem przystoitego coveru „Got To Give It Up” Marvinie Gaye'a oraz teledysku do piosenki „Miss You”, w którym udzielają się m.in. DMX, Missy Elliott, Toni Braxton, Queen Latifah, Jamie Foxx, Elise Neal. Coż więcej dodać, dla fanów Aaliyah rzecz obowiązkowa, dla wielbicieli czarnych rytmów godna polecenia. Więc polecam.

Dobry Piotrek

ARETHA FRANKLIN RESPECT: THE VERY BEST OF Warner



Pierwszej składanki „greatest hits” dorobiła się w... 1967 roku. Konkluzja nasuwa się sama. Skoro pół wieku temu już wydawano największe hity Arethy Franklin, jaką moc musi mieć dwupłytowe wydawnictwo, które właśnie recenzuję? Wielką. Bardzo wielką. Nigdy nie byłem mocny w naukach ścisłych, ale niech tym razem liczby przemówią. Na światowej arenie muzycznej błyszczy już ponad 40 lat. W tym czasie wydała 53 (!) płyty i zasilila swymi utworami ponad 70 rozmaitych kompilacji. Doliczając niezliczone ilości EPek, singli i bootlegów, VHS i DVD, koncertów i featuringów, i tak nie będziemy w stanie wyobrazić sobie wkładu Arethy Franklin w muzykę soul. To jest nie do przecenienia, druga taka już się nie narodzi, to jest jasne jak (wstawcie sobie dowolne porównanie)... Wracając jednak do samej płyty, która nie dość, że jest elegancko i gustownie opakowana, zawiera 43 przeboje Królowej Soulu, m.in. „Respect”, „(You Make Me Feel) A Natural Woman”, „I Say A Little Prayer”, „A Rose Is Still A Rose”, duety z Eltonem Johnem, Eurythmics, Georgem Michaeliem, Georgem Bensonem, etc., wymienianie wszystkich nie ma sensu, Ameryki nie odkryję stwierdzeniem, iż nie ma tu słabego punktu. Ta płyta to biblia statystycznego czytelnika BLEK'a, musicie ją mieć.

Dobry Piotrek



BOOTSY COLLINS PLAY WITH BOOTSY Eastwest/Warner

Ostatnie płyty George'a Clintona nie powalały. Nie były złe, ale gdzie im tam do starszych, kultowych nagrań założyciela Parlamentu. Nowa płyta Warren'a G także nie należała do najbardziej udanych. I kiedy już zacząłem tracić wiarę w funk pod jakąkolwiek postacią, wydarzyło się coś niezwykłego. Pewnej pięknej niedzieli, jak zwykle przyszedłem damskie figi, gdy nagle...hmm, czekajcie. To nie ta opowieść. Zaczniemy jeszcze raz. Pewnego dnia, pod moim oknem wylądował funkship. Nic zrobiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia, gdyż w dzisiejszych zwariowanych czasach trudno nie być odpornym na wszelkie cuda i dziwy (szczególnie na dziwy pochodzące z terenów Europy Wschodniej). Rzeczony funkship zdecydowanie jednak nie był produkcją rosyjskiej, czy nawet ziemskiej, wystarczył jeden rzut sprawnego recenzerskiego oka, by utwierdzić się w przekonaniu, że ten latający blaszak przybył z okolic bliskich niejakiemu Alfowi. Tak więc, mimo iż pełen sceptycyzmu, postanowiłem jednak sprawdzić,

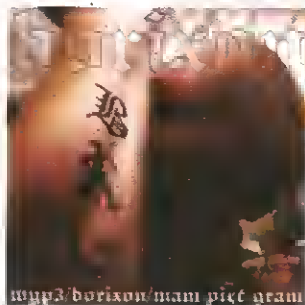
kto też śmiał bezczelnie wylądować w moim ogródku, traktując przy okazji grządkę dorodnych marchewek i żółtaczki (nie pytajcie, po co to hoduję...). Narzuciłem kurtkę i wybiegłem przed dom. W momencie, gdy zbliżyłem się do pojazdu, szwiszczący dźwięk przeszył powietrze i przezroczyste laserowe pole (takie samo jak porwało Daffy'ego w „Królik Bugs i przyjaciele w kosmosie”) wessało mnie do wnętrza maszyny. Lekko oszołomiony, rozejrzałem się. Tak urządzonego statku kosmicznego nie widzieliście na najlepszym science-fiction. Ściany w najjaśniejszych kolorach jakie jesteście w stanie sobie wyobrazić, z wyraźną dominacją różów, fioletów, błękitów, orgia barw. Do tego wszędzie porozmieszczane setki stroboskopów, tysiące neonów, miliony głośników, z których energicznie pulsował, a jakże, funk! Ale jaki funk! Wydałem z siebie nieartykułowany odgłos zachwytu i zacząłem się szaleńczo gibać jak przysłowiowy pierdolony rezus. I wtedy zobaczyłem Jego. Stał kilka kroków ode mnie z wykrzywioną w uśmiechu od ucha do ucha gębą. Na głowie miał wielki czerwono-żółty cylinder, na nosie okulary w kształcie gwiazdek. Ciało przykrywał jednocześnie kostium, tak różnokolorowy, że koleś niemal wtapiał się w tło jakim byliśmy otoczeni. „Straciłeś wiarę w funk” - rzucił, ni to pytająco, ni twierdząco, zanim zdążyłem otworzyć usta. „Już nigdy więcej nie stracisz” - ciągnął dalej. „Słyszysz? To nowa płyta Bootsy Collinsa”. Przytaknąłem. „Fajne, nie?”. Znowu kiwnąłem głową. „Bootsy powrócił. Funk ciągle żyje” - kontynuował jego mość. „Pozwól, że coś ci opowiem. Nowy album Bootsy'ego wyprodukowali najlepsi w branży. Mousse T., Fat Boy Slim, Royal Garden i inni. Gości też zaprosił najbardziej odjechanych. Snoop, Daz, Fat Joe, Kelli Ali, Cherine Anderson, Bobby Womack, One, Shakedown, Lady Miss Kier...” Stałem jak wryty, łapiąc każde słowo z tego monologu. „Dobra, ja tu tylko tak przelotem” - śmiejąc się znowu błysnęły. „Będę leciał. Łap” - w moim kierunku poszybował niewielki, kwadratowy kawałek plastiku. „Zrób z tego dobry użytek młodzieńcze. Piona!” - wypowiedział się, tajemniczy koleś jeszcze raz szeroko się uśmiechnął i pstryknął palcami. Znowu byłem w swoim pokoju. Za oknem ani śladu funkshipu, żółtaczka spokojnie kotłowała się na wietrze w miejscu gdzie go zasadiłem, ani trochę nie przygnieciony. I wszystko mogłoby w tej chwili wydać się złudzeniem, snem, gdyby nie jedna rzecz. Płyta, którą wciąż dziarsko dzierżyłem w dłoni. Płyta, którą od tamtej pory słucham na okrągło. Płyta, dzięki której znowu wierzę w funk. Wy jednak nie czekajcie na funkship. Pędźcie do sklepów.

Dobry Piotrek

THE BEATNUTS THE ORIGINATORS Landspeed

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, strasznie się chwaliłem i wywyższałem nad innych. Pewnego razu wyśmiałem rówieśnika z sąsiedniej klatki. Był to słaby psychicznie przypadek, ponieważ zalał się łzami i pobiegł do brata. Shit! - brata niestety się nie spodziewałem. Przez kilka dni nie wychodziłem z domu, jednak w końcu się przełamałem. Już po chwili spędzonej na dworze usłyszałem dźwięk szeleszczących spodni. Potem poczułem głęboko w dupie odcisk oryginalnego obuwia. Tym razem to ja uciekłem z płaczem do... mamy (przez lenistwo rodziców nie mam rodzeństwa). Od tamtej pory nikogo nie wyśmiewam, ani się nie chwale. „The Originators” po polsku znaczy „Twórcy”. Beatnuts wybrali sobie dość tajemniczo brzmiący tytuł. W czasie przeszukiwania płyty starałem się odkryć, stworzycielami czego okrzyknął się duet z Nowego Yorku. Przysłuchując się kolejnym utworom Ju Ju i Psycho Les'a nie mogłem jednak odnaleźć niczego, co mogłoby mnie zainteresować. Pospolite bity, nie wykraczające poza ramy oryginalności, a także cienkie flow obniżają wartość całego albumu. Kolejną ujmą jest też rzecz, którą kiedyś tolerowałem, a w tej chwili mam do niej mierny stosunek. Chodzi mi o braggadocio - styl, którym Beatnuts zalali całą płytę. Lubie, kiedy ktoś mówiąc, że jest najlepszy, robi to w dobrym stylu. Uwielbiam gdy MC's używają ciekawych porównań niszcząc przeciwnika i wywyższając się nad wszystkich. Nicstety, ostatnimi czasy nie usłyszałem jakiegś wyjątkowej „wychwalanki”. Duet z NY zalicza się do tych, którzy braggadocio starali się uprawiać na wysokim poziomie. Jednak ich chęci spełzły na niczym. Najwybitniejszy punchline, który usłyszałem na płycie brzmiał: „kiedy mnie zobaczysz, będziesz się trząsł, jak Michael J. Fox”. Więcej na podobnym, lub wyższym poziomie nie uświadczylem, albo po prostu reszta ciekawych porównań nie przebiła się przez skorupę muzyczną (nudzącą niemilościernie). Gdy krążyć za stygł w bezruchu, a z głośników przestały płynąć jakiegokolwiek dźwięki, był to znak, że album dobiegł końca. Nastąpiła chwilowa konsternacja. Pierwsza możliwość - puścić płytę od początku (może uda się znaleźć coś dobrego po kolejnym razie). Druga - dokończyć recenzję. Miłość do moich uszu zadecydowała, że nie powróciłem do słuchania Psycho Les'a i Junkyard Ju Ju. Chwalenie się nie wyszło nowojorskiemu duetowi na dobre. Może gdyby te bity były trochę lepsze, albo flow bardziej porównujące, to może wtedy album „The Originators” byłby łatwiejszy do przełknięcia. Jednak przez mierną wartość płyty, wrażenia po jej przesłuchaniu sięgają nizin estetycznych. Beatnuts ostatnim dziełem pokazali, że są twórcami hip-hopowej smutny. Strasznie tego żałuję, ponieważ poprzednie osiągnięcia Ju Ju i Psycho Les'a trzymały wysoki poziom. Demonstrowały umiejętności członków zespołu, polegające na zgrabnym wplataniu ciekawych słów w jeszcze ciekawszą muzykę. Mam nadzieję, że na nadciągającym koncercie Nowojorczyków nie dane nam będzie słuchać utworów z „The Originators”.

Dotzent



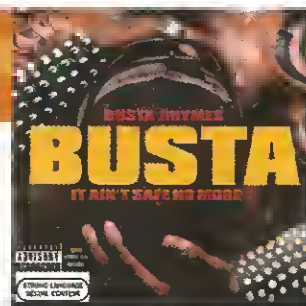
BORIXOX MAM PIĘĆ GRAM Camey Studio/RRN

„To niemożliwe!” - przecierałem oczy ze zdumienia, kończąc swój pierwszy kontakt z tą płytą. Po cichu wierzyłem w Borixona, miałem nadzieję na skok jakościowy od debiutu, czekałem na przyzwoitą jakość bauns, ale naprawę nie podejrzewałem tego typu o aż tak znaczny postęp. Ewidentnie największe zaskoczenie minionego roku, in plus oczywiście. Zapomnijcie o wypadkach z „Kolejnej części”, dobrze radzę, chyba uwagi Flintstona, by postawić na rozwój, poskutkowało. BRX udowodnił, jak wielki błąd popełnili ci, którzy go skreślili. Lubicie szampana? Jeśli nie, podarujcie sobie tę pozycję, ów trunek bowiem pojawia się tu wyjątkowo często, jest poniekąd motywem przewodnim płyty, a symbolizuje imprezowy styl życia praktykowany przez Borysa, o którym w 90%-tach traktuje recenzowany album. Jasne, można narzekać, mieszać rapera z błotem za monotematyczność i nieustanne przekonywanie nas, jak wielkim jest baunsiarzem. Ale on to robi z polotem, nie brak mu finezji ani pomysłów, należycie pływa po bitach, a do tego urozmaica flow na tyle, że słuchanie poszczególnych zwrotek jest czynnością doprawdy satysfakcjonującą. Oczywiście pod warunkiem, że na treść spojrzymy z przymrużeniem oka i pojmimy, że materiał służy rozrywce, a nie debatę nad sensem życia. Bo o ile do tego ostatniego kielecki MC średnio się nadaje, tak w dokładności opisu każdego z licznych baletów nie ma sobie równych. Wszelkie szczegóły do wglądu słuchacza, z markami szampanów czy wódek włącznie (pewnie sporo zgarnął za reklamę, sądząc po zapewnieniach, iż pali hajs). Tak przedstawia się 90%, o których mówiłem, pozostałe 10 to ta druga, wrażliwsza część Borysa: kilka szczerych słów („Pastele”, „Nienawidzisz mnie”), wspomnienia z przeszłości („Dedykacje”) oraz mimo wszystko wzruszająca, autentyczna historia miłosna („Dla EM”). Generalnie jednak bauns, bauns i jeszcze raz bauns, za to porządnie, miło dla ucha i... do świetnych bitów. Tak, to było płycie potrzebne, zapewnią jej solidny, porywający słuchacza wykop. Wreszcie dostajemy bauns, za który nie trzeba się wstydić, bauns zachęcający do wyjścia na parkiet, bauns przy którym bawiliśmy się z pełnym zadowoleniem nawet w towarzystwie umiarkowanie urodziwych dam. Od wysłuchania tego materiału nie wyobrażam sobie imprezy, na której miałoby się obyć bez kilku numerów z niego pochodzących, z „Cin cinem” oraz „Tak to wygląda” na czele. Coś czuję, że album obudził moją duszę imprezowiczą. Miło z jego strony. Plus kilka trafionych featuringów. Nie mogło zabraknąć Tedego, obowiązkowego kompana od melanży, podobna tematyka to dla niego zdaje się siódme niebo, nowością jest natomiast Gutek, który będzie nas cieszył, ale chyba tylko do momentu w którym usłyszymy go na każdej z wychodzących w Polsce płyt. Alkoholowe deliberacje w jednym z kawałków urozmaica PIH, jak zwykle brutalny i dosadny, zapada w pamięć. Podobnie jak przyjemny, kobiecy głos w „Dedykacjach”, wspaniała barwa, rozkosz dla ucha. Na swoim poziomie: Wojtas i Onar, bez zastrzeżeń, ale i bez zachwytów. Nie trafił do mnie natomiast ani Franek, ani Pėku, tym bardziej 1z2 (ciężko strawić jego kwestie)... „Mam 5 gram” muszę Wam polecić. Przy całej swojej prostocie jest to rzecz niesamowicie przebojowa, z energią, dynamiką oraz refrenami, które same wpadają w ucho, a potem chodzą za nami przez pół dnia. Brawo, Borillo. Jeszcze trochę, a stanę się fanem baunsu.

Keb (Czyste Słowa)

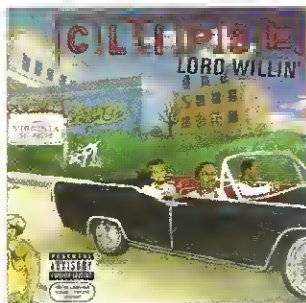
BUSTA RHYMES IT AIN'T SAFE NO MORE J-Records

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, strasznie lubiłem grać w szachy, układać puzzle i robić wiele innych rzeczy rozwijających mój intelekt. Zawsze olewałem różnego rodzaju zabawy dostarczające czystej rozrywki. Pewnego razu zauważyłem moich rówieśników grających w piłkę. Bardzo dobrze się przy tym bawili. To skłoniło mnie do spróbowania innego zajęcia. Po kilku meczach stwierdziłem, że ta „mało inteligentna” rozrywka, dostarcza tyle samo satysfakcji, co ta ambitniejsza. Busta znów szaleje i to w stylu na pewno lepszym niż na „Genesis” albo „Anarchy”. Na nowym albumie otoczyła go prawdziwa elita producentów. Podkłady stworzyli: DJ Scratch, Rick Rock, Wildstyle, Swizz Beatz, Ric Rude i rozchwytywani The Neptunes. Busta, poruszony wydarzeniami z 11 września 2001, zauważył, że nie jest już bezpiecznie. Dlatego też pierwszy kawałek traktuje o jego niepewności. Jednak jak się okazuje pod koniec utworu, nie boi się „skurwysynów zrzucających bomby na NY”, tylko śmierci. Przestrzega też czarnych, aby uważali, bo w każdej chwili może nastąpić Sąd Ostateczny, który usmaży im czarne dupski. Słuchając tych filozoficznych wywodów jakże inteligentnego MC, aż mi się lezka w oku zakręciła... Na szczęście więcej takich akcji ze strony pana Smitha na płycie nie doświadczyłem. Busta nie musi opowiadać o polityce, czy o problemach społecznych, od tego jest Public Enemy i inni. Wystarczy, kiedy dobrze i w porządnym stylu zarymuje do odpo-



-wiedniego bitu. Na „It ain't safe no more” jest mnóstwo takich kawałków. Prawie każdy od razu wpada w ucho i dobrze się tam czuje. Widać, że wszyscy uczestnicy tej płyty bardzo dobrze się bawili przy jej tworzeniu. Od pierwszego do ostatniego kawałka czuć luzny i przyjacielski klimat, co bardzo korzystnie wpływa na wartość krążka. Ogromnym plusem albumu jest na pewno śpiewający Busta w „I know what you want”, „Make it clap” i „Hey Ladies”. Natomiast goście, których zaprosił (Rah Digga, Spliff Star, Meka, Carl Thomas, Mariah Carey), są tu absolutnie zbędni. „It Ain't safe no more”, oprócz trzech kawałków, jest czysto rozrywkową płytą, na pewno nie perfekcyjną. Jest kilka utworów, które w ogóle nie przyciągają uwagi. Osoby, które lubią Buste zarówno z „When Disaster Strikes”, jak i z „Genesis”, powinny nabyć tę płytę. Gwarantuję, że znajdą coś dla siebie. Ludzie, którzy lubią pobawić się przy muzyce, mogą sobie sprawić ten krążek, lecz bardziej doradzałbym „Born to Reign” Willa

Dotzent (np. „Triple X” Rob'a Cohen'a)



CLIPSE LORD WILLIN Arista

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem klip Clipse do kawałka „Grindin’”, miałem mieszane odczucia. Pomyślałem sobie „co to jest?”. Obraz rozjaśnił mi się, kiedy ujrzałem wszędobylską ostatnio facjatę Pharella z The Neptunes. Coś zaintrygowało mnie w tym numerze i postanowiłem sięgnąć po całą płytę. Opłacało się. Zespół Clipse tworzą dwaj raperzy: Pusha T i Malice. Po perturbacjach z wcześniejszym materiałem, który nie ujrzał oficjalnie światła dziennego, debiutują albumem „Lord willin’” w nowej wytwórni Pharella - Star Trak. Momentu debiutu nie mogli wybrać sobie lepszego. Cała płyta jest wyprodukowana przez świeżący obecnie sukcesy na wszystkich wybrzeżach Stanów Zjednoczonych tandem producencki The Neptunes. Tradycjonalisci dostają białej gorączki przy ich produkcjach. Można ich lubić albo nienawidzić, jednak po przesłuchaniu „Lord willin’”, wypadają zdecydowanie in plus. Nie są to tanie, cykające, syntetyczne pierdy, do których nawija np. Nore. Mam tu różnorodność muzyczną, w którą świetnie wpasowują się Pusha T i Malice. Niektórych mogą denerwować również głosy raperów, przypominające dźwięk wydawany przez człowieka z przypiętym do nosa spinaczem do pościeli. Mi jednak, w tym przypadku, to odpowiada. Całość trzyma poziom, jednak są lepsze i gorsze momenty.

Skupię się na tych lepszych. W pierwszej kolejności weźmy singlowy kawałek „Grindin’” z gościnnym udziałem Pharella. Bit oszczędny, oparty praktycznie na samym brzmieniu perkusji, lekko tylko wzbogaconym w refrenie. Producenci tworzący bogaty w sample różnych instrumentów hip-hop klną na ten bit, jednak dzięki mocnym bębnom posiada on dynamikę, niewątpliwie przykuwającą uwagę słuchacza. Warto wspomnieć, że witryna HipHopSite.com, uznała „Grindin’” za bit roku 2002. Kolejny track, „Got’ damm”, to znów świetny, wpadający w ucho podkład, adekwatny do poziomu muzycznego rymy i udany refren Pharella. Następnie mamy opowieść o sprawach damsko-męskich, w której nie mogło zabraknąć kobiecego pierwiastka, jakim jest Faith Evans. Bardzo miło. Kolejny mocny moment płyty, jeżeli nie najmocniejszy, to drugi singiel pt. „When the last time”. Prawdziwa petarda. Typowy dla The Neptunes podkład plus opowieści Clipsów o wyrywanych na imprezach „chicks”, rozbijają każdą imprezę. Kolejny refren w wykonaniu Pharella i chórkę Kelis podnoszą jeszcze wartość przebojową kawałka. Idziemy dalej. Gościnnie występuje Fabulous’a, który trzyma swój wysoki poziom, w „Comedy central”. Tu jednak podkład po dwóch minutach staje się nużący. Za to, zaraz po nim, słyszemy świetny „Gangsta lean” i po raz kolejny Pharell z genialnym, przypominającym najlepsze momenty czarnej muzyki lat 70. wejściem. Świetne skrzypce i perkusja prawie jak zagrana na żywo, rymy także nie zawodzą. W kolejnych dwóch kawałkach gościnnie występuje, odpowiednio, The Lox i Jermaine’a Dupri. Nie wnoszą oni jednak wiele i zapewne nie jest to największy atut tego albumu. Kawałek z JD posiada jednak lekką nutkę przebojowości. Na koniec zabieg troszeczkę wtórny, mianowicie dwa remixy „Grindin’”, polegające na zaproszeniu gości, którzy nawijają ciągle do tego samego bitu co w oryginalnej wersji. Pierwszy remix z gościnnym udziałem Lil’ Wayne’a i a Nore, który reklamuje swoją płytę, jest raczej zbędny, natomiast drugi, „selector remix”, w którym świetnymi partiami reaguje popisują się Sean Paul, Bless & Kardinal Offishall, stanowią bardzo dobre zamknięcie płyty. Podsumowując, nie sposób przecenić wkładu Pharella i The Neptunes w ten materiał. Oddanie honoru należy się jednak także samym Clipsom. Świetnie wpasowali się w klimat płyty i chociaż dostajemy tylko kolejne opowiadania z serii „thug rap”, wyróżniają się na pewno flow i barwą głosów. Płyta nie stanie się klasykiem, jednak jest warta przesłuchania i w zależności od gustu, może się podobać. Na koniec mała dygresja. Chłopaki chyba są zbyt uzależnieni od Pharella, który ostatnio zakolegował się z nagle oświeconym przez hip-hop Justinem Timberlake, i pojawili się na jego albumie. Ba, pojawili się na pierwszym singlu z jego płyty i zarazem na teledysku. Może się czepiam, ale według mnie ex lider N’ Sync to marny partner do współpracy. Zajrzyjcie przy okazji na witrynę www.clipse.com.

Eskaubei

DONGURALESKO OPOWIEŚCI Z BETONOWEGO LASU Blend

Prawdę mówiąc, jeszcze niedawno na nazwę Killaz Group reagowałem bardzo sceptycznie, a to za sprawą ich, opublikowanych dawno, dawno temu kawałków, których jakość napawała mnie niczym innym jak niechęcią. Od ukazania się „Opowieści z betonowego lasu” puszczam jednak te odczucia w zapomnienie i staram się do nich nie wracać, doceniając, jak dobrą płytę wydał w tej chwili jeden z członków tejże poznańskiej ekipy - Gural. Czymś, co wyróżnia tego typu, jest piekielna charyzma, uderzająca z jego wokali z mocą zwalającą nawet twardszych słuchaczy z nóg. Już widzę setki kiepskich rymiarzy, z dostrzegalnym na kilometr uczuciem zazdrości na twarzy, w modlitwach o choćby odrobinę takiej energii. Gural osiąga ją dzięki syntezie rewelacyjnej barwy głosu z silnym flow - tak przedstawia się jego, wyjątkowo skuteczna, recepta na dobry MC’ing, klucz do sukcesu, największy plus płyty. On po prostu ma styl, ujarzmił nim poszczególnie bity, wyśmienie po nich pływa, wdzierając się w werble aplikując nam zastrzyk adrenaliny. „Wiesz kto ma ogień?” - pyta na swojej płycie PIH. „Wiem - Gural” - odpowiadam bez zastanowienia, będąc w stu procentach przekonany o swojej racji. Jakimi jeszcze atutami dysponuje poznaniak? Nie ma sobie równych w kwestii porównań, zaskakuje ilością i pomysłowością, a sięga po najrozmaitsze motywy, od chorób po planety układu słonecznego. Wyobraźnia jest jego mocną stroną, wyżył się co do tego wątpliwości już przy pierwszym kontakcie z płytą, wygrzebując się ze stosu rzeczowników wplecionych w metafory i liczne punchline’y. Sporo zalet, co jednak denerwuje: Gural momentami usilnie trzyma się jednej końcówki, jakby urządzał sobie konkurs na znalezienie wszystkich rymów do danego wyrazu, czasem mógłby naprawdę już się powstrzymać. Ponadto tematyka jego tekstów do najszerzej nie należy, parokrotnie zabacza o typowe, hip-hopowe sprawy, jak marihuana, wstręt do krytyków czy miejskie życie, a i tak nie mogą pozbęd się wrażenia, że 90% płyty to egotrip i powtarzane na wiele różnych sposobów stwierdzenie, „ja i moja ekipa jesteśmy najlepsi”. Tyle, że w wyjątkowo przystępnej formie, oraz na konkretnych bitach, za które odpowiadają panowie z White House. Przygotowując tak dynamiczne i pełne mocy podkłady, postarali się, by Gural miał na czym rozwinąć skrzydła. Efekt współpracy jest znakomity - wszystko idealnie ze sobą współgra, składa się w jedną całość, brzmi spójnie i cholernie równo. Materiał kończy się tak samo dobrze, jak się zaczyna, a po drodze ciężko natrafić na choćby jeden słabszy moment. Goście - są, tylko po co? Ewentualnie, dlaczego właśnie tacy? Większość z nich to bliscy znajomi głównego bohatera płyty, niestety w parze z zażyłością nie idą umiędzielniać, mamy nieudolne, acz śmieszne, próby naśladowania Daba (Beat Squad) + plejadę wulgarnych MC’s z agresywnym flow, nie do zniesienia niestety. Wybijają się z tego grona Wally, najprzystojniejszy z zaproszonych (muszę tutaj nadmienić, że wspólny numer członka K.A.S.T.Y i Gurala to jedna z moich ulubionych pozycji na płycie), on sam jednak nie pozwala zaliczyć featuringów do mocnych stron albumu, są one raczej obniżeniem formy i dobrze, że nie „zdobia” kawałków zbyt często. Nagrania straciłyby sporo uroku. Na koniec tradycyjnie dodam, że „Opowieści z betonowego lasu” wzbogacane są skrzeczaniami autorstwa takich DJ’ów jak: Twister, Haem, Kostek i Bambus, zwolennicy drapania płyt powinni więc poczuć się usatysfakcjonowani. Cóż powiedzieć więcej, płyta z gatunku tych, które znać wypada, bez szczególnej wartości merytorycznej, za to z charakterem. Polecam.

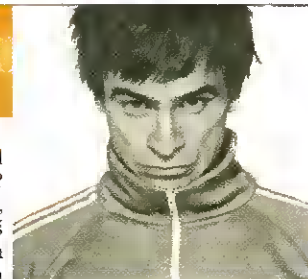
Keb (Czyste Słowa)



FISZ EMADÉ JAKO TWORZYWO SZTUCZNE

F3

Asfalt Records



Pan eFieSZet wraz z Emadem uraczyli plastikiem. Tworzywo Sztuczne jakich mało na scenie. Ogromny kocioł mieszanek uczuć, z przewagą krzyku rozpacz, zdrady, niespełnienia. Kolejna opowieść o codzienności. Jakiej codzienności? Tej za oknem, obok nas. Może elektryzując spojrzniętami (z okładki) i mogłoby się wydawać, że zaraz rozłożą na łopatki każdego, kto się sprzeciwi ich dogmatom. Jednak zawartość wcale nie ma nic z dyktatorskich cech, a panowie W. łagodnieją... Czasem coś głośniejsz skrzypnie czy zawyje. Grymasz? W myślach mnożą się pytania. Przysmykam oczy, słyszę jakieś szumy, a potem bujam się w rytm kolejnym kłaśnieć, takich poklasków nigdzie nie spotkałam. Wracają wspomnienia... Tym razem dwóch równoległych współautorów. Już na poprzedniej płycie, „Na wylot”, można było się przekonać, że bracia dopełniają się idealnie. Jeśli ktoś chce poczytać, co sam Fisz sądzi o „F3”, polecam jego stronę: <http://fisz.asfalt.pl>. Krótko o opakowaniu. Jest papierowe, o dwóch okładkach, na których widnieją popiersia Waglewskich, a w środku... samo-locik. Dostępnym przyjemne, w jasnoszarej tonacji. Prócz podstawowych informacji, nie ma nic. Najwyraźniej nie chcą zdradzać, jak tworzy się takie perełki... Muzyka plus wyziew z gęby to 14 wartych uwagi pozycji. Utwór pierwszy, czyli wprowadzenie w klimat krążka. Słyszac, rzeczywiscie „Zapominam” o problemach dnia codziennego. Głos Nuno wtapia się delikatnie w fiszowy tembr i przyjemnie harmonizując z bitem, wszystko trochę jazzuje. Dwa to „Superfrajer”, kolejny tararara-mruczący apel o odrobinę miłości. Fisz szepcze prosto do ucha. Słuchasz i jesteś „tu i teraz”; automatycznie, spokojnie myślisz, by zrobić coś dobrego. Ponownie występuje Nuno, dodając całemu utworowi tego łagodnego, intymnego wręcz szlif. Rozmyte klawisze... I brutalnym werblem wdziera się „Dynamit”. Fisz, ze znaną sobie bezpośredniością trafia w sedno, ujmując miłość jako towar na sprzedaż. Tylko, kto chce ją kupić, skoro nikt jej nie reklamuje? Zwykłymi słowami w niezwykle sposób opisuje podaż i popyt na miłość. Prawa rynku? Przepraszam, po ile kilogram miłości? I skit. Zaznaczony na płycie koleczkiem jak pozostałe dwa instrumentale. Ciekawe bębny, lekko dubując dźwięki. „Narkotyki” - lekkie niedopowiedzenia, dosadny, trochę dołączający tekst i olbrzymia przestrzeń mimo dosyć sporej ilości słów, jeśli brać pod uwagę ilość wyrazów na płycie. W interesujący sposób zrealizowany jest wokal... „Niedopałki” - podrasowany jazzem funk. „Funk to hip-hopu abecadło” - tak kiedyś krzyczało WYP3. Tu jak najbardziej na miejscu, choć osobliwość tego utworu, nie pozwala zakwalifikować go do czystego funk albo czystego jazzu, a już na pewno nie do czystego hip-hopu. Trochę taki klubowy kawałek. O niedopałkach i złocistym alko. „Warszafka” feat Pablo Hudini. Rzeczywiście najbardziej rapowany utwór. Ironiczny, uśmiecham się pod nosem. Scharakteryzowanie społeczności VIP-ów - idealne. Pablo, jak na mój gust, trochę za bardzo próbuje wpasować się w specyfikę Fisz. W kilku momentach jego intonacja drażni. Tu konfrontację wygrywa oczywiście Fisz, choć całość brzmi dobrze, nawet bardzo, intrygująca trąbka na zakończenie. Psst! Psst! To spray czy może... Specyficzne rozpoczęcie „Snurowadeł”. Symbolizm utworu jest aż nazbyt czytelny. Rozsnurowane buty, słoik i lekko wyczuwalna ironia, a może ja jestem już przeczułona. Utwór o zdradzie i samotności... inny niż wszystkie, które było mi dane usłyszeć. Następnie znów coś zagrane na żywo „Portfel”. Przypadł mi do gustu... takie lekkie rozważania na temat pieniędzy. Napisany z autopsji, „mocno narracyjny”. Połączenie tabli, skocznych bębnów i wesołego piana = kolejny instrumental. Zamiast charakterystycznych kłaśnieć - Rhodes. Całość posiada optymistyczny, bujający klimat. „Loff” - po tytule spodziewałam się czegoś innego, jednak to, co Fisz przygotował, jest równie smaczne. Mocne brzmienie, „twardy” bit lekko złagodzony trąbką. Utwór, który despotycznie narzuca nastrój, ja bym powiedziała, że „przetrawiony” głos Fisz jest naszpikowany elementami schizofrenii. Efekt krzyku, najwyraźniej zamierzony, wierca się w bębni, wywołując nieprzyjemne doznania. Fisz, widąc, nie jest zbyt zadowolony z nominacji pisma „Elle”. Wreszcie ostatni instrumental! Musisz to usłyszeć. Potężne bębny, grzmiące białchy i tajemne zaklęcia. Emade przerósł sam siebie. Po 30 sekundach następuje kawałek, który nosi tytuł „Polityki”. Fisz i Emade mieli wątpliwości, czy umieszczać ten utwór na płycie. Gdyby go nie było - mnie czegoś by brakowało. Aranżacja made by Emade. Problem ukazany w tytule, „...nie dotykam, nie tykam wrednej gęby polityki”. W końcu remix „Dynamitu”, dokonany przez Bunia. To jest bardziej optymistyczne, choć jak wszystko co fiszowe, pozostawia tę nutkę niepokoju... zupełnie nowy kawałek. Rozdrobniłam płytę na części pierwsze. Nie myślałam, że mi się to uda, bo cała płyta jest jednolita, pływa się po utworach i rozkoszuje wymruczanymi tekstami. „F3” to bardzo spójna kompozycja, w którą trzeba się wsłuchać, poświęcić czas, odciąć się. Płyta o szerokich horyzontach, ale trzeba się w nią wczuć... Coraz bardziej wysublimowany minimalizm słów w połączeniu z geniuszem wojaży muzycznych jest prawdziwą ucztą dla zmysłów i emocji... Oglądając jeszcze nie rozpakowaną płytę, miałam cichą nadzieję, że będzie to przynajmniej kontynuacja poprzedniej płyty. To nie jest kontynuacja, to pójdzie o krok dalej. Podobnie jak poprzednim razem, i teraz bracia Waglewscy pozostawili u mnie niedosyt brzmień, bitów i słów... Jeszcze długo będę wsłuchiwać się z bliskim w oku w tę mieszanek wybuchową skonstruowaną z tworzywa sztucznego...

Effes



GZA THE LEGEND OF THE LIQUID SWORD MCA

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, miałem słomiany zapal. Często zaczynałem coś robić, po czym strasznie szybko mi się to nudziło. Jednak później, po dłuższej przerwie, wracałem do przerwanej zajęcia i je dokończałem. Ostatnim albumem kogoś z rodziny Wu, prezentującym jakiś poziom, był „Supreme Clientele” Ghostface’a. Inne płyty były po prostu tragiczne, przez co straciłem zaufanie do wszystkich członków grupy. Jednak do płyty Genius’a podszedłem bez uprzedzeń, z dużą nadzieją. Mogę powiedzieć już teraz, że GZA odważył dobrą robotę i uratował, chociaż na trochę, honor swoich ziomków. Cały album robi się coraz lepszy z kawałka na kawałek. Bity Muggs’a i RZA (chyba ponownie się odnalazł) to poziom wyższy niż dobry. Jedynym minusem może być tylko jednostajność podkładów, ale z głosem Jizah, jest to prawie nie do usłyszenia. Chociaż po pierwszym nagraniu („Auto Bio”) może się

wydawać, że niemożliwe jest, aby coś je przebiło. A jednak jest tak, jak napisałem wcześniej - każdy kolejny utwór deklasuje poprzedni. Album jest prawdziwą gratką dla wszystkich miłośników Wu-Tang’u, jak i dla wszystkich miłośników inteligentnego, opartego na rapu, muzyki. GZA potwierdza, że jest bardzo dobrym MC w „Fame”. Co chwila wypływa z siebie nazwiska znanych artystów, wplatając je w sprytną grę słowną. Wszystko byłoby naprawdę w porządku, ale niestety, album ma ogromny minus. Strasznie szybko się nudzi. Po kilkukrotnym przesłuchaniu okazuje się, że wszystko jest do siebie bliźniaczko podobne. Nawet bity zlewają się w jedną całość. Wtedy na wierzch wychodzi naprawdę niewiele kawałków. „Auto Bio”, „Fame”, „Animal Planet”, „Highway Robbery”, „Knock, knock” czy „Silent” to przeciętne ilościowo materiały na EP-kę. Tak więc, mam ogromny dyalekt oceniając tę płytę. Jest to bardzo ciekawy album, ale tylko na kilka pierwszych razy. Później staje się przeciętną produkcją z odrobiną dobrych utworów. W porównaniu do ostatnich osiągnięć Wu-Tang’u, jest to płyta bardzo dobra, wręcz wysmienita. Zestawiając ją z klasycznymi już „Enter the Wu”, czy choćby „Tical”, nie spełnia oczekiwań. Jednak, aby cieszyć się tą płytą jak najdłużej, można ją odstawić, kiedy zaczyna się nudzić, po czym wrócić do niej i kontynuować zachwyt. Dlatego, mimo krótkiej żywotności, „The legend of the liquid sword” poleciłbym przede wszystkim ludziom, którzy stracili wiarę w Wu.

Dotzent

VARIOUS ARTISTS HIPHOP.PL Pomaton EMI

Nie wiem jakim kluczem kierowała się osoba wybierająca utwory na tę składankę, ale udało jej się skompilować rzecz bez wątpienia interesującą i udaną. Niezły przekrój polskiego hip-hopu, przeboje z różnych okresów i skrajnie różnych wykonawców. Paktofonika, Tede, Molesta Ewncement, Fisz, Lona, O.S.T.R., Wzgórze Ya Pa 3, Fu, Mor W.A., K.A.S.T.A. Skład, Tymon, Warszawski Deszcz, Fenomen i Vienio - w sumie 17 świetnych, w najgorszym przypadku dobrych, kompozycji. Z niecierpliwością czekam na drugą część tego wydawnictwa, w nadziei, że znajdą się na nim zupełnie inni artyści niż na tej płycie (co ciekawe, nie ma tu żadnego wykonawcy z kręgu nieistniejących już Obrońców Tytułu - a więc również czółowki). „HipHop.pl” pokazuje, że mimo stosunkowo krótkiej historii, rodzima scena rapowa może się poszczycić całkiem sporym i zróżnicowanym dorobkiem. Album dobry zarówno dla sympatyków (leżka się zakręci przy „Gram w zielono”), jak i antagonistów (warto wiedzieć z czym się walczy, może zmieni się zdanie?) czy laików (doskonala okazja by się przekonać, iż polski hip-hop ma dużo więcej do zaoferowania niż autodestrukcyjne teksty Liroya).



Dobry Piotrek

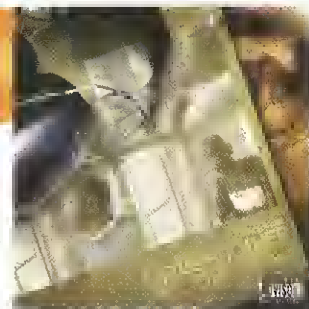


JA RULE THE LAST TEMPTATION Def Jam

niewolników! Słuchając „The Last Temptation”, mój umysł poruszył wiele kwestii. Czemu miliony ludzi zachwycają się takim gównem, a o The Roots, czy Jurassic 5 słyshi niewielka garstka? Czemu nie mający nic do powiedzenia raperzy wydają bez żadnego problemu albumy w wielkich wytwórniach, a taki Akrobatik może nigdy nie pokazać światu swojego krążka? Czemu Dobry Piotrek recenzuje Arethę Franklin, a ja muszę słuchać kakofonii Ja Rule'a? W dwóch pierwszych przypadkach odpowiedź jest prosta - bo tacy są dzisiejsi słuchacze (w jakim ja świecie żyję?). Jeśli chodzi o trzecie pytanie, to DP jest redaktorem naczelnym, a ja zwykłym skrybą. Zamiast wysilać się, pisząc te zdania, mogłem równie dobrze to miejsce zapelniać na zmianę wyrazami: „nudne” i „gówno”. Wyszłoby na to samo. Niestety, z pewnością One Rule, na bank też Oni Rule, jest szansa, że Wy Rule, a nawet Ty Rule, ale za żadne skarby świata Ja Rule.

Dotzent

LITTLE BROTHER THE LISTENING ABB Records



Już początek 2003 roku dał do wiadomości, że będzie w nim wiele bardzo dobrych produkcji. Tuż po sylwestrze mogłem się zatopić w dźwięki, serwowane przez nieznaną jeszcze grupę Little Brother. W skład zespołu z Północnej Karoliny wchodzi dwóch emcees: Phonte i Big Pooh oraz producent 9th Wonder, wszyscy oni reprezentują Justus League. To jedna z tych grup, której Twoje uszy nie mogą nie usłyszeć. Płyta, która wyszła ze stajni ABB Records to klasyk bez dwóch zdań, polecam ją szczególnie fanom takich rzeczy jak ATCQ, Pete Rock czy De La Soul. 9th Wonder pokazał, że w robieniu bitów na komputerze (!) tylko i wyłącznie, jest kimś, na którego trzeba zwrócić baczną uwagę i można dojść do wniosku, że możliwości komputera chyba nie mają kresu. Cała płyta powstała na Fruity Loops'ie. Jak historia głosi, członkowie grupy zaczęli od wrzucania swoich próbek na Internet, a teraz zainteresowani nimi nie słabnie, byli już we Future Flavas Pete Rocka, jara się nimi? uestlove (The Roots). Czy to Wam wystarczy? Ja już po usłyszeniu ich EP, na której znajdowały się 4 utwory, wiedziałem, że to będzie coś wielkiego, no i nie zawiodłem się. Czy pamiętasz, kiedy ostatnio zakupiłeś płytę i wszystkie kawałki na niej były „kozakami”? Ja od dłuższego czasu nie, i dziękuję chłopakom, że wydali „The Listening”. Pierwszym kawałkiem jaki nagrali był „Speed”, po którym poczuł, iż dobrze im się współpracuje i są na tyle zdolni, żeby zrobić przekozacką płytę. To oni sprawili, że hip hop wraca do esencji. Można powiedzieć, że dzięki świeżości zawartej w swej muzyce, są pochodnią hip hopu w nowym millenium. Jest dużo wyróżniających się aspektów na „The Listening”. Można słuchać tej płyty bez końca, i bez końca będzie się znajdować na niej coś nowego. W tekstach można znaleźć wiele sytuacji z życia dwójki emcees, nie zaskakują one może jak bity 9th Wondera, ale są na dobrym poziomie. Właśnie, 9th Wonder, hmmm... człowiek, który ze swoimi produkcjami wspina się na wyżyny, wraca do korzeni, ale ma także nowoczesne brzmienie. Co będzie jak dosiądzie najnowszą bitmaszynę? Aż strach pomyśleć... Myślę, że wradzie to i jemu i nam na dobre, bo będziemy się rozkoszować coraz to lepszymi rzeczami, serwowanymi przez tego wybitnego producenta. Co do płyty jako całości, to tak jak już pisałem wcześniej: obowiązkowa pozycja w 2003 roku dla słuchaczy chcących powrotu do najlepszych brzmień 90. lat. Po więcej informacji odsyłam na oficjalną stronę grupy: www.littlebrothermusic.com.

Rudas



LL COOL J 10 Universal

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, bardzo dobrze znałem się na filmach. Dlatego też wiele osób, zanim wybrało się do kina, prosiło mnie o ocenę niektórych produkcji. Często moi znajomi byli zadowoleni z moich porad. Jednak kilka razy źle doradziłem swoim kolegom, ponieważ nie znałem się na tematyce przedstawionej w danym filmie. LL Cool J to bez wątpienia ikona amerykańskiego hiphopu. Na scenie jest od siedemnastego roku życia i nadal trzyma się dobrze. Sam nie wiem w czym tkwi sekret popularności Jamesa. Ze wszystkich jego utworów zachwycił mnie tylko „Zoom” z Dr. Dre i „Mama said knock you out”. Jak miałbym wybierać, to wolę go w formie wizualnej, niż fonetycznej. Nowy album LL'a też mnie jakoś wybitnie nie pobudził. Niby zwykła, przeciętna produkcja, której miejsce znajduje się na zakurzonej półeczce. Jednak jest w tej płycie coś, co może zachęcić niezwykłego słuchacza. Dlaczego niezwykłego? Przeciętny słuchacz (nie chodzi mi o laika, czy pozera, tylko człowieka preferującego inny styl) po posłuchaniu Mr. Smitha może pomyśleć, że jest to hipopowa wersja Backstreet Boys. Jednak niezwykle odbiorca (czytaj: mający kiedykolwiek do czynienia z miłością) zachwyci się utworami legendarnego artysty. Dla LL Cool J'a tematem przewodnim jest właśnie uczucie zaszczepiane dodupnie przez Amora. Ja może i kiedyś zetknąłem się z miłością. Niestety tak pociętnie, że zaliczam siebie do jednego z przeciętnych słuchaczy. Dlatego też nie znając się zbyttnio na tematyce przedstawionej na „10”, nie mogę odsłonić przed wami prawdziwego serca albumu. Prowadząc dogłębną analizę płyty, nie zachwyliem się. Z pewnością mi podobni odbiorcy też nie będą wniebowzięci. Jednak radziłbym każdemu, a przede wszystkim zakochanym, przesłuchać produkcję LL'a. Jeśli jesteście teraz w poważniejszym związku, to potraktujcie James'a jako przewodnika. Jeśli niedawno ktoś was rzucił, to Mr. Smith z pewnością będzie najlepszym pocieszycielem. Jeśli macie kogoś na oku, ale boicie się podejść, to LL Cool J stanie się waszym najlepszym doradcą. Natomiast jeśli nie wiecie, czym jest miłość, to najlepiej zrobicie wychodząc na dwór i zapominając o związku z ręką.

Dotzent (np. „Przeminęło z Wiatrem”)

MCF MADE IN POLAND Blend



Pamiętam, jak zawsze narzekałem na fakt, iż w niektórych polskich hiphopowych magazynach, obok długich i obszernych recenzji zachodnich płyt, polskie, nawet ważne produkcje komentuje się wyłącznie krótkimi, kilkuzdaniowymi notkami. Teraz rozumiem, że wobec niektórych płyt taka forma recenzji jest najodpowiedniejsza, a „Made in Poland” grupy MCF właśnie do nich należy. Cóż tu bowiem napisać? Po pierwszym przesłuchaniu niewiele zapamiętałem, zdaje się, że utkwiły mi w pamięci: zwrotka Fokusa, anglojęzyczne wstawki raperów w tytułowym kawalku oraz kilka żywo pobrzmiwających bitów, na których od czasu do czasu miłe wrażenie robiły damskie wokale w refrenach. Szybciutko włączyłem album ponownie i wszystko powoli zaczęło się stawać jasne: trójka katowickich raperów, składająca się na MCF, dysponuje bardzo podobnymi, nieco monotonnymi stylami, w które przydałoby się wszczerzyć odrobinę werwy. Nie można im zbyt wiele zarzucić, poza tym, że są zbyt mało charakterystyczni i zbyt „zwykli”, po prostu uzupełniają bity swoimi, niestety równie przeciętnymi jak flow, tekstami na temat tego, co się wokół dzieje, a o czym już każdy, kto miał choćby minimalny kontakt z polskim hiphopem, na pewno słyszał. Szkoda, że tak ciekawe rozwiązania jak liryka w numerze „Made in Poland” to u nich wyjątki. Bywa jednak sympatycznie, gdy z głośników uderzają rwące bity, sprawdźcie „Mistrza świata”, „Wielkie Boom”, czy „Weekendową bezsenność”, którą polecam wszystkim zwolennikom szaleństw na parkiecie. „Fri tajm” oznacza relaks i odprężenie, natomiast końcówka płyty przynosi kawalki o miłości, gwarantujące przyjemny nastrój, a podśpiewujące panie bardzo w tym pomagają. Muzyczne wpadki („Made in Poland” niestety, „Na koniec”) to na szczęście wyjątki. Podsumowując, nie skaczę z radości, ale płyta jest jak najbardziej do posłuchania. Zastanawiam się tylko, na jak długo...

Keb (Czyste Słowa)



MISSY ELLIOTT UNDER CONSTRUCTION Elektra/Warner

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, byłem bardzo gruby. Pewnego razu, ktoś mi powiedział, że tłuszcz zatyka ośrodki talentu w organizmie. Dlatego, jeżeli schudnę, to zyskam wiele nowych umiejętności. „Under Construction” nie powinno być sygnowane nazwiskiem Elliott, tylko pseudonimem głównego producenta albumu. To nie głos wyszczuplał Missy, ale podkłady Timbalanda sprawiają, że płyta jest wyjątkowa i dobrze się jej słucha. Nie twierdzę, że Misdemeanor jest słaba, wręcz przeciwnie, jej wokal ewoluował ogromnie na najnowszej produkcji. Jednakże to Timbaland wprowadził magię na „Under Construction”. Jego futurystyczne bity powodują, że kończyny same drgają w rytm muzyki. Podobnie, jak w teledysku Fatboy Slim „Push the tempo”. Missy zaprosiła do współpracy m.in. Method Man’a, tworząc z nim znakomitą przeróbkę „Bring the Pain”. Oprócz niego na płycie pojawiają się jeszcze Beyonce Knowles, Jay-Z, duct TLC, Ms Jade, 50 Cent i niestety Ludacris. Główna tematyka utworów to sprawy damsko-męskie, chociaż pojawiają się kawalki krytykujące obecną w dzisiejszym hiphopie brutalność. Muszę się przyznać, że strona muzyczna tak mnie oczarowała, że nie zwracałem zbytnej uwagi na słowa. Zdażyłem jednak zauważyć, że Missy nie tylko w wyglądzie przeszła istotną zmianę. W utworze „Pussycat” śpiewa tak, że równie dobrze mogłaby nagrać płytę soulową lub R&B. Missy, poprzez zrzucenie kilkunastu kilogramów, odblokowała swoje ośrodki talentu, co słychać na albumie. Jednak pierwszoplanową postacią „Under Construction” jest Timbaland, który nie potrzebuje chudnąć, aby pokazać, że jest znakomity. Album warto mieć przede wszystkim ze względu na produkcję, ale także ze względu na najlepszą w tej chwili raperkę.

Dotzent (np. „Ally McBeal” David’a E. Kelley’a)

ONAR I OŚKA WSZYSTKO CO MOGĘ MIEĆ Warner



„Superelaks”, pierwsza wspólna płyta Onara i Ośki, furory nie zrobiła, tej drugiej również nie wróże nieprawdopodobnego sukcesu. Jest po prostu kontynuacją poprzedniej, jest niemal taka sama, z wszystkimi za i przeciw. Wiemy, jakim MC jest Onar, i wiemy, jaki robi rap, podchodząc do płyty z tą świadomością, że nie można się zawieść. Cudów nie wymagamy, od niego akurat nie mamy prawa, nigdy niepretendował do tytułu wirtuoza mikrofonu i ta płyta tego nie zmienia, nie oznacza przełomu w jego karierze, nie jest piekielnym krokiem naprzód w kwestii umiejętności, nie przynosi nam bynajmniej innego, lepszego Onara. Lenistwo? Szczyt możliwości rozwoju? Skłaniałbym się ku drugiej opcji, trudno bowiem znaleźć u niego choćby jeden moment zwyczajności, zwykle jest... no właśnie, w epoce poprzedniej płyty nazwałbym go jeszcze „solidnym”, ale czas leci, w tej chwili trudno mi określić to co robi czymś ponad „w porządku”. Rymy na pewnym poziomie, z rzadka już rażą banałem, zaczyna natomiast denerwować flow, miejscami krzykliwy i chaotyczny, co w połączeniu z chrypiącym głosem, nie jest dla ucha najmiłsze. Onar nie należy do tych MC’s, którzy płynnie i swobodnie usadawiają się na bitach, miewa drażliwe wejścia, potrafi zmęczyć słuchacza. Co boli najbardziej, wyraźnie stoi w miejscu w kwestii treści. Powtórka z rozrywki... z rozrywki powtórka, mam ochotę powtarzać za Molestą, niczego nowego bowiem nie usłyszymy, wciąż najlepiej wychodzi członkowi Płomienia 81 mniej lub bardziej ciekawe opowiadanie o wszystkim i o niczym: trochę hiphopu, imprez i przemysłu, jednak bez szczególnie trafnych obserwacji, zapadających w pamięć wniosków czy pomysłów w formie, raczej nie wyróżniające się niczym, typowe dla polskiego rapu teksty. Kwestia tego, czy to nam wystarczy. Wspomnieć jeszcze muszę, że raz i raz przesadna czasem wulgarność Onara (wszystkie wstępy do kawalków - „Wciąga Nas Szowbiznes” czy „Szeptem” - otwierają listę rzeczy zbędnych na płycie), z tym że dla mnie to minus, dla wielu pewnie plus. Jest jak jest, dlatego raduję się słysząc tytuł, przyznam dobrych gości. Rewelacyjny śpiew Selmy ma niezwykle właściwości, to trzeba przyznać. Niezłe zwrotki wnoszą: Pezet (wybrał już swoją ulubioną tematykę: przechadzki o własnej sławie i otaczających pannach, forma zjadająca z miejsca kolegę z P81), Mes (świetne: „żeby wszystko jak kiedyś grało stereo/ żeby rap ten nie umarł tak jak Polska z Koreą”), Pjus, Stasiak, Malolat i Ciech, nawet Borixon potrafi uciechować. Panowie z Feno natomiast tacy, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, swój poziom. Przyjemnie podśpiewuje również Lerek, znany z JuNouMi2. Wszystkie featuringi to coś tu niezbędnego. Muzyka - mam mieszane uczucia. Z Oską zawsze był ten problem, że podkłady dobre (nierzawo wybitne) zdarzało mu się wymieszać ze słabszymi, niestety kontynuuje swoją niechlubną tradycję i na tym albumie, a rzeczy słabe wcale nie należą do rzadkości. Bywa, że ręka do sampli zawodzi, że kusi elektronika i dziwne eksperymenty, że brzmienie jest do wyrzycania sztuczne. Zgrzytałem zębami słysząc „Dużo czasu minęło”, tak „urozmaicony” refren to szczytowa porażka, podobnie jak niepokojące dźwięki w „Historiach” (tak ma brzmieć bas?), marnujące całkiem fajny sampel. „Oooo (Superelaks)” sprawia wrażenie, jakbyśmy słyszeli wyłącznie szkielet podkładu - gdzie sample? Nie sposób wybaczyć Ośce wszystkich tych nowoczesnych naleciałości, broni się jednak tym, co zawsze było jego mocną stroną: radosnymi, pozytywnymi bitami. To takie numery jak „Letniak II”, „Wszystko co mogę mieć” czy „Każdy pierwszy raz” udowadniają, że Ośka potrafi jeszcze dać relaks, są czymś, co powoduje, że da się przy tej płycie poklepać głową. Sporo narzekania, coż, druga część „Superelaksu” jest nierówna, kilka rzeczy, tak jak poprzednio, przeszkadza i denerwuje, z drugiej strony nie mogę powiedzieć, bym był rozczarowany, kwestia wymagań. Spokojnie polceć mogę wyłącznie niewybrednym.

Keb (Czyste Słowa)



PACEWON
WON
Rufflife

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, do moich rodziców często przyjeżdżali goście. Jak na każdym przyjęciu w Polsce, na stole musiał stać alkohol. Kiedy znajomi opuszczali nasz dom, ja opróżniałem pozostałości napojów procentowych w kieliszkach, których rodzina nie zdążyła wysączyć. Większość trunków smakowała mi. Niestety, pewnego dnia spróbowałem whisky i o mało co nie wypaliłem sobie młodego, niedoświadczonego gardła. Chociaż w tej chwili lubię różnego rodzaju alkohole, to po ognistej wodzie pozostał mi niesmak do dziś. The Outsidaz to jeden z moich ulubionych zespołów, dlatego strasznie się ucieszyłem dostając płytę ich członka do recenzji. Miałem nadzieję, że Pacewon na swojej solówce utrzyma, albo nawet przewyższy poziom, jaki zaprezentował za swoimi ziomami na „The Bricks”. Ogromnym plusem „Won” na pewno jest kilka produkcji Wyclefa Jeana i Young Zee. Na albumie wiele razy da się słyszeć akordeon, gitarę i harfę. Powoduje to, że podkłady są bardzo oryginalne, czasami też sprawiają wrażenie, jakby instrumenty były nagrywane na żywo. Jednak odrobina

dobrych beatów członka The Fugees nie może uratować całego albumu. Na płytę trafiły też produkcje, których po prostu nie da się słuchać. Przykładem może być beznadziejnie „Money Hungry” z Rah Digga, albo „What you know” z Kuruptem. W ogóle najlepsze utwory Pacewona to te, w których nikt się nie udziela. Wyjątkiem jest jedynie „It's Yours” z Wyclefem, bardzo ciekawy kawałek o braku bezpieczeństwa na ulicach. Członek The Outsidaz odnosi się w nim do ważnego dla Afro-Amerykanów zdarzenia - pobicia Rodneya Kinga przez policję, która zamiast chronić, każe niewinnych ludzi. Nie jest to jednak utwór w stylu polskich (C)HWDP-owców, tylko mądra, liryczna krytyka. Na „Won” znajduje się mnóstwo nawiązań, co bardzo korzystnie wpływa na całą płytę. Raper z New Jersey komentuje otaczający nas świat w bardzo ironiczny sposób. Od jego krytyki nie zdolali się usłonić N'Sync, Richard Nixon, a nawet M.O.P., których zganili za załatwianie interesów, wyłącznie przy pomocy broni. Jeszcze jedną ogromną zaletą płyty są znakomite porównania Pacewona. Niektóre zabawne, inne poważne, pokazują jak ogromną wiedzę z dziedziny polityki, filmu, muzyki i życia codziennego, dysponuje członek The Outsidaz. „Won” bardzo mi się podoba, jednak garstka naprawdę beznadziejnych kawałków psuje „smak” całego albumu. Na szczęście, w odtwarzaczu kompaktów jest możliwość pomijania niektórych utworów. Z tej opcji warto czasami skorzystać, aby móc delektować się tylko najlepszymi jointami Pacewona.

Dotzent



SUNZ OF MAN
SAVIORZ DAY
Riviera

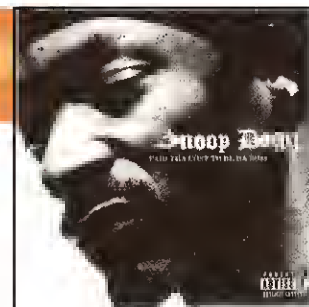
Wchodzący w skład wielkiej Wu-Familii zespół Sunz Of Man stosuje dość nietypową taktykę wydawniczą. W 1998 r., w odstępie zaledwie kilku miesięcy wydali dwa albumy. Zaś na trzeci kazali nam czekać aż cztery lata. Na dodatek dwie poprzednie płyty to w zasadzie jedna, druga była tylko ulepszoną wersją pierwszej, więc pracami Sunzów nazwać raczej nie można. Tak czy siak, o ile „Sunz Of Man” i „Last Shall Be First” stały na dość wysokim poziomie i stanowiły smakowity hardcore'owy kasek nie tylko dla fanów Wu, tak „Saviorz Day” stanowi tylko marne popłuczyny po nich. W produkcję tamtych nagrań zaangażowanych było kilku producentów, m.in. RZA, Tru Master, Fourth Disciple i Wyclef Jean. Dzięki temu mocne podkłady mieniły się cechami charakterystycznymi dla każdego z tych muzyków, nadając płytom sporą szczyptę różnicowania i dobrze komponując się z ostrymi rymami Killah Priest'a, Prodigal Son'a, Hell Razah i 60 Sec Assassin'a. Z

dawnej listy producentów, na „Saviorz Day” ostał się jeno RZA, wspomagany przez nowy nabytek Wu, nieopierzonego jeszcze Fatal Son'a. Być może to właśnie Fatal rzucił zły urok na najnowsze nagranie Sunzów, bo czego się spodziewać po dzieciaku z taką ksywą... A na poważnie: jaki jest RZA każdy wie. Raz zachwyca (soundtrack „Ghost Dog”), innym razem zażenuje (Wu-Killa Beez). „Saviorz Day” to zdecydowanie Bobby Stereo w słabszej formie. Bity brzmią jakby były tylko odrzutami z „The W”, co bynajmniej nie jest komplementem dla trzeciego albumu Wu-Tang Clanu. Tam były słabe, tu są wręcz kompromitujące. Chlubnym wyjątkiem od reguły jest jedynie utwór „People Change”, z dobrą, klasyczną perkusją, miłym samplem i gościnnym występem MC Eihta, który jedną zwrotką zjada wszystkie wersy Sunz Of Man razem wzięte. Wersy żywem wyjęte z roku 1998, więc coś nie halo. Miłym panom z S.O.M. proponuję spojrzeć w kalendarz, może czas się dla nich zatrzymał i biedacy nie wiedzą, że mamy już wiek XXI. Drodzy czytelnicy, przez chwilę będę Złym Piotrkim: odpalcie Kazaa bądź Direct Connect i z czystym sumieniem ściągnijcie na dysk mp3 „People Change”. Skoro artyści beczelnie z nami pogrywają, wciskając taki chłam, dlaczego mamy za to płacić...

Dobry Piotrek

SNOOP DOGG **PAID THA COST TO BE DA BOSS** **Priority**

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, często słuchałem muzyki, jaką podziwiali moi rodzice. Dlatego też, od najmłodszych lat miałem styczność z B.B. Kingiem, Louisem Armstrongiem, czy Jamesem Brownem. Przez to, dorastając w połowie lat 80-tych, czułem, że żyję kilka dekad wcześniej. Dzisiaj brakuje mi ludzi, którzy umieliby zabrać mnie do tamtych, beztroskich czasów. Zawsze lubiłem twórczość muzyczną (i tylko muzyczną) Calvina. Dlatego też, kiedy wydaje kolejną płytę, jest to dla mnie wielkie wydarzenie. Od czasu, kiedy wyzwolił się ze szponów No Limit, jego albumy są wyjątkowe i nowatorskie. Wprowadzając elementy jazzu i funku, powraca do czasów, dla mnie wspaniałych. Dlatego też, Snoop jest przeze mnie wysoko cenionym artystą. „Paid tha cost to be da boss” jest płytą bezspornie zróżnicowaną. Niestety, zaczyna się beznadziejnie. Dopiero kawałek „From da Chuuch to da palace” (znany z teledysku), sprowadza album na właściwy tor. Utwór wyprodukowany przez The Neptunes jest prawdziwym kozakiem, zarówno od strony dźwięku, jak i flow. Później jest jeszcze lepiej. „I believe in you” to hymn do miłości i małżeństwa. Delikatny wokal Latoi Williams i emanujący ciepłem głos Snoopa, nastrajają uczuciowo. Utwór trochę odbiegający od wcześniejszych nagrań Doggfather'a, które traktowały raczej o miłości doustnej bądź analnej. Właśnie kolejny kawałek („Lollipop” z Nate Doggiem, Soopafly'em i Jay-Z) to powrót do problemów typu: spuścić się jej na brzuch, czy wsadzić jajca do gardła? Sprytną strategię zastosował Calvin, zestawiając te dwa różne treściowo utwory obok siebie. Najpierw lekkie rozluźniające nagranie, natomiast później instrukcja prawdziwego, zachodniego seksu. Potem następuje parę spokojnych kawałków. Trochę gorszych, ale także kilka lepszych. Do tych lepszych na pewno zalicza się „Paper'd Up”. Jest to cover „Paid in full” Erica B. & Rakima, z bardzo ciekawymi wokalami Mr Kane'a i Treci Nelson. Pod koniec, analogicznie do początku, też nie jest nadzwyczajnie - po prostu poprawnie. Jednak spośród słabych, finiszowych utworów, da się wylowić dwa wybitne. „The One and Only” i „Batman & Robin” to historyczna współpraca Snoopa z Premier'em. Świetne podkłady wprowadzają Calvina na wyżyny. Mam nadzieję, że nie skończy się na tak krótkiej kolaboracji. Oprócz samego Preemo, w kawałku „Batman & Robin” pojawiają się Lady of Rage i jeden z moich ulubionych raperów - RBX. Przez świetny bit i takich gości, powyższe nagranie zyskuje status najlepszego na płycie. Około połowa utworów jest z pewnością wyjątkowa i ponadczasowa. Dzięki Mr Kane'owi wydaje się, jakby na albumie śpiewał sam Bootsy Collins, natomiast podkłady wprowadzają szalony klimat lat 70-tych. Niestety, część kawałków nie pasuje do reszty, tworzącej fajną atmosferę. Najbardziej dobijający jest chyba „You got what I want” z Ludacrisem, którego słuchanie wywołuje u mnie efekt tzw. redukcji nadmiaru pokarmu. Jednak nawet trochę potknięć nie zabierze mi tych kilku przyjemnie spędzonych chwil. Snoop Dogg pozwolił mi powrócić do dawnych czasów. Tylko szkoda, że czasami jakieś rozpraszające nagranie zabierało mnie z powrotem do szarej rzeczywistości.



Dotzent

Talib Kweli jest moim prywatnym bohaterem. Czemu? Temu, że wbrew temu co się mówiło po ataku terrorystycznym, nie usunął pierwszej części swojej ksywy, chociaż np. „Dwie Wieże” mają za wielką wodą już zupełnie inny tytuł. Temu, że żyjąc w społeczeństwie ćwierćinteligentów z ćwierćinteligentem na czele i zdając sobie z tego sprawę, zdołał zachować poczucie godności i humoru. Temu, że nie zrobił kolejnej płyty z Hi-Tekiem. Hi-Tek jest dobry, ale młody, ma czas na zrobienie czegoś więcej ze swoim stylem, a Kweli wreszcie może oddychać pełną piersią, przechodząc od zaangażowanej walki z systemem do braggania na różnicowanych beatach. Temu, że jest po prostu zdolny - łączy technikę, treść, wysoki głos, unikalny, szybki flow przelamujący beat w charakterystyczny sposób, tendencyjnie wychodzący poza werbel. Temu, że obraca się w doborowym towarzystwie - grono z Suparappin, Dilated, Common, trzon Ummah, wiele rasowych wokalistek. W końcu temu, że nagrał płytę, która zmobilizowała mnie do zrecenzowania zachodniego wykonawcy, co powinno definitywnie zatkać gęby Chujciom, które nie wiadomo skąd i kiedy pourywały się z łańcuchów. Rozpakowując album, szybko rzuciłem okiem na producentów, Kayne (albo Kanye, sami wydawcy mieli z tym problem podpisując raz tak) West. Tak, tak - Az, Jay-Z, Trina, Cam'Ron, Knoc-turn'al z Aftermath, niemal sama czołwika typów z własnymi liniami odzieżowymi, i to on robił mi muzykę. Chwila strachu... Przycisk play... Pogratulować uniwersalności - „Guerilla Monsoon Rap” zdumiewa tym, jak jest surowe, mało kto nie narzekał na ostre, wdzierające się bez pardonu na pierwszy plan skrzypce - ja jestem zadowolony, mimo tego, iż Black Thought i Pharaoha Monch mogli dać z siebie dużo, dużo więcej. „Good To You”, z przełamaną perkusją i bardzo ciepłym wokalnym samplem, jest już inne. „Get By” wydawałoby się proste, gdyby nie niesamowicie rozbudowane partie wokalne. Przyciągający rytm łączy się tu z etnicznym brzmieniem - z prostoty robi się przepych. Megahertz, robiący ostatnio rzeczy dla 50 Centa i Busta Rhymesa, na Kwelim pokazał się z bardzo dynamicznej strony, a co ważniejsze - z brzmieniem gitary elektrycznej, do której mam słabość, i z przebojową, rockową pulsacją („Rush”). W „Gun Music” gitara pozostaje, jednak inspiracji tracka szukać należy w dancehallu - co ciekawe, przez ten utwór zarzucano Kweliemu, iż promuje używanie broni. Nie wiem, czy bardziej mnie to bawi, czy przeraża. Soulive, kojarzone z brzmieniem idącym w stronę nu-jazzu, które swojego czasu dało do zremiksowania Hi-Tekowi „Bridge to Bama” (Kweli też się pojawił), robi wspaniałe Intro, szkoda, że muzykę zagłusza ten sam typ, który na „Reflection Eternal” udawał Nelsona Mandelę. Soulquarians to straszny ascetyzm, jak dla mnie nawet więcej - nuda, być może jestem jednak zbyt mało subtelny. Ayatollah (Cornega, Superrapin, Masta Ace) zapewnia wibracje dla najbardziej wybrednych, dynamizm Premiera, z mniejszą ilością cięcia sampla, ekspresywne fragmenty wokali w tle („Joy”). Potrafi uczynić „Proud” nastrojowym, mimo tego, iż perkusja jest szybka i nie należy do najłżejszych: zapewne przez nucenie na drugim planie, odgłosy kłasnęć... i wrodzony talent. To absolutnie powalający tekst, z mocą na miarę „Good Morning”, który każdy, kogo w najmniejszym stopniu intrygują historyczne i polityczne rubryki Bleka, powinien sobie wydrukować i powiesić nad łóżkiem. Swoją drogą zadziwiające, jak Amerykanie dali sobie związać ręce, odebrać wolność z której byli tak dumni, w imię złudzenia bezpieczeństwa... Swoją drogą, jak Kweli pomstuje na policję, w najmniejszym stopniu mnie to nie denieruje, być może dlatego, że jest wrażliwy, świadomy i cierpi wraz z innymi, nie zaś stanowi wygodną recydywę szukającą wrażeń. Scratch wziął sampel, który słyshałem już dużo razy, za dużo razy, brzmi jak fragment motywu jakiejs produkcji filmowej z kręgu blaxploitation. Pokombinował ostro nad żywiołową perkusją i byłoby fajnie, gdyby nie to „la-la-la-la-la-la-laaaa” (nie ma nic wstydliwego w onomatopejach, i wcale nie rekompensuje braków w słownictwie), nasuwające mi na myśl Alicję Bachledę-Curuś wieszająca bieleźną. Dahoud Darien, klawiszowiec na płycie Myi i producent Bilala, o którym nie było wcześniej zbyt głośno (podobnie jak i o Dave Weście z ekliwio, choć naturalnego, z ciepłem w miejscach afektacji „Won't You Say”, ale ten jest ciekawszy), robi dobrą robotę - „Waitin For The DJ” zaczyna się jak Lucy Pearl (nie dokładnie tak, styl przyjaznego r'n'b, bez syntetyków, ale funky), na zwrotkach Kweliego łapie jednak nerwowości, tempa, by znów wpaść w mięciutki objęcia Bilala. Prawdziwie buja Quik - nawrócono hustler, po pierwsze muzyk, po drugie producent, w znanym z Soundbombingu 3 „Put It In The Air”... Jay Dee nie brzmi już, jakby robił wstępy do nigdy nie zaczynających się beatów, przygotował dwa różne traki - albo jest bardzo wolno jak „Where Do We Go” - płynące pianino, miękki werbel, wielka klasa, Talib odnajdujący się w takim tempie rewelacyjnie; albo żywiołowo, chilloutowe, ale melodyjne „Stand To The Side”, dalekie od zbyt przejarzanych dla mnie jazz Madliba, niebo czytelniejsze, z tą niepowtarzalną rytmiką (exjacksona Slum Village, której jeszcze niedawno nienawidziłem, teraz zaś jest mi bliska. Emceeing - chyba się już poapaliście, że nie będę obiektywny? Od początku trwa bombardowanie: z jednej strony wersami takimi jak „Where I'm from, action is first and talk is second / I'm sharp like the blade in the logo of Rawkus Records” („Rush”), z drugiej „Our parents sing like John Lennon, “Imagine all the people watch” / We rock like Paul McCartney from now until the last Beatle drop” („Get by”). Kweli jest bardzo autentyczny, dlatego taka różnorodność nie brzmi sztucznie. Jest wystarczająco zaangażowany by wiecieć, iż hip-hopem trzeba się bawić i to jest piękne. Zdarzają się punchline'y, które swobodnie mogłoby rymować np. (lubie ich szczególnie) Likwit Crew: „I spit bars you can't touch/ Like tips in strip bars” (“Waitin For The DJ”). Zdarza się cudowna opowieść o narodzinach dzieci, o ich wychowaniu - na całym „Joy” słychać, iż po „Blackstarze”, zrozumienie między Mos Defem i TK nie zgaso, mamy dwóch przyjaciół, na których wielki powrót czekam z niecierpliwością, mimo, że obecność Defa jest śladowa. Niewielu MC's oprócz Kweliego stać dziś, by zacząć utwór wersem w rodzaju: „Widzę miejsce, gdzie mali chłopcy i dziewczynki są muszlami w oceanach, nie wiedzącymi, że kryją perłę” („Where Do We Go”), jest unikalny, nieprzewidywalny. O jedno bym go jednak nie podejrzewał. Mówi o tym, iż prezydent nazywa się Bush (chodzi tu o specyficzny busz - przyp. Nasty Farmer), wiceprezydent Dick (wiadomo), tak więc to co dostaniemy, to kurewsko dużo pierdolciana. Zgryźliwe, wulgarne, ale trafne. Dobrze, jeszcze trochę, a zaczytuję Wam tu całe „The Proud” („Stand To The Side” to drugie arcydziełko, miejscami podobne w tonacji, miejscami równie porwijające), o wersach Kweliego mogę gadać bowiem długo, a cytować je jeszcze dłużej (choć są rzeczy i dla mnie słabsze tekstowo, widc „Shock Body”), więc dla bezpieczeństwa skończę. Bez szczególnych wniosków. Dla mnie to najlepsza płyta roku 2002. Obok przekombinowanych Rootsów i uduziwnionego Commona, wyrósł ktoś na tym samym poziomie, idealnie wypiejącyj nasze, którą Ci zostawili „ewoluując”. Propozycja bardzo dobra, nudząca się wolno. Choć nie przeczę, z jednym jeszcze, dwoma kawałkami z Hi-Tekiem, byłaby jeszcze lenska.

Flintstone (Czyste Słowa)

VARIOUS ARTISTS
THE DIFFERENCE VOL. 1
Official Jointz Recordings

Niedawno zauważyłem pewną zależność. Płyty, których okładki zdobią rysunki bądź komiksy niemal zawsze są nagraniami świeższymi, bardziej innowacyjnymi czy po prostu lepszymi od albumów na których okładkach widnieją zdjęcia facjat, postur raperów. Tak było z dużą częścią dyskografii A Tribe Called Quest, tak było z „Doggystyle” Snoopa, tak było nawet z „Negatywnymi wibracjami” Afro Kolektywu. Przykładu można by mnożyć, ale przechodząc od sedna – tak jest też z niniejszą składanką. Od tej pory, nawisko Domingo nie będzie mi się kojarzyć jedynie ze słynnym Placido. Bowiem Domingo to również latynoski, raczej zupełnie u nas nieznany producent. A szkoda, zważywszy na to, że maczał on palce w nagraniach m.in. Big Punishera, Blahzay Błahzay, Boogiemonsters, Chubb Rocka czy Krs-One’a. A teraz w całosci wyprodukował „The Difference”. I chwala mu za to w jakim stylu to zrobił. Chyba najlepiej, do bitów Domingo, pasowało by określenie „podziemne przeboje”. Bądź „przebojowe podziemie”, wybracjacie. Trochę tu syntezatorów, trochę samplingu, równowaga jednakże zachowana znakomicie. Znakomicie również senior Domingo dobrał gości, takiego kolużu nigdzie indziej raczej nie znajdziecie. Mamy Dilated Peoples, Krs-One’a z Tone Deffem, K-Slasha, High-N-Mighty, Seana P., Rise, Punch-N-Words, Cocoa B’s, Craig Macka, Deacona the Villain oraz wspólny numer Royal Flush’a, Kool G. Rap’a i Big L’a (!). Przy czym wszyscy wykazali się talentem co najmniej dobrze, a Krs-One’owi (mistrzowski diss na Człowieka z Plastrem na Mordzie) i Punch-N-Words (pean na cześć Nowego Jorku z genialnym samplem w tle) wyszło to wyśmienicie. Świetna, relaksacyjna porcja solidnego hip-hopu, jedna z lepszych tegorocznych pozycji. Domingo trafił w bingo.

Dobry Piotrek





TEDE TRZYHA: HAJŚ HAJŚ HAJŚ Wielkie Jol/Warner

„Czy to już? To Tedecus”. W końcu ukazała się płyta, na którą (prawie) wszyscy czekali przez ostatnie dwa lata, kolejna produkcja spod znaku WFD. Tede kazał na siebie długo czekać, ale wynagradza nam to, atakując od razu trzema płytami na raz. Skupmy się teraz jednak na oficjalnym wydawnictwie - podwójna płyta „Hajs hajs hajs”, 29 kawałków, dwie godziny „komercyjnego rapu” na najwyższym poziomie. Warto było czekać, dostaliśmy bowiem dzieło kompletne i dopracowane. Płyta rozbija na pewno niejedną imprezę, Fiodor nadaje słowo „bounce” nowe, lepsze znaczenie. Ale nie przesadzajmy, nie ma tu samych imprezowych numerów, choć tematyka krąży głównie wokół pieniędzy, kobiet, imprez, własnych dokonań i przechwałek. Mamy tu też taką tematykę, jak kawałek w całości poświęcony poprzedniej płycie, reklamę ginu, czy prześmiewczy opis „trudów” życia rapera, oraz trochę historii polskiego hip-hopu (jeden z najlepszych kawałków na płycie - „Proste”). Co do przechwałek, to kiedy słyszymy je z ust

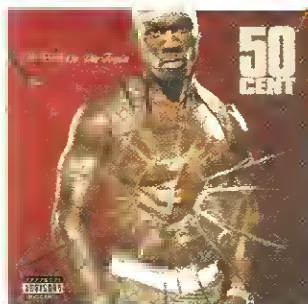
Tedego, przynajmniej brzmią one przekonująco, czego nie można powiedzieć o niektórych rodzimych MC's posługujących się stylem bragg. Muzycznie większość płyty wygrywa. Najwięcej bitów zrobił O.S.T.R., poza nim produkowali Ośka, Mario, Tede, IGS, Camcy, Jajo oraz Bartek Królik i Marek Piotrowski. Album otwiera bardzo ciepło brzmiący, soulowy „Zeszyt Rymów” z gościnnym udziałem Sisters, produkcja muzycznie utrzymana w klimatach „I Need A Girl, Part 2”. Trochę dalej kolejny świetny utwór - „Przycząjony hip, ukryty hop”, IGS naprawdę się spisał, to jedna z najlepszych produkcji na płycie. Ośka prezentuje się tu jako najlepszy polski producent nostalgicznych bitów, m.in. w „Proste”, „Sam na sam”, „Kredo” (posłuchajcie sobie kawałka Wu Syndicate - „Ice Age”). Tede robił bity na płytę pod różnymi ksywkami, raz lepiej, raz gorzej, w każdym razie takie melodie jak ta z „Pili Gin” można skomponować w komórce, a tu przydałoby się coś bardziej skomplikowanego. Album jest bardzo przebojowy, prawie każdy kawałek mógłby być potencjalnym hitowym singlem. Tas De Fleja jak zwykle reprezentuje najlepszy flow w tym kraju i jedno z najlepszych rymów, sprawdźcie choćby ten fragment: „Wkurwia cię tekst nowy o pieniądzech / Ty kieszonkowym rozporządzasz / Tak nie będzie do końca / Zrozumiesz jak znikną dotacje od ojca”, albo: „Pomyśl, na Brooklinie ford wypasiony / w środku ziomy co jara gibony / obok to samo, lincoln navigator / „S.P.O.R.T.” włączony na cały regulator / co ty na to? / I wiesz, to nie są kity / tam też piracą moje płyty”. Jeśli chodzi o gości to zdecydowanie najcieplej wypadają Sisters. HST rymuje trochę nie na temat, ale nadrabia świetnym flow. W skitach Tede prezentuje poczucie humoru jakiego wielu by się po nim nie spodziewało (nie wyłączajcie płyty po ostatnim kawałku, czeka tam mała niespodzianka). Album jest na pewno wart polecenia, szczególnie, że dostajemy dwie płyty w cenie jednej. Pamiętaj tylko, że „Nie ma od Fiodora życiowych porad / Po to masz głowę małolat”.

Seth

SOUNDTRACK 8 MILE Interscope

Podobnie jak sam film, bardzo nierówna jest ta ścieżka dźwiękowa. Hekroć na ekranie pojawiali się Kim Basinger czy Mekhi Phifer, ilekroć Eminem chwycił za mikrofon, następowało znaczne ożywienie. Zaś kiedy tylko w kadrze błysnęła Brittany Murphy, robiło się sennie i nicieckawie. Tu jest identycznie. Z jednej strony mamy kultowy już, nominowany do Oscara „Lose Yourself”, błyskotliwy i dynamiczny utwór, który nawet najzagorzalszym przeciwnikom Em'a pozamykał buzie. Mamy Gangstarr i ich mistrzowskie „Battle”. Mamy „Time of Your Life” Macy Gray - sympatyczny pean na cześć życia. Mamy seksowny głos Boomkat w leniwie płynącym „Wasting My Time”. Mamy niezłego Jay-Z z Freewayem, mnie osobiście niezbyt rusza, ale dla wyznawców religii „bounce” to smakowity kąsek... A na przeciwnym biegunie? Czysta profanacja, czyli Rakim zapodający braggę pod najbardziej skurwiałą bit na jakim kiedykolwiek go słyszeliście. Xzibit, mój niedysyjszy faworyt, obecnie niezbyt lubiany za ostatni album i dumy beef z Alkoholikis, w coraz gorszej formie, jego „Spit Shine” („Pluć Blaskiem”) jest zupełnie matowe, plunąć to może sobie w twarz za takie nagrania. Cykający Nas posuwa się w samochwalstwie jeszcze dalej, pytając „You Wanna Be Me?”. Nie, dzięki, nie skorzystam. Nie skorzystać z zaproszenia na soundtrack powinni także Obie Trice i Young Zee, gdyby rozdawano statuetki dla najgorszych raperów 2002, nie sposób byłoby ich nie nominować... Jak więc widzicie, minusów sporo, ale suma sumarum, tak jak warto mimo wszystko obejrzeć „Ósmą Milę”, tak też warto przesłuchać tę kompilację. Choćby dla samego „Lose Yourself”.

Dobry Piotrek



50 CENT GET RICH OR DIE TRYIN' Shady/Aftermath/Interscope/Universal

Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, otarłem się o śmierć. W czasie mroźnej zimy zjeżdżałem na sankach z góry. Mój zbyt duży rozpęd spowodował, że wjechałem na ulicę. Cudem nie wpadłem pod koła żadnego z mijających mnie samochodów. Po tym wypadku mama powiedziała mi, że Bóg nade mną czuwa, ponieważ mam jeszcze coś ważnego do zrobienia na tym świecie. Do 50 Centa dopiero niedawno uśmiechnęło się szczęście. Jego album świetnie się sprzedaje, a jego kariera rozwija się w bardzo dobrym kierunku. Jednak musiał przejść długą drogę, aby osiągnąć to, co ma w tej chwili. Twórczością Curtisa Jacksona jako pierwszy zainteresował się Jam Master Jay. Niestety, pomyśl na wydanie twórczości rapera z Queens upadł. Jednak członek G-Unit dostał się w ręce Columbi, a ściślej, labelu prowadzonego przez Trackmasters. Nawet nagrał dla tej wytwórni cały album „Power of the Dollar”. Kawałek „How to Rob” z tej płyty okazał się hitem. Jednak kilka dni przed premierą debiutu, 50 Cent

dostał dziewięć kulek, m.in. w policzek i w rękę. To spowodowało, że Columbia nie chciała mieć nic wspólnego z raperem, który cudem przeżył zamach. Sam Fifty powrócił do podziemia, czasami udzielając się na różnych produkcjach. 2002/03 okazał się dla niego przełomem - najpierw udział na soundtraku „8 Mile”. Później współpraca z Eminemem i Dre, co z kolei doprowadziło do wydania „Get Rich or Die Tryin'”. Jak widzicie, nie można nazwać „pięćdziesięciocentówki” debiutantem. Jednak też nie można powiedzieć, że Curtis jest weteranem. Dlatego też mam dylemat, jak ocenić album. Porównywać go do „Doggystyle”, „Illmatic” albo „At the Speed of Life”? Czy raczej do „Paid the Cost to be The Boss”, „God's Son” bądź „Man vs. Machine”? Szczerze mówiąc, to 50 Cent, zarówno jako debiutant, jak i weteran, wychodzi obronną ręką w starciu z wyżej wymienionymi klasykami. „Get Rich or Die Tryin'” to jeden z lepszych albumów jakie słyszałem. 50 Cent potrafi łączyć bujające klimaty z życiową tematyką. Jeżeli chodzi o przekaz, to uwierzyć mi, jest bardzo przekonujący. Znudzony życiem Curtis (co słychać w jego głosie) zaprasza nas w długą drogę przez wszystko, co udało mu się przetrwać. 50 Cent nie podąża ścieżką gangsta rapu. Nie chwali się liczbą dziwek, czy ilością zastrzelonych czarnuchów. Punktem wyjścia są tu doświadczenia, a nie obserwacje. Dlatego słysząc niektóre zwrotki, aż czuć smród prochu z naboju i zapach krwi sączącej się z rany postrzałowej. Dodatkowo płyta dużo zyskuje dzięki produkcjom Dre'a, Rockwilder'a, a nawet Eminema. Gdyby ktoś kilka miesięcy temu powiedział mi, że Slim Shady zrobi fajne bity, to bym się popłakał ze śmiechu. W porównaniu z kiczowatymi melodyjkami z „Eminem Show”, twórczość na „Get Rich or Die Tryin'” to majstersztyk. Słusznym posunięciem było wprowadzenie niewielkiej liczby featuringów (Nate Dogg, Eminem, G-Unit). Curtis bardzo dobrze sobie radzi bez niezyjgo wsparcia wokalnego. Sam od początku do końca umiejętnie prowadzi swój show, a inne głosy trochę wybijają z rytmu. Ciekawe, czy Bóg ocalał Curtisa Jacksona po to, aby ten wydał jeden z lepszych albumów nowego wieku? Chyba tak, ponieważ nie wydaje mi się, że 50 Cent przeżył w celu wymyślenia żarówki bezprzewodowej, albo kuszy na baterię. Jednak wierzę, że to jeszcze nie jest najważniejsze osiągnięcie mieszkańca Queens i kolejne spotkanie z jego osobą będzie o niebo lepsze.

Dotzent (np. „Życie Carlita” Briana DePalmy)

ANGIE MARTINEZ ANIMAL HOUSE Elektra/Warner

Angie Martinez. Wdzięczne imię. Piękna kobieta. Dobra raperka? Hmm, hip-hopowa społeczność cierpi na chroniczny niedobór żeńskich MC's, więc chciałoby się chwalić, kiedy tylko jest okazja. Niestety, na ładne oczy nie wystawia laurek. A Angie z pewnością dobrą raperką nie jest. Nijaki głos, kiepskie flow. Nawet z poczuciem rytmu coś u niej nie tak, często dryfuje gdzieś poza bitem. I nie jest to bynajmniej chęć bycia dziewczęcą wersją Mos Defa, a zwyczajny brak umiejętności. Teksty panny Martinez w przeważającej większości mierne braggadaccio, tym bardziej żenujące, że nie podparte choćby śladową ilością talentu. Dziwne, że osoba pracująca w radiu jako discjockey, może być tak „głucha”. Cóż, nie talent, a znajomości i kontakty rządzą światem, ta regułka widoczna jest tu aż nadto. Inaczej nie potrafię wytłumaczyć obecności na „Animal House” Fat Joe, Kelis, Missy Elliott czy nawet N.O.R.E., za którym specjalnie nie przepadam, ale gdzie tam Angie do choćby jego poziomu. O ile jednak gości załatwiła sobie niezłych, tak o producentów już specjalnie nie zadbała. Strasznie wtróna, plastikowa papka to „zasługa” Ricka Rocka (znany m.in. z produkcji dla, pożałuj Boże, C-Bo czy DJ'a Clue) i Scotta Storch'a, który produkował także ostatnią płytę Christiny Aguilery... Na szczęście, w przeciwieństwie do Aguilery, Angie nie jest paskudną, wymalowaną szmatą, więc chociaż z przyjemnością można na nią popatrzyć. Ale słuchać już nie.

Dobry Piotrek



ASIAN DUB FOUNDATION ENEMY OF THE ENEMY Pomaton EMI

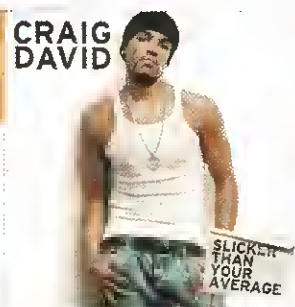
Dawno dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem, strasznie lubiłem jeść paczki. Zawsze kupowałem sobie z jak największą ilością lukru. Jednak pewnego razu nie starczyło mi pieniędzy na kupno wyśmienitego wyglądającego smakołyku, dlatego musiałem zadowolić się tańszym paczkiem bez lukru. Jak się później okazało, ten uboższy z wyglądu dostarczył mi o wiele większych walorów smakowych, niż ten opływający w lukier. Muszę zaznaczyć na wstępie, że „Enemy of the Enemy” nie jest płytą stricte hip-hopową. Nie jest to też album jazzowy czy nawet soulowy. Trzeba przyznać, że ADF stworzyli dzieło, które nie zamyka się w jakichkolwiek standardach. Dlaczego więc trafiło mi się to „coś” do recenzji? Czysty przypadek, chociaż po przesłuchaniu krążka po raz setny, wydaje mi się, że to jednak przeznaczenie. Dość niechętnie zabierałem się do przesłuchania płyty. Jednak, kiedy dotarł do moich uszu dźwięk pierwszego kawałka, już wiedziałem, że „Enemy of the Enemy” znajdzie się

w mojej „Hall of Fame”. Dalej nie było gorzej. Słuchając coraz to dalszych utworów, tym bardziej traciłem kontakt z rzeczywistością i wkraczałem w wizję świata stworzoną przez Asian Dub Foundation. Melanż (proszę nie kojarzyć z typem imprezy, na której wszyscy rzygają po spożyciu alpagi o smaku owoców leśnych, wołają (C)HWDP przez okno i pierdzą przy tym rubasznie) całej gamy dźwięków robi piorunujące wrażenie. Sample, wspierane przez doskonałe gitary i magiczne bębny, to lekcja nawet dla największych. Znam tylko dwa zespoły, które pod względem muzycznym przewyższają ADF. Mam na myśli The Roots i Nine Inch Nails. Jeśli znacie twórczość tych kapel, to pewnie już wiecie jaką moc posiada album „Enemy of the Enemy”. Jednak nie tylko dźwięk mnie tak zauroczył. Słowo ma na albumie ogromną siłę przekazu. ADF porusza tematy na ogół nie poruszane, m.in. przyczyny i skutki globalizacji. Odwołuje się też do wielu faktów: 11 września 2001 - World Trade Center, czy październik 1992 - masakra 111. więźniów w Sao Paulo. Nieobce są im też tematy ogrywane na co drugiej płycie hip-hopowej: getta, morderstwa, czy działalność policji, lecz Asian Dub Foundation robi to w inny sposób, w sposób, który przekonuje i zachęca do działania. Ten album to swoisty bunt przed dzisiejszą, rozrastającą się w nadmiernym tempie cywilizacją i popieprzonym społeczeństwem. Chociaż nie wyglądał na pierwszy rzut oka na coś godnego uwagi, to cieszę się, że miałem zaszczyt go posłuchać i opisać. Mam nadzieję, że chociaż kilku czytelników sięgnie po „Enemy of the Enemy” i wyniesie coś z tej akustyczno-lirycznej podróży.

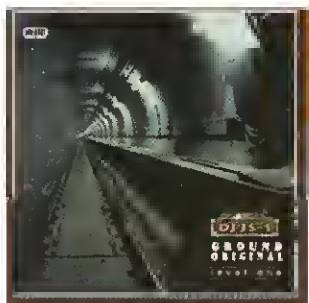
Dotzent (np. „Fight Club” Davida Finchera)

CRAIG DAVID SLICKER THAN YOUR AVERAGE Warner

C jak ciężar - po olbrzymim sukcesie debiutanckiej płyty, trudno było Brytyjczykowi nagrać drugą równie przebojową. R jak różnorodność - a jednak mu się to udało z nawiązką, nowy album jest jeszcze lepszy niż pierwszy, „wyciskacze łez” już nie dominują, mamy tu kolaż dance'u/popu/r'n'b/garage/soulu. A jak agresja - widoczna w tekstach, wokalista buntuje się przeciw wizerunkowi słodkiego chłopca. I jak Ignorants - doskonale zniksowali wokale. G jak głos - świetny, „czarny”, oryginalny. D jak D'Angelo - jeszcze nie ta klasa, ale już bliżej niż dalej. A jak aplauz - należy się z pewnością także producentom, przede wszystkim Markowi Hillowi i Soulshock. V jak vibe - piosenkarz porusza się z wdziękiem również po szybkich, dość „trudnych” melodiach. I jak iluzja - patrząc na okładkę, nie dajcie się zwieść, że to kolejny, sztucznie wykreowany pajac. D jak dziewczyna - płyty najlepiej słuchać w jej towarzystwie, w łóżku, przy zapalonych świecach, romantycznej kolacji, etc.



Dobry Piotrek



DJ JS-1 GROUND ORIGINAL: LEVEL ONE Yosumi Records

JS-1 urodził się i wychowywał w Queens, NY, już za bajtla dorwał gramofony i szlifował swoje skillsy. Na drodze do sławy wygrywał różne battle, nagrywał mixtape'y i grał w bardzo wielu klubach. Czekając na okazję, aby móc pokazać swoje umiejętności, brał udział w popularnych dj battles. Wreszcie go zauważono, trafiła mu się okazja wyjazdu ze stacją MTV na MTV Campus Invasion Tour '99. Na tym tournée dawał z siebie wszystko u boku SugarRay i Orgy'ego. To właśnie był wstęp do wielkiego świata, czy jak kto woli - kariery, bo właśnie po tym tournée współpracę zaproponował mu słynny beatboxer z legendarnej grupy The Roots - Rahzel. Wynikiem tej współpracy było zagranie 275. imprez w różnych częściach świata: USA, Brazylia, Anglia, Holandia itd. W późniejszym czasie, w końcu zdecydował się, tak jak inni dj'e, nie tylko na granie koncertów, ale także na nagrywanie utworów. Pierwszym wypuszczonym singlem był „Essentials” z Krs-One'm i Rahzelem. Ta

kombinacja z jednym z najlepszych beatboxerów świata i jednym z najlepszych mc's, musiała stać się klasykiem. Potem były nagrywki z Kool G Rap'em i w końcu zapowiedź „Ground Original: Level One”, z listą gości, która sama w sobie już była gwarancją zajebistej płyty. Mowa tu o: Krs-One, Rahzel, Kool G Rap, Big Daddy

Kane, Royce Da 5'9", O.C., Masta Ace, Evidence, Planet Asia i inni. W międzyczasie, próbkę swoich umiejętności dawał na płytach takich wykonawców jak: Masta Ace, Prodigy, Percee P, czy na składankach „Traffic Jamz” czy „Return of the DJ” vol. 2, 3, 4. W końcu, kiedy wyszła płyta o której to czytacie, można było się przekonać tak naprawdę o umiejętnościach turntablistycznych, ale także producenckich Js-1. W świecie dj'i miał markę wyrobioną, ale jako producent nie. Ale po tym co pokazał na trackach z tego właśnie albumu, można śmiało powiedzieć, że ma talent także do tego. Np. taki „Nowadayz” we współpracy z Evidence, C-Rayz Walz, Pep Love, React, czyli czołowymi mc's z undergroundu. Tu przy produkcji pomógł mu Dub-L, gdzie razem stworzyli kawałek, który po prostu trzeba mieć. Poczekajmy trochę, a może będziemy mieli nowego DJ Premiera, może... Przy płycie pomagali mu tacy producenci jak: Domingo, Kno i właśnie Dub-L. Tam gdzie Js-1 nie dokładał ręki do produkcji, robił mistrzowe cuty, pokazując szeroki wachlarz swych umiejętności. Gościnnie występy mc's stoją na wysokim poziomie, na długo w pamięci pozostają takie kawałki jak: wspomniane przed chwilą „Nowadayz”, „License 2 Hit” z gościnnym udziałem Ill Billa z Non Phixion, „Arrogant” feat. Substantial, Tonedeff, PackFM, czy mistrzowski track - Turn it Up wraz z Punch N Words. Podsumowując, to musowa produkcja na półkach fanatyków undergroundowych rzeczy.

Rudas



VARIOUS ARTISTS HIP HOP RASIZM STOP #2 MGK/MTJ

Ten Gorzki naprawdę ma tupet. Powołując się na słuszną ideę walki z rasizmem, ośmiela się proponować słuchaczom materiał tak skandalicznej jakości, w dodatku w postaci aż dwóch płyt, zapewne wierząc, że zdoła on wzbudzić czyjejkolwiek zainteresowanie. Gdzie tu sens, gdzie logika? Rasiści pewnie się w duchu cieszą, widząc, jak słabą bronią przeciwniicy ich ideologii. Najbardziej odrzuca chyba brak spójności. Materiał zakrawa na zbiór przypadkowych kawałków, zebranych z kilkunastu przeciętnych demówek, bez szczególnej selekcji, przemyślenia sprawy oraz pomysłu, jak uczynić z nich strawną całość. Ciężko mi znaleźć myśl przewodnią, wedle której właśnie te utwory się tu znalazły, gdyż nie są tak naprawdę w żaden sposób ze sobą związane. Choć nie do końca, bo bez trudu odkrywamy jedną cechę wspólną: niezbyt wysoki poziom przeważającej ich większości. Brzmia doprawdy amatorsko, lata świetlne od legala, którym przecież ta nieszczęsna składanka jest. Bity już po dwóch pierwszych nagraniach zaczynają odrzucać, wieje z nich nudą tak kolosalną, że z trudem udawało mi się dobrać do końca, gdy pełen optymizmu próbowałem wysłuchać tejsze płyty. Stopień atrakcyjności dla ucha dorównuje w przypadku zamieszczonej tu muzyki zniechędzonej sąsiadce, której ulubionym zajęciem jest jęczenie, że z naszego mieszkania wydobywa się zbyt duża ilość decybeli. Mówiąc krótko, raczej ciężka próba dla naszych uszu. W trosce o stan moich, postanowiłem po tej recenzji więcej do składanki nie wracać, jeśli jednak macie ochotę potestować wytrzymałość Waszych, śmiało. Z tych przyzwoitszych podkładów udało mi się wychwycić: Intro i Outro, kawałki: Afirmacji, Little Egipt oraz Żądła. Niewiele, jak na 34 numery. Niestety, wcale nie jest lepiej z wokalnio-lyryczną dyspozycją udzielających się tu MC's, co jednak nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem, gdyż rzut oka na spis wykonawców wystarczył, by trafnie przewidzieć ich umiejętności. Ilu mamy pewniaków? Osobistości, po których można spodziewać się czegoś ciekawego? „Szukajcie, a znajdziecie” mówi Biblia, tu chyba jednak nie ma czego. Wyróżniają się reprezentanci Afirmacji oraz Żądła, a to dobre, akurat Ci, którzy po wyrażeniu zgody na udział w tym podejrzanym przedsięwzięciu gorzko (!) pożałowali swej decyzji. Reszta swym poziomem pasuje do bitów, tworząc zgodnie dzieło pod tytułem „tandeta”. Nie wiem, jaki był sens zapraszania zagranicznych raperów, którzy stanowią ponad 50% płyty. Nawet w przypadku dobrych tekstów, z takimi flow i bitami, do których nawijają, nie prezentują niczego, co można by było z choćby minimalną przyjemnością wysłuchać. A jak radzą sobie nasi rodzimi składacze wersów? Pozwólcie, że zaprezentuję próbkę ich możliwości: „ale/bo jak zajaram jest wspaniale/ dla głupawki rolka spale/ ten kto jara wie doskonale/ po jaranu jest głupawka” - „najarana na non-stopie” Firma, czy absolutny wypas: „jak gonią to uciekaj/ jak kradniesz to nie zwlekaj/ jak patrzysz to prosto w oczy/ nie daj się zaskoczyć/ nie daj się podejść/ przeżyjesz/ to napisz powieść” z kawałka „Sztandar Korporacji” grupy WWD. Lyryka, która morde zatyka.

Keb (Czyste Słowa)

MESHELL NDEGEOCELLO COOKIE: THE ANTHROPOLOGICAL MIXTAPE Maverick/Warner

Piąta płyta urodzonej w Niemczech Afro-Amerykanki, wokalistki i basistki Michelle Johnson, jest równie niezwykła co jej artystyczne pseudo. Głęboki, przejmujący głos Meshell stapia się z doskonałą, wysublimowaną muzyką producenta i gitarzysty Cato. Zaangażowane, afrocentryczne teksty suną ciepło po brzmieniach pełnych jazzu, soulu, czasem hip-hopu. Nie jest tych tekstów dużo, w większości to muzyka wypełnia przestrzeń, ona tu dominuje i wyznacza kurs. Mimo to album jest niesamowicie osobisty, emocjonalny. To ta sama półka co Arrested Development, Joni Mitchell, Erykah Badu, muzyka przez duże M, nie jakieś wygłupy dużych chłopców z dużymi łańcuchami w dużych lowriderach. Bogactwo dźwięków, genialny bas i gitara, Meshell i Cato doszli w swej profesji do perfekcji. Bardzo dobry gościnnie występ Redmana w wyprodukowanym przez Rockwilder'a i Missy Elliott remiksie „Pocketbook”. Reasumując - piękna płyta dająca ukojenie. Idealna na sen, na długą męczącą podróż, na samotne nocne kontemplacje. Spielberg powiedział kiedyś, że tworzy filmy dla ludzi myślących sercem. Dla tychże ludzi jest również „Cookie”.



Dobry Piotrek



TRACY CHAPMAN LET IT RAIN Elektra/Warner

Świat pędzi do przodu, a Tracy Chapman ciągle stoi w miejscu. Zatrzymała się w latach 80., w czasach gdy wydała swój pierwszy longplay. Ci jednak, którzy mieli przyjemność obcować z debiutanckim albumem Tracy, już wiedzą, że wcale nie zamierzam zrugać „Let It Rain”. Wprost przeciwnie. „Zastój” nie oznacza tu braku rozwojowości. Są wykonawcy, jak np. Madonna, na siłę wpasowujący się w panujące trendy, z każdą płytą zmieniający image, zależny od rynkowego zapotrzebowania i dominującej w danym okresie mody. Chapman na szczęście do nich nie należy, pod tym względem blisko jej wielkim postaciom pokroju Arethy Franklin, Marvinie Gaye'a, Bonnie Tyler - wyobraźcie sobie, by wyżej wymienieni zaczęli grać inną muzykę, niż ta, do której nas przez lata przyzwyczajali. Tracy jest stworzona do spokojnego, melancholijnego blues/rocka i niech tak zostanie. Nastrojowy klimat pomagają jej stworzyć wybitni muzycy, słynny producent i multi-instrumentalista John Parrish, gitarzysta Joe Harvey, perkusista Joey Waronker i inni. Sama Tracy jest świetną gitarzystką. Za pomocą strun tegoż instrumentu i własnych strun głosowych, naładowuje album olbrzymim ładunkiem emocjonalnym. Nie znajdziemy tu, jak na poprzednich nagraniach, szybszych, żywszych utworów, całość jest bardzo spójna, od pierwszego do ostatniego tracka brzmi podobnie, na pewno jednak nie monotonnie, jest w tych sennych melodiach ekspresja, jest szczerość, magia, wobec której nie można pozostać niewzruszonym. To także zasługa doskonałych tekstów Chapman. Zazwyczaj pesymistyczne, z dającym nadzieję zakończeniem, opowiadające o tym, że jest źle, ale będzie lepiej, chciałyby się więc powiedzieć - bliższe ideologii hipopowej. Oczywiście o wiele bardziej dogłębne, Tracy nie wyklada kawy na ławę jak raperzy, nie traktuje po lebkach, nie wali prosto z mostu co ją boli, często mamy tu niedopowiedzenia jak u Lyncha, ciąg dalszy śpiewanych przez nią historii musimy sobie wykombinować sami. To osobista lyryka, pełna zrozumienia dla drugiego człowieka, dla skomplikowanych relacji międzyludzkich, pełna przyzwolenia i akceptacji, jak choćby w singlowym „You're the One”: „Mówią, że jesteś szalony/ mówią, że jesteś zły/ mówią, że Twoja rodzina ma przeklętą krew/ ale ja myślę, że jesteś słodki i nie rozumiemy/ i jeśli mogę, nie chciałabym Cię zmieniać” - prawda, że piękne? Jak i cała płyta, którą koniecznie musicie posłuchać.

Dobry Piotrek

HiP hOP rasizm STOP #2.

MGK RECORDS PREZENTUJE:
MIĘDZYNARODOWĄ KOMPILACJĘ

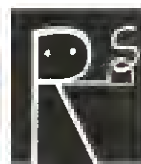


ZA UDZIAŁ WZIĘLI:

IKE - MC FLAVOUR - GORZKI & DNA - 3STER - RHYMES STREET SQUAD - INTOKSYNATOR -
YEJIDE - FIRMA - FERRIS MC - WWD - KONSULAT - STUDIO BEATZ - LITTLE EGIPT - BRIXX - ELIOT & BINA,
KWADRATURA KOŁA - DIASPORA - GALI MAT IAS - DHO - MIKEY KIM - PRO DOMO SUA - TEKA - ZADŁO
DE FUCK TO - CZST - AFIRMACJA - EVAH - CLUB DOGO - MC SHMEKLA - PNA - DJ.STYLEWARZ - TONI L -
ARGON - KAMRACI BRAÆ - NAUKA JAZDY - 8RAM



PŁYTY ZAWIERAJĄ TELEDYSKI !!!



Reżyseria: Curtis Hanson
 Scenariusz: Scott Silver, Jesse Wigutow
 Obsada: Eminem, Mekhi Phifer, Kim Basinger, Brittany Murphy, Xzibit, Proof, Chloe Greenfield, Omar Benson, D'Angelo
 Rok produkcji: 2002
 Czas projekcji: 110 minut
 Polski tytuł: „8 Mili”



8 MILE

Chodząc po mieście zawsze zwracam uwagę na plakaty filmowe widniejące na billboardach lub innych powierzchniach służących do promocji. Ostatnio, przechodząc obok reklamy „8 Mile” w oczy wpadły mi strasznie pochlebne fragmenty recenzji na temat tej produkcji. Gazeta Wyborcza, Polityka i inne czasopisma ukulturalniające okrzyknęły Eminema wyśmienitym aktorem, natomiast „8 Mili” nadały miano dzieła wybitnego. Dla mnie osobiście debiut kinowy pana Mathersa nie posiada żadnej aury doskonałości, co ja mówię, nie posiada nawet malusieńkiej poświaty poprawności.

Jednak zaczynając od początku, czyli od fabuły. Eight Mile to nazwa drogi, która oddziela biedne przedmieście Detroit (zamieszkane w 99% przez czarnych, 1% stanowi bohater grany przez Eminema i jego rodzina) od bogatego centrum (zamieszkane przez białych). Jimmy Smith Jr. (Marshall Mathers) za wszelką cenę chce się wyrwać z zadupia, w którym mieszka. Jego jedyną szansą jest rap. W osiągnięciu sukcesu stara mu się pomóc Future (światny Mekhi Phifer). Obraz cały czas krąży wokół Smith'a Jr.'a i jego zawodów miłosnych, muzyki rap, problemów z matką, muzyki rap, zabaw z kolegami, muzyki rap, wzlotów miłosnych i ponownie upadków, a i oczywiście muzyki rap.

Jak widać, cały film jest zbudowany na zasadzie latynoskiego dramatu, zwanego potocznie telenowelą. Nawet aktorzy wyczuli podobieństwo i zagrali na miarę Natalii Oreiro i jej podobnych. Eminem nie pokazał niczego wyjątkowego. Przed filmem myślałem, że ułokuje go na linii z Ice Cube'm, Busta Rhymes'em, czy nawet Dr Dre, którzy radzą sobie dobrze w kinie. Jednak po obejrzeniu jego wysiłków, bez zastanowienia stawiam go blisko prostej zajętej przez Coolio i Snoop'a, którym radziłbym skończyć ze szczerzeniem gangsterskich min do kamery. Przykładem na brak umiejętności aktorskich Slim'a Shady'ego jest scena, w której uprawia miłość z nową dziewczyną (Brittany Murphy). Przypomina wtedy ogromnego, afrykańskiego goryla, który przed chwilą wypróżnił się na turystyczny samochód (nie pytajcie się skąd mi to przyszło do głowy). Jedyną postacią odznaczającą się jakimiś umiejętnościami mimicznymi i oratorskimi jest bez wątpienia Mekhi Phifer, który wreszcie zagrał w innej fryzurze niż dotychczas.

Dużym plusem są na pewno bitwy freestyle'owe i oprawa muzyczna, które znacznie polepszają klimat filmu. Pojedynki są bardzo zabawne i często pobudzają do śmiechu, choć i tak pod względem śmieszności nie przebijają sceny seksu, a raczej miny Eminema w czasie tego wysiłku. Natomiast jeśli chodzi o muzykę, to mamy parę klasycznych kawałków: Notoriousa, Method Man'a, czy Cypress Hill. Spodobał mi się też patent z kawałkiem „Loose Yourself”, który służy za motyw przewodni filmu. Na początku historii słychać tylko koślawy bit, natomiast na końcu, w tle płynie finalna wersja znana z teledysku, czy choćby trailera. Jest to swoisty komentarz rozwoju głównego bohatera.

„8 Mili” jest dla mnie produkcją słabą, chociaż tą opinię neguje kilka faktów. Oprócz paru wymienionych w recenzji jest jeszcze jeden - osoba reżysera. Twórcą filmu jest Curtis Hanson, który stał się moim idolem po nakręceniu „L.A. Confidential”. Jest to reżyser naprawdę dobry. Widać to na przykładzie „Eight Mile”, ponieważ spowodował, że beznadziejny film posiadał klimat, który w tym przypadku jest chyba wyznacznikiem sukcesu.

Ja osobiście „8 Mile” poleciłbym zagorzałym wielbicielom, a raczej wielbicielkom (hordy gorących czernastek pewnie już zdewastowały kasy kinowe) tlenionego rapera. Ludzom czerpiącym przyjemność ze słuchania hip-hopu radziłbym poczekać na premierę telewizyjną.

Dotzent

Reżyseria: Georg Stanford Brown
 Scenariusz: Walter Halsey Davis
 Obsada: Blair Underwood, Louis Gosset Jr., Rae Dawn Chong, Tony Plana, David Harris, Clarence Williams III, Luke Askew
 Czas projekcji: 93 minuty
 Rok produkcji: 1992
 Polski tytuł: „Ojciec i syn na ulicach Los Angeles”



FATHER & SON: ON THE STREETS OF L.A.

Leonard Clay (Louis Gosset Jr.) odsiaduje wyrok w więzieniu o najcięższym rygorze (zauważyliście, że Czarni w filmach, nawet jakby tylko puszkę Coli ukradli, zawsze trafiają do najokropniejszych więzień?) w USA. Trafia tu także syn Claya (Blair Underwood), żywiący do ojca głęboką nienawiść, jak się później okazuje, spowodowaną odejściem Leonarda od żony i małego wówczas synka. Wybuchowy i nieważący na niebezpieczeństwa Jared szybko znajduje sobie wrogów we współwięźniach i wpada w tarapaty. Wtedy pomocną dłoń wyciąga do niego ojciec, jednak młódzian ani myśli zapominać o tym, co tato kiedyś mu zrobił. Wkrótce obaj zostają zwolnieni warunkowo. Przekonują się, iż to nie za kratami jest najgorsze więzienie. Brak miłości ojcowsko-synowskiej i tytułowe ulice Los Angeles, mogą się okazać jeszcze większym bagnem...

Tak pokrótce rysuje się fabuła tego filmu. Na pozór zwykła sensacja, potrafi jednak wzruszyć, poruszając odwieczne problemy miłości rodzicielskiej, przemiany zła w dobro, lojalności oraz wyboru pomiędzy małą dochodową, lecz uczciwą pracą, a kradzieżami.

To, iż film przyjemnie się ogląda, zawdzięczamy nie tyle scenariuszowi, który czasem dość wyraźnie osiada na mieliźnie, ile przekonującej grze aktorskiej - zarówno Louisa Gosseta Jr., który miał już wtedy ugruntowaną pozycję rolami w trzech częściach „Żelaznego Orła” i „Szkoły Wyrzutków”, jak i młodego Blaira Underwooda (m.in. „Set It Off”, „Just Cause”).

„Father & Son” przypomina nam jak łatwo można zejść na złą drogę i jaki trudny jest stamtąd powrót. To temat rzeka, realizowany w kinie setki razy, jednak tu na szczęście obeszło się bez lukru i cukierkowego zakończenia. Główny bohater orientuje się, że postępował źle, kiedy jest już za późno. To przestroga dla widza, obecna również niezliczone ilości razy w rapowych songach. I może właśnie dlatego filmy takie jak te, są chętnie oglądane przez ludzi z kręgu hip-hopowej kultury. Bo mówią o tym samym co rap płyty. O prawdziwym życiu.

Dobry Piotrek

P.S. Film znany również pod tytułem „Father & Son: Dangerous Relations”



Reżyseria: Barry Sonnenfeld
 Scenariusz: Robert Gordon i Barry Fanaro
 Obsada: Will Smith, Tommy Lee Jones, Lara Flynn Boyle, Rip Torn, Johnny Knoxville, Rosario Dawson, Tony Shalhoub, Biz Markie, Michael Jackson
 Czas projekcji: 87 min.
 Rok produkcji: 2002
 Polski tytuł: „Faceci W Czerni 2”

MEN IN BLACK II

Czarnoskóry Dumbo w poprzednim roku był na topie. Wydał bardzo ciekawą płytę „Born to Reign”. Został też doceniony przez Akademię Filmową - dostając nominację do Oscara za rolę w filmie „Ali”. Mimo to, polscy dystrybutorzy nie wpuścili do kin biografii legendarnego boksera. Pewnie bali się reakcji księdza Rydzka i jego fan-klubu starych dewotek, którzy skrytykowaliby film za szerzenie religii muzuhmańskiej. Jednak (ku radości tłumów) ostatnio w kinach, a już od niedawna na DVD możemy podziwiać Will'a w drugiej części Men in Black.

„Jedynka” osiągnęła ogromny sukces kasowy. Zarobiła w USA 250 mln \$ i trafiła do pierwszej dwudziestki Box Office'u wszechczasów. Wyprzedziła takie hity jak „Terminator 2” czy „Matrix”. Dlatego też sequel był kwestią czasu, a dokładniej: trzeba było na niego czekać 5 lat.

W „Facetach w Czerni 2” głównym przeciwnikiem bohaterów jest Serleena, którą gra Lara Flynn Boyle. Pomaga jej m.in. dwugłowy idiota, w którego wcielił się znany z „Jackass'a” Johnny Knoxville. Jednak problemem jest fakt, że agent Jay (Will Smith) nie może znaleźć odpowiedniego partnera, pomocnego w pokonaniu „ur-odziwej, kosmicznej dziwki”. Jak zapewne pamiętacie, na końcu pierwszej części Kay (Tommy Lee Jones) zrezygnował z pracy. Dlatego też przez prawie połowę kontynuacji „J” szuka „K” i stara się przywrócić mu pamięć. W międzyczasie Serleena opanowuje bazę agentów i wszystko zaczyna się gmatwać.

W „Men in Black II” spotykamy całą starą załogę: gadającego mopsa, koleśka z odrastającą głową i glistowatych kosmitów uzależnionych od kofeiny i fajek. Momentami jest naprawdę zabawnie, np. gdy mówiący pies śpiewa „Who let the dogs out?”, albo gdy Michael Jackson prosi Zeda (Rip Torn) o możliwość wstąpienia w szeregi agentów. Jest też scena, w której Will porozumiewa się z innym kosmitą (w tej roli Biz Markie!) w języku brzmiącym jak beatbox. Na samym końcu filmu, podobnie jak w pierwszej części pokazany jest dobitny dowód na to, że nie jesteśmy sami we wszechświecie.

Natomiast jeśli chodzi o wrażenia wizualne, to są one na wysokim poziomie. Facjaty wszystkich kosmitów zrobił mistrz w swoim fachu, zdobywca wielu Oscarów - Rick Baker. Człowiek, który tworzył małpy w „Planet of the Apes” i „King Kong'u”, a także obleśne ryło dziewczynki z TV w „The Ring”. Za efekty specjalne wzięła się firma George Lucasa, czyli Industrial Light & Magic. Dzięki czemu mamy popis sztuczek technicznych na bardzo wysokim poziomie.

Niestety po obejrzeniu „Men in Black II” miałem mieszane uczucia. Ogólnie film ogląda się przyjemnie - można się pośmiać, a także podziwiać stronę estetyczną produkcji. Jednak kontynuacja jest gorsza od pierwowzoru. Na dodatek, po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że „dwójka” powieliła część sprawdzonych żartów z „jedynki”. Dlatego nie wiem czy zachęcać, czy odganiać. Jeśli lubicie Willa Smitha, Biz Markie'ego i podobała się wam część pierwsza to obejrzyjcie „MIB II”. Natomiast jeśli jesteście zwykłymi amatorami komedii, to możecie sobie darować tę pozycję.

Dotzent



Reżyseria: Steve Carr
 Scenariusz: Ice Cube
 Obsada: Ice Cube, Mike Epps, John Witherspoon, Tommy „Tiny” Lister, Justin Pierce, Don „DC” Curry, Kym E. Whitley, Sticky Fingaz, Tamala Jones, Jacob Vargas, Lobo Sebastian, Lisa Rodriguez, Rolando Molina, Clifton Powell, Lady of Rage, Amy Hill
 Czas projekcji: 94 minuty
 Rok produkcji: 1999
 Polski tytuł: „Następny Piątek”

NEXT FRIDAY

Gdyby zapytać grupę hip-hopowców z czym kojarzy im się termin „kino Czarnych”, 99% by odparło, iż bezapelacyjnie z kultową komedią „Friday”, z Ice Cube'm, Chrisem Tuckerem i marihuaną w rolach głównych. Tak, zaiste to właśnie „Piątek” jest uważany za film reprezentatywny dla tegoż nurtu. Nic bardziej mylnego. „Friday” to zabawne i przyjemne dziełko, lecz na Boga, jeśli wszystkie filmy z gatunku kina Czarnych wyglądałyby mniej więcej tak, nie pozostało nam by nic innego, jak tylko dopić ostatnie w życiu 40's, wsiąść w swojego cadillaca z bajeranckim zawieszaniem i zabawić się z ziomkami w „które auto pierwsze spadnie w przepaść”, z psychicznym nastawieniem na przegraną rzecz jasna.

Zachęcony sukcesem „Piątku” Cube postanowił zrealizować drugą część. A już my wiemy, jak mają się zazwyczaj sequele do pierwowzorów. Oczywiście są wyjątki od reguły, np. „Terminator 2” lepszy od „jedynki”, ale i to głównie dzięki stosowaniu coraz to lepszych efektów wizualnych. A że „Piątek” to nie science-fiction, wszystko wskazywało na to, że „Next Friday” nie dorówna oryginałowi. Czy tak się stało? Sami odpowiedźcie sobie na to pytanie, po wyciągnięciu wniosków z porównania obu filmów.

We „Friday” pierwsze skrzypce grał niewątpliwie Chris Tucker, który dwoił się i troił, żeby nadać niezbyt wyszukanemu scenariuszowi kilka szczypt szalonego humoru, wigoru i tempa. Udało się, po teście roli potencjał komika został dostrzeżony przez hollywoodzkie szczyty i obecnie zyskał on już status wielkiej gwiazdy. Wielka gwiazda = wielka gaża, więc być może z powodu finansowych niedomówień, Chris odmówił Ice'owi wystąpienia w kontynuacji niskobudżetowej przeciw komedii. Na jego miejsce zatrudniono Mike'a Epps'a, aktorzynek niestety dość miernego, bez charyzmy, zaopatrzonego w mimikę a la „biedny zastraszone czarnuch z getta”. Po tej roli Epps na pewno nie ma co liczyć na laury i korzyści, jakie zebrał Tucker.

Drugi plan w pierwszej części obsadzony był barwnymi postaciami, wystarczy wspomnieć pastora „Worm” („Dżdżownicę”), a przede wszystkim ojca Cube'a i antagonistę Debo w niezapomnianej scenie jazdy na rowerze. W „Next Friday” Tiny Lister w roli olbrzymiego półgłówka wystąpił ponownie, zaś Witherspoon powtórzył rolę ojca Craiga, szkoda tylko, że sceny z ich udziałem to tylko odgrzewane kotlety (ile razy można śmiać się z odświeżacza powietrza!?) i dość nieswieże gagi. A jednak mimo wszystko, role drugoplanowe są jedynym właściwie atutem „Następnego piątku”. I nie mówię tu bynajmniej o bohaterach znanych już z „Friday”. Paradoksalnie, w filmie zrobionym przez Czarnych i obsadzonym głównie Afro-Amerykanami, najzabawniejsze kreacje stworzyli Latynos (Jacob Vargas w roli przeciwnika Ice Cube'a, jednego z braci Joker - dzięki fenomenalnemu akcentowi) i biały (Justin Pierce jako Roach - dzięki scenie wspólnego palenia trawy i wyznaniu miłości niewyżytemu pibullowi). Tylko dzięki nim i ścieżce dźwiękowej (która klasykiem jak pierwsza raczej się nie stanie, ale mimo wszystko zawiera porcję solidnego, przebojowego hip-hopu) warto zwrócić uwagę na „Next Friday”. Ice Cube nie wysiłił się zbyt nad scenariuszem, który prezentuje się, jakby był pisany na kolanie w przerwach między koncertami. Dowcipy padające z ekranu zbyt często przypominają te z filmów Mastera P. Kilku aktorów zostało nieprawdopodobnie obsadzonych w swych bezpiecznych rolach. Słowem - może nie najgorsza, ale dość przeciętna komedia, pozostawiająca ogromny niedosyt, szczególnie po nastawieniu widowni na powtórkę z niezapomnianej części pierwszej. Fani serii niech się jednak nie zalamują, jest szansa, iż trzecia, ukończona już część pt. „Friday After Next” będzie lepsza. Tucker co prawda nie dał się namówić na comeback, ale poczekajmy do premiery...

Dobry Piotrek

Reżyseria : Leon Ichaso
 Scenariusz : Barry Michael Cooper
 Obsada : Wesley Snipes, Michael Wright, Theresa Randle, Clarence Williams III, Abe Vigoda, Ernie Hudson
 Czas projekcji : 90 minut
 Rok produkcji : 1993
 Polski tytuł : „Sugar Hill”



SUGAR HILL

Z czym wam się kojarzy termin „Sugar Hill”? No jasne, Sugar Hill Gang, nieśmiertelni oldchoolowcy, pochodzący z jednej z dzielnic Harlemu. Film Leona Ichaso opowiada właśnie o gangu z Sugar Hill. Jednak nie o raperach. O prawdziwym gangu.

Romello Skuggs (Wesley Snipes) mieszka od dziecka w Sugar Hill. Niegdyś kwitnąca i świetnie prosperująca dzielnica zamieniła się w dżunglę narkotyków, biedy i bezprawia. Skuggs, człowiek inteligentny i z polotem, wspina się na sam szczyt narkotykowego biznesu w Harlemie. Wie, iż robi źle, jednakże tylko w ten sposób może uchronić swoją rodzinę. Lecz pewnego dnia decyduje się wyjechać, zostawić całe to bagno. Problem w tym, że „bagno” nie za bardzo chce mu na to pozwolić...

Jeśli szukacie w kinie szybkiego tempa i błyskawicznej akcji, ten film wam tego nie zapewni. To raczej mafijny epos, składający się w kierunku „Ojca Chrzestnego”. Doskonała lustracja całej zbrodniczej potęgi, lecz przede wszystkim psychologiczne studium jednostki, która najpierw pragnie władzy, potem zemsty, a na końcu chce uciec od tego wszystkiego i spalić za sobą mosty. Jeśli raz dałeś się wciągnąć w macki mafii, już się stamtąd nie wygrzebieś. Smutne, fakt. Ale jakże prawdziwe. I jakże zagrane! Trzeba przyznać, iż Snipes błyszczy. Widać jak wkłada w tę postać całą swoją aktorską duszę, tworząc kreację, która jeszcze na długo po projekcji pozostaje w pamięci. Po obejrzeniu „Sugar Hill” trochę żałowałem, iż tak świetny aktor ostatecznie skłonił się w kierunku ściśle rozrywkowego kina akcji, spalając za sobą, tak jak Skuggs mosty, naprawdę wartościowe występy jak ten czy choćby w „Mo' Better Blues” bądź „Jungle Fever” Spike'a Lee. Było nie było, film gorąco polecam. Czym „Ojciec Chrzestny” dla światowego kina, tym „Sugar Hill” dla kina Czarnych. Proste.

Dobry Piotrek

Reżyseria : Stan Lathan
 Scenariusz : Charles Rosin
 Obsada : Alfre Woodard, Michael Warren, Martin Balsam, Mario Van Peebles, Deon Richmond, Constance McCashin
 Czas projekcji : 95 minut
 Rok produkcji : 1988
 Polski tytuł : „Dziecko ulicy”



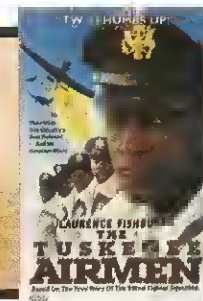
THE CHILD SAVER

Andrea Crawford (Alfre Woodard) osiągnęła w życiu już wszystko, czego pragnęła. Jest szefem reklamy w dużej firmie, robi zawrotną karierę (pomimo czarnego koloru skóry) i nic właściwie do szczęścia jej nie trzeba. Przynajmniej tak się jej wydaje. Ale, jak to zwykle w filmach bywa, do czasu. Do czasu, aż na jej drodze staje siedmioletni sierota Jackie, młodociany dealer rozprowadzający dragi na zlecenie miejscowego gangu. Bohaterka rezygnuje ze świetlanej przyszłości w firmie, aby za wszelką cenę wyrwać Jackiego ze szponów „ulicy”. Wkrótce uświadamia sobie, że tą ceną może być nawet jej życie.

Co widzowi oferuje ten film, wyprodukowany na zlecenie NBC? Praktycznie nic. Cholernie mało przekonującą grę aktorską, co dziwi, gdyż Woodard dobrą aktorką jest na pewno (wystarczy wspomnieć „Crooklyn”). Tu tworzy jednak postać mało wyrazistą, papierową. Co gorsza, niesympatyczną poprzez ciągłą pogogę za pieniądze. Nie lubię tej kreacji. Kolejnym mankamentem są dłużyzny. Nie spodziewałem się, rzecz jasna, po NBC, wyprodukowania błyskotliwego filmu akcji, ale dialogami z „Child Saver” można by obdzielić kilka innych obrazów, i jeszcze pewnie parę kwestii by zostało. A tak, dostajemy film przegadany, często zmuszający do ziewania i ciągnący się w żółtym tempie przez niemal całe 95 minut projekcji. Następnym razem panowie z NBC mogliby pomyśleć i zamiast kiepskiej fabuły, zrealizować np. dokument o dzieciach z gett. Bo tu ani przez chwilę nie uwierzyłem, że ta historia mogła zdarzyć się naprawdę. A już wyrosłem z czasów, kiedy samo patrzenie na czarnoskórych aktorów sprawiało mi przyjemność (takie małe zboczenie -przesadna fascynacja afroamerykańską kulturą...). Jeśli ktoś, czytający tę recenzję, jest na tym samym etapie co ja kiedyś (czyli chce być Czarny), może film obejrzeć. Innym odradzam.

Dobry Piotrek

Reżyseria : Robert Markowitz
 Scenariusz : Robert Williams, T.S. Cook, Paris Qualles, Trey Ellis, Ron Hutchinson
 Obsada : Laurence Fishburne, Malcolm Jamal Warner, Cuha Gooding Jr., Allen Payne, Christopher McDonald, John Lithgow, Mekhi Phifer, Vivica A. Fox, Andre Braugher
 Czas projekcji : 106 minut
 Rok produkcji : 1995
 Polski tytuł : „Lotnicy z Tuskegee” (video), „Czarna eskadra” (TV)



THE TUSKEGEE AIRMEN

W latach 1943-45, czterystu pięćdziesięciu czarnoskórych żołnierzy z Tuskegee w USA otrzymało ponad osiemset pięćdziesiąt medali. Sześćdziesięciu sześciu pilotów poległo w walce. Przez lata toczenia bitew z wrogiem, dywizjon nie stracił ani jednego bombowca.

W powyższym akapicie zawarte są faktyczne wydarzenia. Film opowiada autentyczną historię powstania dywizji lotniczej, złożonej wyłącznie z Afro-Amerykanów, którzy walcząc z Niemcami i Japonią poświęcili się dla ojczyzny i ginęli za ojczyznę. Ojczyzna zaś odpłacała im się haniebną nietolerancją rasową... Obserwujemy prawdziwy dramat ludzi z krwi i kości, którzy zostają poniżani przez pseudo-patriotów z powodu innego koloru skóry. Wątek mocno eksploatowany w kinie Czarnych, jednak przez to wcale nie mniej wstrząsający. Najbardziej poruszył mnie moment, kiedy zmuszony do lądowania na wskutek awarii samolotu ćwiczebnego, pilot, osadza pojazd na polu, gdzie pracują rolnicy. Ci, widząc narodowe flagi umieszczone na bombowcu, podnoszą wrzawę śmiejąc się: „To nasi chłopcy!”. Okrutnie się zawiedli, kiedy wysiadający z samolotu pilot ukazał im swoje czarne oblicze...

„The Tuskegee Airmen” jest produkcją niskobudżetową, jednak obsada może powalić na kolana. Główną rolę powierzono Laurencowi Fishburnowi, który lepszą kreację stworzył chyba tylko w „Otelu”. Wspiera go ścisła czołówka afroamerykańskich gwiazd, na czele z Cubą Goodingiem Jr., Mekhi Phiferem, Malcolmem Jalelem Warnerem oraz Vivica A. Fox. Role „złych białych” powierzono uznanym aktorom drugoplanowym, takim jak John Lithgow czy Christopher McDonald. Wszyscy aktorzy zgodzili się zagrać za minimalne gaże, zapewne dla własnych ambicji.

Film niskobudżetowy nie znaczy jednak od razu kameralny, sceny walk powietrznych wypadają naprawdę realistycznie. Markowitz, reżyser filmów telewizyjnych, świetnie wywiązał się ze swojego zadania. Za niewielkie pieniądze stworzył może nie porywający spektakl, ale z pewnością dobre, trzymające w napięciu kino.

„The Tuskegee Airmen” to znakomity dramat. Nie ma w nim widowiskowych strzelanin, pościgów, czy rozbudowanego wątku miłosnego. To film dla ludzi, którzy potrafią „uczyć się z kina”, wyciągać wnioski i snuć własne refleksje. To film dla ludzi, którym nieobcy jest temat rasizmu - mimo upływu tylu lat, nadal wielkiego i wszechobecnego zła. Mam nadzieję, iż jest to film dla Was.

Dobry Piotrek

Reżyseria: Peter Bogdanovich

Scenariusz: Philip Rosenberg

Obsada: Sidney Poitier, Christian Payton, Dana Eskelson, Fernando Lopez, Casey Lluberes, Michael Gilio,

Lz Granderson, Bernadette L. Clarke, Jamie Kolacki, Sandra Santiago

Czas projekcji: 89 minut

Rok produkcji: 1996

Polski tytuł: „Nauczyciel z przedmieścia: nowe wyzwanie”



TO SIR WITH LOVE II

Kiedy „Dangerous Minds” osiągnął ogromny sukces, było wiadomo, iż czujni producenci filmowi zwietrzyli kasę, jaką da się zbić na młodocianej widowni. Masowo zaczęły powstawać filmy o nauczycielach, pomagających uczniom wyrwać się z getta. Jednym z nich jest właśnie „To Sir With Love II”, sequel proajca wszystkich filmów o szkole z „trudną” młodzieżą, „Nauczyciela z przedmieścia”.

W drugiej części ponownie główną rolę objął Sidney Poitier, pierwszy czarnoskóry aktor, który zdobył Oscara. Akcja mająca tu miejsce, rozgrywa się trzydzieści lat po wydarzeniach z pierwowzoru. Wtedy Mark Thackeray (Sidney Poitier) radził sobie z młodzieżą w szkole North Quay w Londynie. Teraz poznajemy go w momencie, kiedy ma przejść na emeryturę. Kończy więc pracę w North Quay, owszem, lecz nie rezygnuje z pracy pedagoga, tylko przyjmuje nową posadę w szkole średniej w wieloletnim, chicagowskim getcie. O względy w klasie, którą dostaje pod opiekę, rywalizują biały chuligan i szef młodocianego gangu Czarnych. Czy Thackeray sobie poradzi?

Pytanie właściwie retoryczne, gdyż wiadomo, że w tego typu filmach, dobro zawsze zwycięża zło, a w nastolatkach dokonuje się gruntowna przemiana. Poitier gra nieźle, jednak trochę zawodzi. Jego Mark Thackeray to smutny twardziel z zasadami, nie wierzymy mu za bardzo, kiedy za wszelką cenę próbuje ratować biedne dzieciaki. Kontakt Michele Pfeifer z młodzieżą był dużo bardziej przekonujący, tu zaś widzimy zmagania stetryczalego macho z grupą trudnych małolatów, które to zmagania przynoszą w końcu rezultat, lecz w zbyt sztampowy sposób.

Ale „nigdy nie jest tak źle, by nie mogło być gorzej”. Film ogląda się całkiem przyjemnie, nie wnosi on, co prawda, nic nowego do gatunku, ale patrzymy na tę bajkę momentami z zaciekawieniem i bez znużenia. Nie będę oryginalny twierdząc, iż to całkiem dobre, rodzinne kino na niedzielne popołudnie, ale tak właśnie jest. Nie zachęcam, ani nie odradzam. Sami zdecydujcie czy warto obejrzeć.

Dobry Piotrek

Reżyseria: Rob Cohen

Scenariusz: Rich Wilkes

Obsada: Vin Diesel, Samuel L. Jackson, Asia Argento, Marton Csokas, Danny Trejo, Tom Everett, Eve,

Tony Hawk

Rok Produkcji: 2002

Czas projekcji: 123 min.

Polski tytuł: „xXx”



TRIPLE X

Koncert. Wszędzie czerwone barwy. Co kilka sekund na scenie wybuchają słupy ognia. Rammstein wie, jak zdobyć rzesze fanów. Publiczność szaleje. Młodzi, wytatuowani ludzie, opleceni łańcuchami od stóp do głów, ubrani w kurtki z ćwiekami drą się w niebogłosy. Muzyka im się podoba. Nagle przez tłumy charakterystycznie odzianych ludzi przebiega się mężczyzna w garniturze. Robi się bardzo gorąco. Nie pasuje do tego środowiska, co widać na pierwszy rzut oka. Wchodzi na scenę. Pada strzał. Marynarka wypełniona już tylko stygnącym ciałem spada na publiczność. Tak wygląda początkowa scena „xXx”. Już tych kilka pierwszych minut sprawia, że człowiek zmuszony jest do poprawienia kołnierzyka. Rob Cohen potrafił połączyć ostrą muzykę niemieckiego zespołu z tym, co dzieje się na ekranie. Dalej też jest szybko i gorąco. Może dość nieprawdopodobnie, ale wizualnie na najwyższym poziomie.

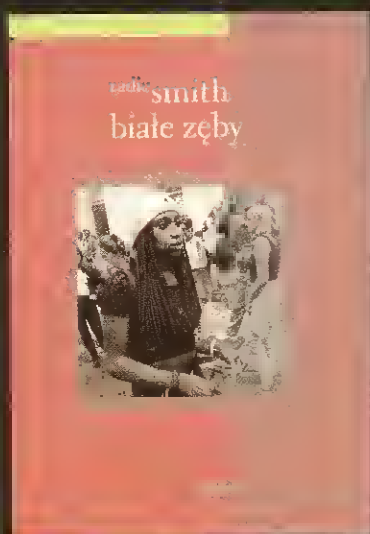
Xander Cage (Vin Diesel) zarabia na życie sprzedając nagrane na kasetach video swoje karkołomne wyczyny. Co chwilę igra z życiem i z policją. Jednak ma wielu przyjaciół i fanów, dlatego swoje zdrowie i dupę ma w ... dupie. Po jednej z ekstremalnych sztuczek wraca do domu, gdzie znajomi robią mu przyjęcie-niespodziankę. Jednym z gości jest Tony Hawk (legendarny skater), który robi ewolucje na mini rampie w domu Cage'a. Niestety, imprezę przerywa nalot służb specjalnych, co doprowadza do złapania Xander'a. Wtedy pojawia się agent August Gibbons (Samuel L. Jackson), który znając jego umiejętności, daje mu ostatnią szansę. Później następuje kilka sprawdzianów możliwości. W jednym z testów Cage mierzy się meksykańskim bydlakiem, granym przez Danny'ego Trejo. Po zdaniu wszystkich prób główny bohater staje się agentem i dostaje pierwsze zadanie.

„Triple X” na pewno nie jest produkcją ambitną, ani wybitną. Jednak jest filmem dobrym, który miło się ogląda. Jest może parę scen wykraczających poza granice zdrowego rozsądku, ale przecież nie obodzi tu o realizm. Gdyby miał być jak najbardziej realistyczny, to pewnie już na początku projekcji służby porządkowe zbierałyby płonące ścierwo Xander'a.

Vin Diesel to najprawdopodobniej nowy następca Stallone'a czy Schwarzenegger'a. Chociaż debiutował w „Szeregowcu Ryanie”, to już jego kolejne filmy były pełnowymiarowym kinem akcji. Mi wizerunek tego aktora odpowiada w zupełności. Nie jest zwykłym mięśniakiem, tak jak wyżej wymienieni panowie. Na pewno może się poszczycić w miarę rozbudowaną mimiką twarzy.

Vin jest bezkonkurencyjnie największym atutem „Triple X”. Jednak film warto także zobaczyć ze względu na inne osobowości: Samuel L. Jackson (wygląda jak czarny człowiek bez twarzy), Danny Trejo, czy choćby Tony Hawk, albo Eve. Oprócz tego, „xXx” jest dobrze i efektownie zrealizowany. Ostra muzyka wprowadza ekstremalny klimat. Film może i odmóżdżający, ale na pewno wart zobaczenia.

Dotzent (np. Busta Rhymes „It ain't safe no more”)



Zadie Smith „Białe Zęby”

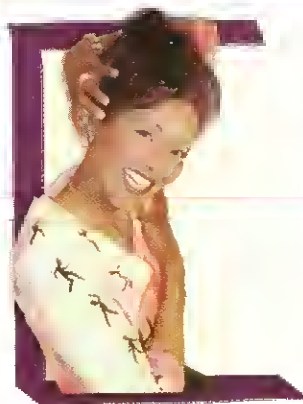
W dziale 'Biblioteka' spotykamy się drugi raz – cieszy mnie, że mogę Was jakoś zachęcić do czytania. Tym razem proponuję zażnajomienie się ze znanym Wam zapewne z billboardów debiutem pisarskim czarnoskórej pół-jamajki, pół-Brytyjki Zadie Smith, noszącym wdzięczny tytuł „Białe zęby”. Ta dość obszerna książka napisana jest lekkim, nie napuszonym, a zarazem bardzo dojrzałym stylem. Autorka nie stroni od uszczypliwej ironii, charakterystycznej dla wielu współczesnych brytyjskich pisarzy-humorystów w rodzaju Douglasa Adamsa, Terry’ego Pratchetta, czy autorki znakomitej sagi o Adrianie Mole’u – Sue Townsend. Dodatkowo jest baczna obserwatorką świata. „Białe zęby” to opowieść o różnych środowiskach przenikających się wzajemnie, opowieść wprawdzie nakreślona ze strzępków historii rodzinnych, pełna erudycji.

W sposób pełen wdzięku i wprawy, Smith opisuje ludzkie zmagania z wiarą, chęćmi dokonania czegoś wielkiego, dorastaniem, wiekiem średnim, historią – a wszystko to staje się tłem do nakreślenia szczegółowego szkicu współczesnej Wielkiej Brytanii, kształtowanej przez niższą warstwę imigrantów i średnią klasę pracowników umysłowych, nawet nie próbujących żyć ponad stan. Wraz z autorką wybieramy się w podróż po meandrach losów rodziny niezdeterminowanego, tkwiącego jedną nogą w przeszłości Archiego Jonesa, który od nastu lat zajmuje się roznoszeniem korespondencji po małej firmie, ale i odkrywamy na nowo historię z perspektywy Samada Iqbala [pracującego w knajpie kuzyna „podajzupy”, jak go określa pogardliwie syn], jego pradziadów i potomków. W tak zwanym międzyczasie spotykamy również inną niż wszystkie, inteligentną rodzinę naukowca Marcusa Chalfena – imigranta z Polski, który przeprowadza genetyczne badania na zwierzętach w ramach programu o wszystkim mówiącej nazwie „Mysz przyszłości”. Z frontów II Wojny Światowej przenosimy się w czasy rewolucji sipajów w Indiach, by za jakiś czas wylądować w Kingston na Jamajce, podczas trzęsienia ziemi w 1907 roku.

Wbrew przedstawionemu powyżej natłokowi barwnych wydarzeń, akcja powieści rozwija się leniwie, a w zasadzie mimowolnie płynie, przypominając filmy Altmana, także przez skupianie się bardziej na socjologii środowisk i systematyzowaniu poglądów postaci. Młoda [w trakcie pisania książki miała zaledwie 21 lat] pisarka sprawia, iż rzeczywiście „każdą chwilę przeżywamy podwójnie, wewnątrz i od zewnątrz i są to dwie różne chwile”, czytając powieść śledzimy losy bohaterów, które stają się jedynie punktem wyjścia do późniejszych rozważań o tożsamości, tolerancji, nauce, religii. Mam nadzieję, że nie zawiedziecie się sięgając po tę pozycję, ja ponownie z czystą odpowiedzialnością ją polecam.

Wiedźma Cessya [Czyste Słowa]

„Białe Zęby” Zadie Smith, wydawnictwo „Znak”, Kraków 2003, www.znak.com.pl



Choreograf Zawód Dla Ludzi z Wyobraźnią

Panie i Panowie, pozwólcie że przybliżę Wam sylwetkę osoby, która ma niezaprzeczalny wpływ na rozwój i popularyzację hip-hopu w Stanach Zjednoczonych. Hihat, bo o niej mowa, jest osobą wyjątkową i choć w Polsce mało kto słyszał o niej, zapewniam, że każdy z Was wielokrotnie podziwiał efekty jej pracy.

Hihat pochodzi z Nowego Yorku. Zamiłowanie do tańca wysłała wraz z mlekiem matki. Swoją profesjonalną karierę rozpoczęła ponad 7 lat temu, podczas eliminacji na choreografa pracującego przy jednym z projektów Willa Smitha. Hihat z łatwością pokonała konkurentów, co dało jej przepustkę do świata hip-hopowych (i nie tylko) wideoklipów.

Pierwszym wysokobudżetowym projektem, nad którym pracowała, był teledysk Montella Jordana zatytułowany „I Like”. Hihat zapragnęła stworzyć coś nowego. „Byłam zmęczona ciągłym oglądaniem podobnych scen tanecznych na teledyskach” – wspomina. „Nic tylko trzęsienie pośladkami do kamery. W moim odczuciu było to uwłaczające wizerunkowi kobiety. Zapragnęłam stworzyć taki rodzaj kroków, który pozwoliłby odkryć tancerkom ich erotyczną stronę, jednak w połączeniu ze zmysłowością i kobiecością”.

Efekt jej pomysłowości był natychmiastowy: Montell Jordan bez chwili wahania zlecił jej stworzenie całego programu choreograficznego na jego trasę koncertową. Talent Hihat zauważyli również inni „wielcy” świata hip-hopowego. Teddy Riley poprosił ją o przygotowanie tancerek do występu w „No Diggity” Blackstreet z udziałem Dr. Dre, a chwilę potem geniusz kamery, Hype Williams, nawiązał z nią owocną współpracę (wystarczy wspomnieć teledysk Busta Rhymes’a i Janet Jackson „What’s It Gonna Be”).

Patrząc na to, czego Hihat zdołała nauczyć Missy oraz innych artystów i tancerzy pojawiających się na wideoklipach, nie sposób zaprzeczyć, że dobry choreograf to połowa sukcesu. Dolożyć do tego wpadającą w ucho muzykę oraz utalentowanego reżysera, który będzie potrafił zgrać ohraz z dźwiękiem i sukces mrowany.

Hihat jest obecnie jednym z najlepszych i najlepiej opłacanych choreografów tanecznych w USA. Pracowała z najlepszymi raperami. Planowała i organizowała oprawę taneczną największych wydarzeń muzycznych, miała do dyspozycji najdroższe budżety, współtworzyła spektakularne koncerty i uroczystości. Założone przez nią HiHat Entertainment jest obecnie jedną z najprężniej rozwijających się firm w branży muzycznej w Stanach Zjednoczonych. Wszystko to dzięki wyteżonej pracy i wierze w sukces. Sprawdźcie Hihat i jej dorobek na: www.hihatent.com.

Lista teledysków, które przeszły do historii hip-hopu jako niepowtarzalne i nietuzinkowe obrazy, a których głównym punktem programu była choreografia wymyślona przez Hihat, jest długa i imponująca. Przypomnijmy te najważniejsze:

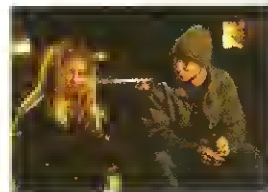
- Jay-Z „Izzo” i „Can I Get A”
- Notorious B.I.G. oraz Puff Daddy „Mo Money, Mo Problems”
- Nas „Nastradamus”
- Jermaine Dupri i Jay-Z „Money Ain’t A Thang”
- Mase i Puff Daddy „Feel So Good”
- Mary J. Blige „Deep Inside”
- Lil’ Mo „Gangsta”
- Wyclef Jean „Perfectentlemen”
- Destiny’s Child „Independent Women”

Do tejże listy wypada dodać oryginalny dorobek Hihat, jeśli chodzi o współpracę z Missy Elliot. Pamiętacie wideoklipy do utworów „All In My Grill”, „She’s A Bitch”, „Hit Em With the Hee”, „Sock It To Me”, „Beep Me 911”, „Get Your Freak On”, czy „One Minute Man”? Niesamowite i wciągające sceny taneczne tychże teledysków to oczywiście również jej zasługa.

Tpix



Rubryka Czarny kot, biały kot to nie oaza zoofilii, ani krąg fanów (poniekąd znakomitego) Kusturicy. Prowadzimy tu polemikę na temat filmów, które w sposób istotny wpisały się (albo wpisują się) w kulturę Afro-Amerykanów. Dzisiaj 8. Mila, choć jak przez pomyłkę sięgnięcie po miłą zieloną (ta z Hanksem, na podstawie Kinga), jedynie zyskacie. To stwierdzenie bliższe Czarnemu Kotu. Co na to Biały? Zapraszamy do lektury.



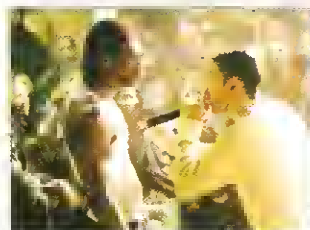
Czarny Kot:



Ósma mila - film, nad którym rozpyłują się publicyści „Polityki”, „Newsweeka”, „Cinemy” (przynajmniej tak głoszą plakaty), film, po którym wielu z moich znajomych krzyknęło entuzjastycznie „Oscar dla Eminema!”, w końcu film, którego byliśmy bardzo ciekawi zwłaszcza ze względu na freestyle. Kiedy znaleźliśmy się w kinie na premierowym pokazie, pierwsze co mnie uderzyło, to bez ustanku puszcany utwór „Loose Yourself”, natężenie z jakim emitowano piosenkę, zaowocowało irytacją w trakcie seansu. Jednak to, co przed i w trakcie wyświetlania filmu, zostawmy na boku, ważne są wrażenia „po”. Opuściłam kino z uczuciem, jakbym przebrnęła nie osiem, a co najmniej trzydzieści dwie mile. Dwie godziny czekania na rozwój wydarzeń zostały wynagrodzone szybką i dynamiczną akcją podczas napisów końcowych (ludzie, co tam się działo, ilu bohaterów przemknęło przez ekran!). Prawdziwą sztuką jest nakręcenie tak długiego filmu unikając fabuły. Gdyby po obejrzeniu „8. mili” wyświetlić jeden z dokumentów kanału Discovery, widzowie pewnie dostaliby ataku serca od nadmiaru wrażeń. A gdyby tak pozbyć się wszystkich scen bezsensownie przegadanych, a w zamian zaproponować coś naprawdę sensownego? Gdyby rzeczywiście rola Eminema była oscarowa, to ja, przytaczając

słowa Świetlickiego, postuluję Nobla dla Ibisza. Marshall Mathers może i jest dobrym aktorem, ale na srebrnym ekranie niczego nie udowadnia, bo tak naprawdę zagrał samego siebie. Więcej z siebie dała Kim Basinger, idealnie odzwierciedlając zachowania alkoholika. Poza postaciami, w które wcieliła się ta dwójka, chyba jedynie osoby Alex (scena łóżkowa... a raczej fabryczna rodem z Germinal'u, Brittany Murphy miała wyraz twarzy, jakby chciała wymiotować, co za gra...) i Cheddar Boba zostały jakoś pogłębione psychologicznie. Pozostali towarzysze Rabbity to jedynie rozmyte szkice. To co w filmie najistotniejsze - walki na wolno - jedynie one trzymały napięcie i wywoływały emocje. Może wpłyną one na polskich artystów, chociaż większość pamięta scenariusz bitwy w Płocku i wie, czym się kończy przenoszenie schematów takich jak jechanie-sobie-po-matkach na rodzimym gruncie. Zastanawia mnie jedno, jaką wartość film ten może mieć dla ludzi niezwiązanych z hip-hopem, czy nie podkochujących się jawnie bądź potajemnie w Eminemie?

Biały Kot:



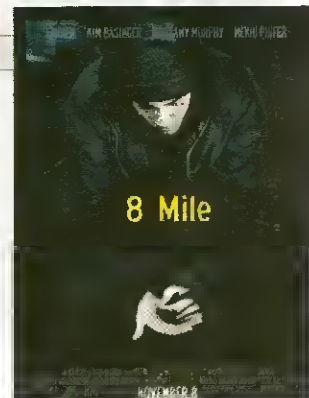
Jak najbardziej może mieć wartość, trzeba bowiem pamiętać, kto film robił. Curtis Hanson (już po fackie przypomniano mi, że to człowiek od „L.A. Confidential”) czyni „8. milę” atrakcyjną od strony wizualnej, przyjemnie zauważyć pastelowe acz soczyste barwy: brązy i zielenie jak z teledysku FFOD, a jedna z końcowych scen w The Shelter, kiedy biały Eminem siedzi w białej koszulce na tle rozwrzeszczanej, zahipnotyzowanej czarnej masy ma wymiar nieomal symboliczny. Walki na wolno znakomite, równie świetnie napisane, co nieudolnie przetłumaczone (nie ma nic gorszego niż dorosłe osoby, silące się na młodzieżowość) - ale to bynajmniej nie jedyne sceny z napięciem i emocjami, film magnetyzuje, kiedy pojawia się duet Mathers-Basinger, scena kłótni z pijaną matką należy do naprawdę dobrych. Nie wiadomo też jak tą dwójkę oceniać, Eminem a.k.a. B. Rabbit wytrwale dąży do celu, ale czyż nie porzucił kobiety spodziewającej się dziecka (rezygnując z dociekań czy ciąża była prawdziwa, Rabbit w to wierzył)? Matka jest alkoholiką, nimfomanką, skrajnie niegospodarną osobą, przegrywającą życie na własne życzenie, ale syna na swój chory sposób kocha, jej intencji nie można negować, to raczej pewna niekompatybilność z rzeczywistością. Warto też

zwrócić uwagę na rolę Future, odtwarzaną przez Mekhi Pfeiffera - to bohater drugiego planu, postać pełna ciepła, życiowej mądrości, a w dodatku jak się okazało - człowiek z niezłymi warunkami do rapu. Natomiast postać Alex została raczej pogłębiona fizycznie, drogą wielu kontrolowanych wwieceń, niż psychologicznie, stanowiąc coś pomiędzy Aguillera w „Dirty” a Gwen Stefani. Większość pism przyjmujących owacją kreację Eminema (gra siebie, to prawda, ale wielu naturszczyków-MC's nawet tego nie umie), wskazywała jednocześnie na pełną szkicowość fabuły i obrzydliwą tendencję. Tego się nie ominie, „8. mila” rozgrywa się tradycyjnie w myśl schematu „być poniżonym, żeby wygrać”, w to wszystko wplata się dziewczyna i przyjaciel mentor - odrzucony, by na końcu zostać przygarbiętym. Jednak Hanson jakby celowo nie kończył pewnych wątków, całość nie została beznadziejnie i hollywoodzko dopowiedziana, sporo rozwiązań jest otwartych, żeby widz wedle swojej inteligencji i wyobraźni mógł pociągnąć je dalej. Jest tu parę świetnych, pełnych inwencji pomysłów - np. sceny pisanie rapu przez Em'a ilustrowane są instrumentalami bez ścieżek wokalu, jedynie z dopowiedzeniami, co oddaje męki twórcze. Wszystko to składa się na tezę - nic wielkiego, ale przyzwoite kino. A że dla ludzi słuchających bip-hopu? To już nie mój problem.

Czarny Kot:

Skoro już przywołujemy postać reżysera, to jak pięknie i Pitołowski „Mila” nie byłaby nakręcona, pozostaje tym dzieckiem, któremu przypadło w udziale najmniej genów ojca. Nie ma tu nic z dramatyzmu i napięcia wspomnianych „Tajemnic Los Angeles”. Slim Shady siedzący w białym podkoszulku na tle „czarnej masy” (jak to pięknie ująłeś), to scena równie symboliczna, co postrzelenie się w wiadome okolice przez Boba - każdy widzi to, co chce zobaczyć. Niedopowiedziany to może być film „Porozmawiaj z nią” Almodovara, „8. mila” jest jednym z bardziej niezgrabnych odcinków drogi wytyczonej przez Hansona. Masz rację co do jednego - scena kłótni jest dobra: trauma jak w Zatoce Morświnów, czy innym Beverly Hills. Czy ja jestem skłonna wydać na to naście złotych? Chyba wołałabym poczeekać na kasety video.

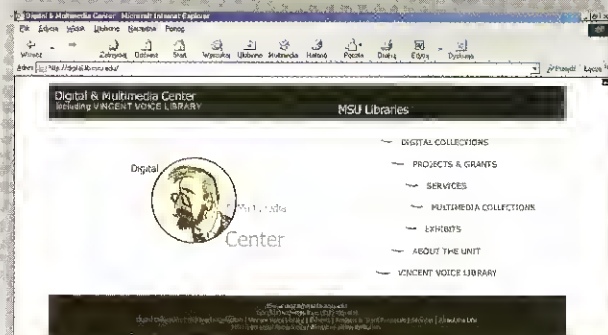
Wiedźma Cessya, Flintst1 (Czyste Słowa)



Swoich cennych złotych nie wydawaliśmy dzięki Cinema City Bemowo (ul. Powstańców Śląskich 126a, (22) 5604010, bemowo@cinema-city.pl)

Digital & Multimedia Center

Podczas internetowych podróży można odkryć czasem rzeczy naprawdę niesamowite. Dające wiele radości i co najważniejsze wiedzy, strony internetowe zapewniają nam, użytkownikom, wspaniałą możliwość zapoznania się z wieloma informacjami niedostępnymi dla nas żadną inną drogą.



Tym razem, w poszukiwaniu zdjęć Huey'a P. Newton'a, legendarnego i charyzmatycznego przywódcy Czarnych Panther, natrafiłem na stronę Digital & Multimedia Center [<http://digital.lib.msu.edu/>], należąca do Uniwersytetu Stanowego Michigan. Niby nic szczególnego na pierwszy rzut oka. Zbiór przeróżnych dokumentów, pism i filmów. Jednakże po zagłębieniu się w stronę, odkryłem coś, co dla żadnych wiedzy internautów stanowiłby kapitalny skarbierz oryginalnych wydawnictw związanych z wieloma zagadnieniami historycznymi, m.in. z wyzwolenieczym ruchem Czarnych. Pod adresem <http://digital.lib.msu.edu/onlinecolls/collection.cfm?CID=1> znajduje się dział opatrzony nazwą „American Radicalism”. W nim, oprócz innych ciekawych zagadnień (typu Ku Klux Klan, Students For a Democratic Society czy Asian America), znajduje się część poświęcona Czarnym Pantherom. I tu można naprawdę oszaleć z radości. Na stronie odnajdziemy pełne wydania historycznych wydawnictw, autorstwa między innymi szukanego przeze mnie Huey'a Newtona. Pochodzące z lat 1969-70 teksty są odzwierciedleniem walki o prawa obywatelskie. Walki, którą czarna społeczność musiała stoczyć, by cieszyć się pełnią zagwarantowanych konstytucyjnie praw obywatelskich. Na stronie znajdziemy:

- Cleaver, Eldridge “*Credo For Rioters and Looters*”
- Black Liberation Army: Coordinating Committee “*Message to the Black Movement*”
- The John Brown Society “*An Introduction to the Black Panther Party*”
- Ofari, Earl “*Black Liberation*”
- Courtney, Kent “*Are These Cats Red?*”
- Newton, Huey P. “*The Genius of Huey P. Newton*”
- Newton, Huey P. “*Essays From the Minister of Defense*”
- Students for a Democratic Society “*Huey Newton Talks to the Movement*”
- Tabor, Michael “*Capitalism Plus Dope Equals Genocide*”
- Bird, Joan “*Joan Bird's Statement, October 1969*”

Oraz 3 teksty autorów nieznanych:

- “*The Black Panther Party and the Case of the New York 21*”
- “*What do the Panther's Stand For?*”
- “*Baltimore Panther Trial News*”
- “*Black Panther Party: file of clippings, pamphlets, and miscellanea*”

Co ciekawe, dostępne tu treści nie stanowią tylko i wyłącznie obrony ruchu Czarnych Panther, ale jak na przykład „*Are These Cats Red?*” Kent'a Courtney'a z Conservative Society of America, polemizują co do przynależności Czarnych Pantherach do komunistycznych bojówek. Materiały te dostępne są w formatach JPG, GIF, PDF, HTML, SGML i XML, zależnie od źródła i danej kolekcji. Serdecznie polecam tę stronę i życzę dużo radości przy zgłębianiu tej części historii Ameryki.

Jakuza

informacyjny serwis hiphopowy

WWW.POLHH.COM

już w marcu

"What's Going On"

Marvin Gaye

Data wydania: 21 maja 1971

Czas trwania płyty: 35 min. 27 sek.

Wydawca: Tamla Motown

Track lista:

1. What's Going On (Benson/Cleveland/Gaye) - 3:52
2. What's Happening Brother (Gaye/Nyx) - 2:44
3. Flyin' High (In the Friendly Sky) (Gaye/Gaye/Stover) - 3:49
4. Save the Children (Benson/Cleveland/Gaye) - 4:03
5. God Is Love (Gaye/Gaye/Nyx/Stover) - 1:41
6. Mercy Mercy Me (The Ecology) (Gaye) - 3:13
7. Right On (Derouen/Gaye) - 7:31
8. Wholy Holy (Benson/Cleveland/Gaye) - 3:08
9. Inner City Blues (Make Me Wanna Holler) (Gaye/Nyx) - 5:26



"What's Going On" to jedno z najważniejszych wydań w historii całej muzyki - nie tylko czarnej. To pierwsza płyta wydana przez czarnego artystę, gdzie nie tylko są przeboje singlowe, ale poszczególne piosenki ułożone są w tzw. koncept album.

"Matko

Zbyt wielu z was płacze

Bracie

Zbyt wielu z was umiera

Wiesz, że musimy znaleźć sposób

Aby zasiać tu trochę miłości..."

Tak zaczyna się tytułowy "What's Going On" i brzmi to jak wezwanie do światowego pokoju i część przemówienia Martina Luthera Kinga. Ale Marvin Gaye był w czasie tworzenia tej płyty pod wpływem kilku doświadczeń życiowych, które zdecydowały o takim, a nie innym brzmieniu krążka.

Artysta nagrywał od 1961 roku dla wytwórni Tamla Motown, mieszczącej się w Detroit. Ku zaskoczeniu swoich przyjaciół i znajomych poślubił siostrę właściciela Tamli, Berry'ego Gordiego - Annę. Zaskoczenie było tym większe, że kobieta była starsza o 17 lat. Owocem ich uczucia było dziecko. Lata 60. to czas nagrywania przez wokalistę słodkich piosenek (z wyjątkiem mrocznego i znakomitego „I've Heard It Through the Grapevine”). To również czas słynnych duetów z wokalistkami nagrywającymi dla Tamli: Mary Wells, Kim Weston, Tammi Terrell i Dianą Ross. Cały czas jednak artysta walczył o niezależność artystyczną. Na początku lat 70. zmienił zdecydowanie swój image: z ubranego w eleganckie ciuchy

murzyńskiego modnia stał się tyjającym brodaczem, który zachowaniem i wyglądem (wełniana czapeczka, jeansy, sportowe buty) wyraźnie był w opozycji do rzeczywistości. Zmienił się On bo i świat był inny: zginął Martin Luther King, a jego zabójstwo, podobnie jak Kennedy'ego i Malcolma X, sprawiło, że optymizm wyrażony w słynnym kazaniu Kinga „I Had a Dream” („Miałem sen”) miał się nijak do idei pokoju i braterstwa. W Ameryce rósł w owym czasie bardzo mocno sprzeciw wobec wojny w Wietnamie. Marvin znał klimat wojny doskonale, bowiem był na niej jego brat - Frank, który przedstawił mu

całą prawdę o „zagrożeniu” Amerykanów przez Wietnamczyków.

Wszystkie te zdarzenia dziejowe oraz zmiany w życiu prywatnym artysty sprawiły, że Marvin postanowił zadać światu błagalne pytanie: "What's Going On".

"Ojciec

Widzisz, że wojna nie jest rozwiązaniem

Jedynie miłość może pokonać nienawiść

Wiesz, że musimy znaleźć sposób

Aby zasiać tu trochę miłości"

Ta płyta to jedno z najważniejszych wydań w historii czarnej muzyki i muzyki popularnej. Od wielu lat wybierana jest jako najważniejsza płyta soulowa, a jej znaczenie historyczne nigdy nie zostało podważone. W warstwie tekstowej "What's Going On" jest obrazem Ameryki przełomu lat 60. i 70., przedstawionym z perspektywy wracającego z Wietnamu żołnierza. Zobaczył on swój kraj pograżony w mrok i chaosie.

Do przemocy którą już i tak znał, dołącza zagrożenie środowiska ("Mercy Mercy Me / The Ecology"), plaga narkotykowa ("Flyin' High / In the Friendly Sky"), ogólna depresja i beznadzieja sytuacji młodych murzyńskich Amerykanów ("What's Happening Brother" i "Right On").

W warstwie muzycznej to arcydzieło kompozytorsko-aranżacyjno-wykonawcze. Nie chodzi tu tylko o "klasyki", które raz po raz doczekują się przeróbek („Inner City Blues”, „Mercy Mercy Me”, „What's Going On”/wszystkie były nr 1 na amerykańskiej liście singli/).

Cała muzyka jest niezwykle spójnym dziełem, zawierającym najwspanialsze osiągnięcia czarnej muzyki, z wpływami bluesa, gospel i jazzu, wnoszącym nowe brzmienia i nowego ducha.

Płyta wywarła wpływ na trzy pokolenia czarnych i białych wykonawców. Stała się symbolem niezależności twórczej i manifestem pokolenia przełomu lat 60. i 70. Wiele z tekstów znajdujących się na niej, aktualnych jest do dziś.

*"Nic nie jest takim jak kiedyś,
Ile jeszcze obelg można znieść?
Mój Panie...Mój dobry Boże"*

"What's Going On" pozostało najwspanialszym dziełem w dorobku Marvinu Gaye'a. Artysta nagrywał dla Tamli 20 lat. Rozstał się ze swoją ex wytwórnią w kłótni. Jednak ta, od czasu śmierci Marvinu, co roku oddaje hołd swojemu największemu artyście, organizując specjalny koncert lub imprezę w rocznicę fatalnego w skutkach wydarzenia z 1984 roku.

"What's Going On"?

1 kwietnia 1984 roku Marvinu Gaye'a zastrzelił w Los Angeles jego... ojciec. W przeddzień 45. urodzin artysty...

Tak zakończyła życie niespokojna i niezwykle wrażliwa natura, która doszukiwała się porozumienia pomiędzy przeciwstawnymi pragnieniami duszy i ciała. Być może jest to niezwykle naiwne i proste, ale całe życie Marvinu to próba pogodzenia różnych sprzeczności. Zniszczyły go narkotyki, alkohol i poszukiwanie prawdziwej miłości. Rozpadły się jego dwa małżeństwa. Ściagała go policja podatkowa... Niestety, nie udawało mu się w życiu, lecz w muzyce osiągnął perfekcyjny absolut.

I chociaż nie znalazł odpowiedzi na pytanie *What's Going On*, to jednak poruszył sumienia wielu ludzi, zainspirował ich do poszukiwania prawdy. Dla wielu był też symbolem poszukiwania prawdziwej miłości. Wierzył, że ona istnieje. To właśnie wielka miłość do wokalistki Tammi Terrell była impulsem do powstania "What's Going On". Marvin zakochał się w niej do szaleństwa. Wiedział, że ma rodzinę i "ułożone" życie, ale ta miłość nie dawała mu spokoju. Była w nim. I na dodatek stała się rzeczą najstraszniejszą z możliwych - śmierć. Tammi zmarła 16 marca 1970 roku mając zaledwie 24 lata. Marvin przeżył to straszliwie. Tak naprawdę to pod wpływem jej śmierci powstało „What's Going On”.

"Jak mogę zapomnieć

Jeśli każda twarz przywołuje wspomnienie

Bycia z Tobą

Nie potrafię tak daleko żyć

Tak jak teraz

Porównuję każdą kobietę z Tobą

I wiem

Że one nie są Tobą

Ponieważ jesteś wszystkim

A wszystko jest Tobą"

P.S.

Kompozycje Marvinu Gaye'a wykonało dotychczas 127 wykonawców. M.in.: Aswad, Bar Kays, Hiram Bullock, Joe Cocker, Color Me Badd, Chick Corea, Aretha Franklin, Fred Frith, Dizzy Gillespie, Grateful Dead, Quincy Jones, Kinks, Little Richard, Taj Mahal, Maceo Parker, Puff Daddy, Rolling Stones, Diana Ross, Santana, Slade, Special EFX, Speech, Van Halen, Weather Report, Stevie Wonder.

JEDYNY TAKI WEEKEND



Weekend gwiazd NBA. To, na co czekają miliony kibiców na całym świecie. Wielkie przedsięwzięcie sportowe, medialne i komercyjne. Setki znanych twarzy showbusinessu i sportu skupione w jednym miejscu. Tym miejscem w dniach 7-9 lutego 2003 była Atlanta.

Punktem kulminacyjnym weekendu jest oczywiście mecz gwiazd, jednak poprzedza go masa różnorodnych imprez i konkursów. Znałe od wielu lat: konkurs rzutów za 3 punkty, konkurs wsadów, mecz debiutantów z drugorocznikami, a także nowość „skills challenge”, konkurs przeznaczony dla rozgrywających. Świetnym pomysłem był także mini turniej 3 na 3, w którym udział brali weterani, oraz znani aktorzy, muzycy, itp.

Konkursy wsadów i rzutów za 3 przebiegły pod znakiem dominacji zeszłorocznych zwycięzców. Jason Richardson (Golden State Warriors) po raz drugi nieznacznie wyprzedził triumfatora sprzed dwóch lat Desmonda Masona (Seattle Supersonics) i obronił miano „króla wsadów”, a Peja Stojakovic (Sacramento Kings) wygrał ponownie konkurs „trójek”.

W „skills challenge”, składającym się z szeregu ćwiczeń i rzutów z różnych pozycji, zwyciężył Jason Kidd (Phoenix Suns), przed Gary Paytonem (Seattle Supersonics). Gracze ci potwierdzili dominację na pozycji rozgrywających w lidze.

W turnieju „3-on-3” występowali m.in. weterani: Magic Johnson, Kenny Smith, Moses Malone, Dominique Wilkins i Sarunas Marculionis, oraz gwiazdy: Jamie Foxx, Justin Timberlake, Ice Cube i Brian McKnight. Wspomagani byli przez zawodniczki WNBA i graczy NBA. W finale spotkały się fikcyjne drużyny Kings i 76ers. Lepsi okazali się Kings, wygrywając w dogrywce 12-9.

Mecz debiutantów z drugorocznikami, nazwany „rookies vs. sophomores”, zakończył się wygraną sophomores w stosunku 132-112. Drużynę zwycięzców zdominowali dwaj gracze Golden State Warriors: Gilbert Arenas i zwycięzca konkursu wsadów Jason Richardson (31 punktów - rekord w historii meczów debiutantów). Podzielili się oni trofeami, ponieważ nagrodę mvp meczu zainkasował, zdobywając 30 pkt. (23 w drugiej połowie), Arenas.

Mecz gwiazd, rozgrywany od 1951 roku, zawsze elektryzował kibiców. Jest w nim dużo widowiskowości, trochę mniej obrony i dążenia za wszelką cenę do wygranej. Jest to świetna zabawa tak i dla zawodników, trenerów jak i widzów.

Tegoroczny mecz gwiazd już po poznaniu wyników głosowania fanów przyniósł kilka niespodzianek. Największą z nich było wybranie do pierwszej piątki debiutanta, olbrzyma z Chin, Yao Minga (Houston Rockets). Yao zdezonizował tym samym samego Shaqa O'Neala. Do głównego składu nie został wybrany również „his airness” Michael Jordan. Do pierwszej piątki konferencji wschodniej trafili: Allen Iverson (76ers), Tracy McGrady (Magic), Vince Carter (Raptors), Jermaine O'Neil (Pacers) i Ben Wallace (Pistons). Piątka zachodu to: Kobe Bryant (Lakers), Steve Francis (Rockets), Kevin Garnett (Timberwolves), Tim Duncan (Spurs) i Yao Ming (Rockets).

Rezerwy, wybierane przez trenerów, to przede wszystkim „starzy wyjadacze” meczów gwiazd. Na wschodzie Michael Jordan (Wizards) - czternasty raz w meczu gwiazd, Jason Kidd (Nets) - szósty raz. Na zachodzie natomiast Shaq O'Neal (Lakers) - dziesiąty raz, oraz Gary Payton (Sonics) - po raz dziewiąty w tym doborowym towarzystwie. Obecność swoją zaznaczyli także Europejczycy: Dirk Novitzki, Peja Stojakovic i Zydrunas Ilgauskas.

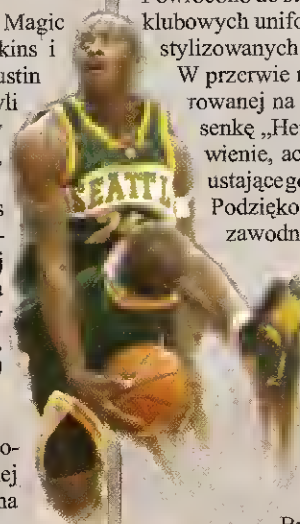
Sam mecz obfitował w wiele emocjonujących momentów, dunków, świetnych podań oraz dodatkowych atrakcji. Po wcześniejszym odrzuceniu propozycji odstąpienia miejsca w pierwszej piątce przez Allena Iversona i Tracy McGrady'iego, Michael Jordan zdecydował się w ostatniej chwili na propozycję Vince'a Cartera i swój 14-szy występ rozpoczął jak wszystkie poprzednie w pierwszej piątce. Propozycje tych trzech czołowych zawodników ligi świadczą niewątpliwie o wielkim szacunku dla 40-letniego już „króla koszykówki”.

Powrócono do starej tradycji i zawodnicy nie występowali w swoich klubowych uniformach, tylko w jednolitych, białych i czerwonych, stylizowanych na wcześniejsze lata.

W przerwie meczu zaśpiewała Mariah Carey, w sukience wzorowanej na koszulkę Jordana. Zadeedykowała też MJ'owi piosenkę „Hero”. „Jego powietrzność” wygłosił potem przemówienie, aczkolwiek przyszło mu to z trudem z powodu nieustającego ogromnego aplauzu widzów i zawodników. Podziękował wszystkim i powiedział, wskazując na resztę zawodników, że ligę zostawia w dobrych rękach i może teraz spokojnie odejść. Swoją drogą, który to już raz? Może Mike zostanie jeszcze na kolejny sezon?

W drugiej połowie walka toczyła się bardziej serio, jednak regulaminowy czas gry nie przyniósł rozstrzygnięcia. Pod koniec pierwszej dogrywki Jordan popisał się akcją w swoim stylu i rzutem z odejścia wyprowadził drużynę wschodu na 2-punktowe prowadzenie na 4 sekundy przed końcem. Jednak za sprawą rzutów wolnych Kobe Bryanta, doszło do drugiej dogrywki. W tejże dogrywce brylował już Kevin Garnett. Wyprowadził on drużynę zachodu na wyraźne prowadzenie i pomimo heroicznej walki Allena Iversona, gwiazdy zachodu zwyciężyły 155-145.

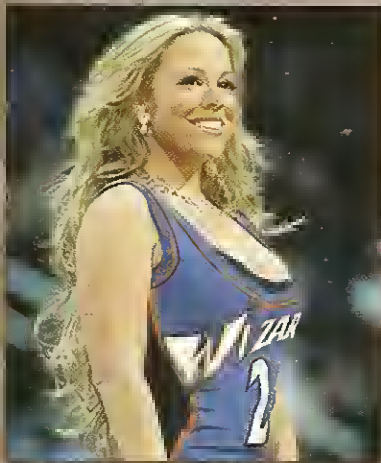
Nagrodę MVP (najbardziej wartościowego gracza) meczu odebrał z rąk komisarza NBA Kevin Garnett. Trofeum było jak najbardziej zasłużone. „Big ticket” zdobył aż 37 pkt. (ze świetną skutecznością 17 na 24), zanotował 9 zbiórek i 5 przechwyty. Potwierdził tym samym idące w parze z wynikami aspiracje do nagrody MVP sezonu. W drużynie zwycięzców wyróżnili się także Bryant, Francis, Duncan i O'Neal. Z gwiazd wschodu wyróżniał się Allen Iverson, zdobywca 35



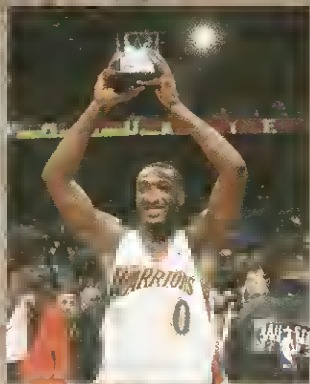
pkt. i 7 asyst, oraz Tracy McGrady (29 pkt),
no i oczywiście Michael Jordan (20 pkt.).

Po weekendzie gwiazd, chwili odpoczynku dla zawodników, czas powrócić do intensywnej gry i walki o play offs. Od kilku lat, przy okazji weekendu gwiazd szczególnie, powraca jedna smutna prawda. W 212 krajach na całym świecie, istniała możliwość obejrzenia kompletnej transmisji bądź chociaż retransmisji z meczu. Wśród tych krajów znajdują się takie „egzotyki”, o których ktoś nie będący asem geografii nie wie nic, a czasem nie słyszał nawet takiej nazwy. W Polsce transmisji nie przeprowadza ani żadna publiczna, ani komercyjna telewizja. Skończyły się dobre czasy, kiedy można było oglądać skróty z meczów i magazyn „NBA Action”, a dawniej nawet mecz gwiazd i finały na żywo. Kolejno TVP2 i TVN rezygnowały z NBA. Rodzimym sympatykom NBA pozostał jedynie 40-minutowy skrót na niemieckim DSF (jeżeli oczywiście ktoś ma dostęp). W takiej sytuacji nie dziwią słabe wyniki reprezentacji i pustki na boiskach do kosza, kiedy to promocji tej dyscypliny nie ma w mediach praktycznie żadnej.

Eskaubei
Foto: nba.com



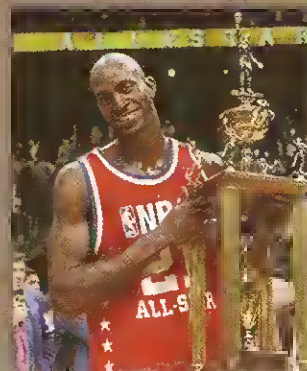
Terrell Davis



Shirley Davis



Leanne & Penelope



Shirley Davis



Shirley Davis



LL Cool J & P Diddy



Mina Ch Aguilera & Shag

Kto tu rządzi

O.S.T.R.

Kto tu rządzi:

prawda

Przyjaciel:

zaufanie jak do brata

Wróg:

nie gadam o wrogach

Idealna kobieta:

nie ma ideałów

Płyta:

nie buduje

Film:

dobra rzecz na relaks

Książka:

dotrze „tam”, gdzie tele-

wizja nie ma szans

Miejsce:

Polska system samowolka,

hehehehe

Kultura:

chyba tego mi brak trochę,

hehe

Rozrywka:

życie to najlepsza rozrywka

Sport:

GibGibon Cup z Tede w 71

Seks:

o to zapytaj moja luba, chyba jest zadowolona, tak my-

śle

Idol:

chyba Flintstone jest fanem

Idola, tak wnioskuje po re-

cenzach, hehe

Nalóg:

mam 4: trzy pier-

wszoplanowe: seks, hip-hop,

weed i tyton

Wiara:

jest jeden Bóg, obojętne jak

go nazwiesz

Polityka:

dla złodziei dobry biznes

Rasizm:

nie toleruje rasizmu

Internet:

ziom za ziomem

Przekleństwo:

łoża szycerców

Dowcip:

nie jestem dobry w opo-
wiadaniu dowcipów

Foto: Paweł Fabjański

Czarna seria

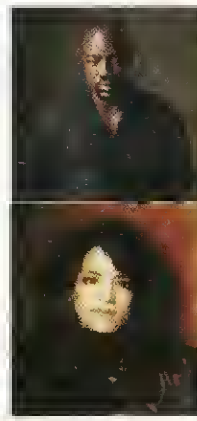
Znany producent Dick Wolf, przy współpracy z dobrze Wam znana wytwórnią hip-hopową Uptown Records, stworzył kolejny z tysięcy seriali z nurtu tzw. buddy movies. Dwóch przyjaciół detektywów, jeden Afro-Amerykanin (Yoba), drugi Portorykańczyk (DeLorenzo) rozwiązują kryminalne zagadki, prowadzą zagmatwane śledztwa i robią wszystko to, co dobrzy filmowi gliniarze zazwyczaj skłonni są robić, by zadowolić wybredną publikę. Sztampa? Bynajmniej.

Oprócz postaci detektywów, których postrzegamy wyłącznie przez pryzmat kolejnych śledztw (vide Colombo, Kojak), aktorzy mieli za zadanie stworzenie bohaterów o dość wysokiej (jak na serialu) głębi psychologicznej. Udało się. Obserwujemy skomplikowane relacje Eddiego z Niną (Velez), J.C. z synem Gregorym. Dramaty jednostek po stracie bliskiej osoby, problem rasizmu, trudnej młodzieży, narkotyków, etc. Williams jest inteligentny, pewny siebie, dumny z bycia Czarnym, kochający swój zawód. Stara się uchronić syna przed niebezpieczeństwami czyhającymi na ulicach Nowego Jorku. Eddie to wrażliwy uczuciowiec, stawiający kontakty z kobietami czy ojcem-narkomanem ponad pracę.

Realistyczny, ujmujący swą prostotą, a zarazem bardzo dobrze zmontowany obraz, okraszony świetną, bogatą w hip-hop, jazz, soul, ścieżkę dźwiękową. Czego chcieć więcej? Ano, niestety tego, iż ta sielanka trwa tylko trochę ponad dwa sezony. Potem scenarzyści uśmiercają Eddiego, wprowadzając dodatkowo mierne w efekty zmiany obsadowe, czyniąc z grupy detektywów jakąś tajną jednostkę specjalną i zmieniając lecczą w tle muzykę z czarnej na wyzbyty barwy popularny pop. Wielka szkoda. Dwie pierwsze serie (52 odcinki) gorąco polecam, resztę możecie sobie z czystym sumieniem darować.

Dobry Piotrek

NEW YORK UNDERCOVER



Reżyseria: Anson Williams
Scenariusz: Angel Dean Lopez
Obsada: Malik Yoba (J.C. Williams), Michael DeLorenzo (Eddie Torres), Lauren Velez (Nina Moreno), (Patti D'Arbanville-Quinn (Virginia Cooper), Jonathan LaPaglia (MacNamara), Derrick Simmons (Alvin Griffin), Kamal de los Reyes (Luis), Marisa Ryan (Nell Delaney), Michael Michele (Sandy Gill), Thomas Mikal Ford (Malcolm Barker), Naomi Campbell (Simone)
Czas projekcji: ok. 45 minut (epizod)
Rok produkcji: 1994-98
Polski tytuł: „Oblicza Nowego Jorku”

KOLIGACJA g.k.

ZA

MŁODZI?

HIP HOP TO NIE PRAWO JAZDY!

O legalnej płycie marzy zapewne każda z podziemnych ekip nagrywających demówki. Potrzeba jednak czegoś więcej, niż tylko marzeń - potencjału. Nie brakowało go w przypadku gliwickiej Koligacji G.K., na którą zwrócił uwagę wrocławski Blend Records. Efektem jest debiut Majkela i Kecaja na legalu - „Kuriozum”. Słusznie. Nie wolno pozwolić, by nieprzeciętne talenty na polskiej scenie były skazane na egzystowanie wyłącznie w undergroundzie.

Blek: Jak to się stało, że udało się Wam trafić do Blendu?

Kecaj: Po prostu wysłaliśmy demówkę do paru miejsc, akurat z Blendu dostaliśmy odpowiedź pozytywną. Kaseta wzbudziła ich zainteresowanie.

Blend ostatnio wydaje sporo płyt, coraz więcej jest niezłych, chyba dobrze trafiliście?

Kecaj: Trafiliśmy do wytwórni, która się stale rozwija, co można zauważyć. Nas to bardzo cieszy.

Majkel: Moim zdaniem jest to w tej chwili jedyna wytwórnia, która jest w miarę niezależna. Blend w dalszym ciągu nie współpracuje z żadnymi majorsami (poza pojedynczymi płytami, jak np. Tymon, który ma dystrybucję z Pomatonu) i cały czas robi sobie wszystko sam. Dla mnie to jest duża zaleta tej firmy.

Kecaj: Plus jest też taki, że ludzie, którzy odpowiadają w Blendzie za wydawanie płyt, biorą pod uwagę tylko te pozycje, które im się osobiście podobają. Nie jest tak, że wydadzą coś, w czym zwęszą pieniądze. Czasami są to płyty, które nie są pewniakami jeśli chodzi o sprzedaż, ale im się podobają.

A są wytwórnie, które wydadzą coś, co im się nie podoba?

Kecaj: Zdarzają się takie sytuacje.

Majkel: Czasem ludzie wydają płyty tylko ze względu na to, że to jest hip-hop, a nie zastanawiają się nad tym, czy to jest dobre.

Przecież na rynku jest mnóstwo słabych płyt, których autorzy nie zasłużyli na to, aby wydać legal i aby on znalazł się w sklepach. Aczkolwiek są ludzie, którzy to powydawali. Jest coraz lepiej, ale niestety takie płyty wciąż wychodzą.

Kecaj: A z drugiej strony są płyty, które są dobre, a nie wychodzą. Z różnych powodów, np. zespół jest zbyt młody. Wydawca dostaje demówkę i stwierdza, że on na tym nie zarobi, więc nie opłaca mu się wydawać tej grupy. Są tacy wydawcy.

Za Wasze podkłady odpowiada głównie Magiera, dlaczego akurat on?

Kecaj: To zasługa właśnie Blendu, oni nam na samym początku

zaproponowali współpracę z Magierą.

Majkel: Kiedy wchodziliśmy w to, „Magiera” to było dla nas magiczne słowo, był to straszny koleś, który już tworzy zajebyte rzeczy, a my wtedy z robieniem hip-hopu wychodziliśmy tak naprawdę z mojego pokoju. Magiera jest zajebytym producentem, tego mu absolutnie nie można odjąć, jesteśmy ze współpracy zadowoleni, aczkolwiek na pewno nie będziemy jej kontynuować na tej zasadzie, na jakiej jest obecnie. A czy w ogóle, to zobaczymy.

A na jakiej zasadzie jest obecnie?

Majkel: Do tej pory było tak, że przyjeżdżaliśmy do Magiera z naszymi samplami, on to składał, ale głównie według naszych pomysłów, no i dokładał trochę swoich rzeczy. Tak obiektywnie patrząc, to wydaje mi się, że lepsze są te podkłady, w których Magiera włożył więcej swojego trudu. W związku z czym nie ma sensu robić tego na tej zasadzie. To jest zrozumiałe, że kiedy przywieźliśmy sampel, który nie za bardzo mu pasował, nie przykładał się tak do tego, jak do czegoś, co robił sam. Dlatego raczej nie będziemy już pracować w ten sposób. Albo zrobimy coś sami, albo weźmiemy coś gotowego.

Wydaliście płytę mając po 19 lat, nie sądzicie, że to jeszcze zbyt młody wiek?

Majkel: Nie, ponieważ robimy rap od 4-5 lat. Wydaje mi się, że pięcioletnie doświadczenie w pisaniu tekstów i kilkaset zapisanych stron w zeszytach wystarczy, żeby nagrać płytę. A jeśli chodzi o wiek, czuję się na tyle dojrzały, żeby coś ludziom powiedzieć.

Kecaj: Myślę, że jesteśmy już w takim wieku, że możemy coś powiedzieć. Płyta udowodni, że nie jesteśmy na to za młodzi. Nawet gdyby 15-stolatek nagrał kawalek, w którym mówiłby mądrze, nie pomyślałbym, że jest za młody. Skoro mówi mądrze i nagrywa dobre kawalki, na pewno nie jest zbyt młody.

Eldo w jednym z wywiadów powiedział, że 18 lat to zdecydowanie za mało, żeby wydać płytę. On wydał swoją pierwszą mając 20 i uważa, że zrobił to za wcześnie. Dla porównania pokazał Amerykę, gdzie koleś debiutują mając lat 30.

Kecaj: A my żyjemy w Polsce, w Stanach są całkiem inne realia, nie chciałbym się do nich odwoływać.

Majkel: Poza tym w Stanach wydają płyty goście, którzy mają również po 12 lat.

Kecaj: Tam jest inaczej, ludzie inaczej traktują hip-hop, nie można tego porównywać. Eldo tak powiedział, my uważamy inaczej. Według mnie to zależy od człowieka, jeśli ktoś się czuje na siłach i mówi mądrze, nie ma problemu z rozbiciem muzyki.

Majkel: Wydaje mi się, że nie ma takiej granicy, że ktoś skończy 23 lata i nagle może sobie powiedzieć: „No, to teraz mogę już wydać płytę”.

Kecaj: To nie jest prawo jazdy.

Majkel: To jest suma umiejętności, suma doświadczeń życiowych, suma umiejętności w rapie, które się składają na to, że piszesz takie a nie inne teksty. Jeżeli są dobre, można je nagrać i wydać, jeżeli słabe... też można, ale lepiej tego nie robić.

Wracając do Stanów, owszem, są tam ludzie, którzy późno debiutują, ale choćby Shyheim to, moim zdaniem, jeden z ciekawszych artystów lat 90-tych, którzy pokazali się na amerykańskiej scenie, a był nastolatkiem. Robił poważny hip-hop w porządnym sposób.

Kecaj: Jeżeli ktoś skończy nawet 26 lat, może być nadal człowiekiem, który powie na płycie totalne bzdury. Więc nie oznacza to, że 26 lat to odpowiedni wiek, by nagrywać i wydawać.

Majkel: Ja uważam, że nie można wydać płyty w taki sposób, jak GRZ z Peel Motyff. On rapuje od 10. miesięcy i wydaje ze swoim zespołem debiutancką płytę.

Kecaj: Nawet, gdyby miał 28 lat, nie powinien jej jeszcze wydawać.

Majkel: To jest bez sensu, bo słychać, że ten gość się nie nauczył jeszcze tak dobrze rapować, jak mógłby. Pomijając pierwiastek talentu, bo to jest inna sprawa. Chodzi o to, żeby rap był dobry, a to co nagrywasz - konkretnie i przemyślane. Wiek nie ma tutaj nic do rzeczy.

Nie uważacie, że mankamentem polskiej sceny jest wiek ludzi, którzy ją tworzą? Jeśli nagrywa ktoś bez doświadczenia, jego przekaz chyba nie brzmi wiarygodnie...

Kecaj: Ale doświadczenie a wiek, to są dwie różne rzeczy. Np. 15-stolatek zaczął robić rap w wieku 10 lat, więc tworzy 5 lat i wtedy jest już na tyle doświadczony, że powinien robić to w dobry sposób. Chodzi oczywiście o techniczne doświadczenie rapu, nie o doświadczenie życiowe. Bo z doświadczeniem życiowym różnie bywa, zależy jak się rozwiniął umysł danego człowieka i jak to u niego wszystko funkcjonuje. Krótko mówiąc - zależy, jaki jest człowiek.

Majkel: Ja potrafię się odnaleźć na tyle, że mi to nie przeszkadza, natomiast zgadzam się z tym, że problemem jest młody wiek - nie tylko artystów, ale także odbiorców hip-hopu w Polsce. Tak naprawdę jest to wciąż muzyka dla dzieciaków, a dzieciakom łatwiej jest zaimponować złymi rzeczami, niż konkretnymi wartościami. W tej chwili polski hip-hop opiera się na tym, że są młodzi ludzie, którzy trochę się tym bawią, trochę udają uliczników pod klatkami (w 80% przypadków) i odbierają ten hip-hop jako modę. Boję się, że tych, którym to zostanie (będą mieli po 20-kilka lat i w dalszym ciągu będą hip-hopowcami) nie będzie zbyt wielu. Na pewno nie będzie takiej zjawki, jak w tej chwili, że gdzie się nie obejrzy, chłopaki siedzą, słuchają i próbują coś robić. Każdy pójdzie w swoją stronę i będzie miał swoje sprawy.

Kecaj: Ja mam 19 lat i czuję się na siłach wydać płytę, i nie będzie to płyta, która nie będzie niosła żadnych wartości, a wręcz przeciwnie.

Co wymaga zmiany w postawie słuchaczy hip-hopu w Polsce?

Majkel: Po prostu musi upłynąć trochę czasu. W Polsce hip-hop robi się od 96 roku, a więc 6 lat. 6 lat to jest tak naprawdę bardzo mało, bo ta muzyka jest u nas popularna gdzieś od dwóch lat, więc 80% ludzi, którzy słuchają hip-hopu, słucha go najwyżej od dwóch lat. Ja po dwóch latach słuchania hip-hopu, tak naprawdę jeszcze niewiele na ten temat wiedziałem. Ze wszystkim tak jest, zbiera się doświadczenie. Sam słucham rapu od 7 lat i inaczej na to patrzę, w tej chwili jest to część mojego życia i nie wycofam się z tego w żaden sposób. Kiedyś miałem zjawkę na metal i mi po prostu przeszło, bo zacząłem słuchać hip-hopu.

Kecaj: Ci słuchacze, którzy są teraz za młodzi, albo odejdą, albo zaczną to rozumieć. Oczywiście, mogą być te „dzieciaki”, na pewno zawsze będą tacy, którzy nie mają zbyt dobrze wykształtowanych swoich poglądów i pójdą za hip-hopem, za tym nurtem. A będą też tacy, którzy

będą siedzieć w tym na dobre. Mając 20-30 lat będą słuchali rapu, bo będą uważali, że jest dobry. I nie będą słuchali tylko i wyłącznie zagranicy. Teraz najczęściej jest tak, że koleś, który ma około 25 lat, nie słuchając tak polskiego hip-hopu, jak ci, którzy mają 16. A będą tacy, którzy będą siedzieli głęboko w polskim rapie mając trzydzistkę. Brakuje ludzi z wykształconym torem ideowym, którzy będą słuchali rapu i będą pełni, że to jest ta muzyka.

Majkel: A z drugiej strony mam nadzieję, że hip-hop zostanie muzyką naszego pokolenia. Nie mówię o wielkich fascynacjach, ale chciałbym, żeby było tak, że za 20 lat będziemy sobie wspominać stare czasy i do kawałków, które są teraz, powstały parę lat temu i jeszcze za parę lat powstaną, będziemy wracać z sentymentem. I nie tylko my, ale nasze pokolenie.

Kecaj: Może znajdą się też tacy młodzi ludzie, w wieku naszych przyszłych dzieci, którzy jakoś znajdą hip-hop, wrócą do niego, pomyślą: nasi rodzice tego słuchali, to my też posłuchamy, i spodoba im się to. Żeby ta muzyka tak zupełnie nie przeszła.

Majkel: Na pewno muzyka będzie bardzo ewoluowała przez te 15-20 lat.

Sporo wykonawców narzeka w tej chwili na polski hip-hop. Wy również. Rymujecie: „Poziom się nie poprawia, każdy się powtarza”.

Kecaj: Owszem, narzekamy na wady, ale stwierdzamy także, że są zalety. Czepiamy się oczywiście wad, bo chcemy to poprawić.

Majkel: Ja mam taką jazdę, że robię kawałki na różne tematy, ale ten temat hip-hopu, mojego odbioru hip-hopu, bardzo często do mnie wraca. Strasznie dużo napisałem tego typu tekstów. Po prostu staram się obserwować i oceniać, odbieram to sobie w jakiś sposób. Uważam, że jest coraz lepiej, ale z polską sceną wciąż nie jest dobrze. To, że są coraz lepsze teledyski, coraz ładniej wydane płyty, coraz więcej ludzi je kupuje, wcale nie oznacza, że hip-hop jest coraz lepszy. Teraz, dopiero teraz, w 2002 roku wyszło kilka płyt, które zrobiły krok do przodu. A wcześniej? Lata 2000, 2001 to praktycznie był zastój, nic się nie ruszało do przodu. Nie wychodziły żadne postępowe płyty. Z hip-hopem chyba tak po prostu jest, że są okresy... na przykładzie Stanów: 94 rok był doskonałym rokiem dla hip-hopu ogólnie na świecie, bo powychodziły klasyki. A potem, kilka lat później była też posucha. I to chyba funkcjonuje na tej zasadzie. Nie wszyscy potrafią cały czas dokonywać progresu, cały czas się rozwijać. Niektórzy stają na pewnym poziomie, a niektórzy wręcz się cofają. Natomiast nie zgadzam się z tym, co powiedział Noon w wywiadzie dla pewnego magazynu, gdzie stwierdził, że hip-hop jako muzyka zakończyła swój progres i jakby się kończy. Uważam, że dla hip-hopu są jeszcze bardzo otwarte drogi.

Kecaj: Nie można przewidzieć co będzie i co się wydarzy. A myjemy nadzieję, że będzie coraz lepiej. A po to nagrywamy kawałki i mówimy w nich, że jest źle, żeby było lepiej. Nie robimy tego w złej wierze, żeby komuś ubliżyć, tylko po to, żeby było lepiej.

Jakie wady wymagają poprawy?

Majkel: Chodzi o to, żeby nie zatrzymywać się na pewnym poziomie. Trzeba robić, rozwijać się i myśleć, jak to zrobić, żeby było lepsze. Nie stawać na takim etapie, że ja jestem już dobry, ludzie mnie lubią, to ja teraz sobie będę pisał teksty, jakie tam one nie będą, będę nagrywał płyty, które będą wychodzić, i ja będę robił na nich hajs. Wiadomo, że w polskim hip-hopie nie ma wielkich pieniędzy, ale jest to jednak kasa, która pozwala skromnie funkcjonować. Oczywiście w przypadku tych, którzy nagrywają i sprzedają. Jeśli ktoś uważnie obserwuje polską scenę, na pewno wie, o kogo mi teraz chodziło.

„Oligarchia, która dla polskiego hip-hopu nie jest dobra”. O jakiej sytuacji mówicie?

Majkel: Wiesz, w tej chwili to się już troszkę zmienia (wyszło kilka nielegali, pokazały się nowe twarze), ale był taki czas, że bardzo trudno było w jakikolwiek sposób zaistnieć na scenie. To zresztą trwa i do dziś. Po prostu ludzie, którzy osiągnęli pewien pułap na scenie, nie za bardzo chcą dopuścić do mikrofonu młodych, chociażby dlatego, że tamci mogą być lepsi i ich wygryźć z tych miejsc, na których siedzą.

Kecaj: A na koncertach można zauważyć taką sytuację, że odbiorcy stawiają tylko na rzeczy, które już wyszły, i to te najbardziej znane. Dotyczy to nawet tych artystów, którzy są już na pewnym poziomie. Powiedzmy, że taka grupa zagra swój nowy kawałek - on może być najlepszy, naprawdę super, ale nie wzbudzi emocji. Ludzi będą stać, patrzeć... ale jakoś nie pochwalą. Natomiast jak polecą hit, który ma już 4 lata, to chociaż jest już średni, publiczność będzie niesamowicie szaleć. Dlaczego? Bo odbiorcy są nastawieni tylko na te sprawdzone rzeczy. Tak to niestety wygląda.

Majkel: Niestety, żyjemy w kraju, w którym najlepsze wyniki sprzedaży osiągają wykonawcy, którzy grają pustą muzykę, bez treści, w związku z czym hip-hopowi odbiorcy też są tacy. Oczywiście nie wszyscy, ale naprawdę duży %. 75% słuchaczy hip-hopu w Polsce to nie są wybredni odbiorcy, którzy liczą na wysmakowane teksty i konkretne bity, tylko liczą na to, że będzie fajna muzyka do zabawy (nie za skomplikowana przypadkiem!). Poza tym ludzie nie kupują płyt. Jeżeli już je mają, to raczej ściągnięte z Internetu, a kontakt mają przede wszystkim przez teledyski. Zauważ, że na koncertach, kiedy zespoły grają kawalki z teledysków (choć nie zawsze są to ich najlepsze numery) publika szaleje. A kiedy zaprezentują utwory mniej znane, już jest różnie. Oczywiście zależy to też od wykonawcy. My sporo mieliśmy takich koncertów, że graliśmy materiał z naszej płyty (który uważam za dobry, bo przy niektórych kawalkach można naprawdę fest pokiwać głową i nieźle się pobawić), a ludzie stali i nic nie robili. Po prostu nie przyjmowali naszych nagrań, bo ich nie znali. „Bauns, dupy, hajs - tak lansuje się chalturę”. Jesteście przeciwni „baunsującym” klimatom?

Majkel: Wiesz, ja jestem zwolennikiem wszystkiego, co jest na dobrym poziomie. Ale niestety bauns, który wychodzi w Polsce, jest bardzo słaby. Przykładowo - singiel „Hardkorowej Komercji”. Przepraszam, ale ja jakoś ciowo takie teksty pisałem w pierwszej klasie liceum. Uważam, że pomysł jest robienie czegoś takiego. Spójrzmy na amerykańską scenę - da się zrobić dobre baunsowe kawalki. Busta Rhymes robi takie rzeczy, że mózg staje. A nasz bauns mi przypomina taką jazdę, że to będzie teraz zabawa dla polskich bip-bopowców, w takim klimacie jak Master P, który wydaje po ileś płyt w ciągu roku, wszystkie zbliżone do siebie tematycznie, brzmieniowo i poziomem, ale się sprzedają, bo to jest popularne.

Kecaj: Nie jest na pewno tak, że przyczepiliśmy się do baunsu i będziemy wiecznie mówić, że on jest fuj. Jak ktoś nagra dobry bauns, to bardzo spokojnie posłucham i pokiwać głową. Ale jak ktoś robi to słabo, tak jak do tej pory w Polsce, to go skrytykujemy. Niech ci wykonawcy robią to lepiej.

Majkel: A poza tym problemem polskiego hip-hopu jest też to, że pewne grupy ludzi uderzają w trendy. Można w tej chwili wyróżnić dwa: ulica i właśnie bauns.

Kecaj: Ja bym dorzucił trzeci. Ostatnio dużo chłopaków chce robić tzw. trueschool. Wychwalają swoje rymy, ale nie zawsze im to dobrze wychodzi.

Majkel: Też racja, ale wymieniałem te dwa, głównie ze względu na odbiór. To są nurty, które trafiają w gusta. Przykładowo - wychodzą dwie płyty. Jedna jest różnorodna i ciekawa, ale okazuje się, że nie sprzedaje się tak, jakby mogła. A druga jest lepsza jeśli chodzi o poziom, a w stylistyce dużo bardziej uliczna, bo wiadomo, że to się dużo lepiej przyjmie. Z jednej strony to jest dobre, ja się cieszę, że jest progres i ta druga płyta jest lepsza. Ale uważam, że hip-hopu jest muzyką, która musi płynąć z wnętrza. Ja jestem tutaj; mieszkam sobie u mnie na osiedlu, więc też jestem z osiedla, ale nie mówię o ulicy, bo nie mam z nią kontaktu. Dwa czy trzy lata temu jeszcze jakiś tam miałem, ale w tej chwili praktycznie żadnego. Dlatego nie będę o tym mówił, skoro nie mam o tym pojęcia. A jeśli już, będą to obserwacje, a nie autopsja. Do tego chodzi o szukanie, próbowanie bycia oryginalnym. To też nie jest takie proste, bo głupio jest być na siłę oryginalnym i siłować się na jakieś eksperymenty, do których się nie jest przekonanym.

Ale mimo wszystko można zrobić oryginalniejsze rzeczy niż mroczny klimat polskiego blokowskiego.

Kecaj: Albo zrobić go w bardzo oryginalny sposób. Dla mnie przykładem jest płyta K.A.S.T.Y., gdzie Wall-E mimo, że wywodzi się z ulicy i jest człowiekiem, który żyje w takim klimacie, szuka nowych sposobów na hip-hop. Są na płycie 3-4 kawalki, zagadane w bardzo ciekawy sposób (elementy reggae i rasta). To jest doskonały przykład - ktoś szuka czegoś nowego, robi hip-hop w oryginalny sposób.

Majkel: Ale z drugiej strony odchodzenie z hardkorowego rapu w hardkorowe ragga popularne, wystarczy wspominać o tym, że w perymentują z takimi klimatami reggae bardzo do chłopaki się w tej kwestii nie oszczędzają. Ale cieszę się, bo mi się to podoba.

ny odchodzenie z hardkorowego jest w tej chwili na świecie dość spojrzeć na Lorda Kossity, nie Warszawie chłopaki też już eksmatami. To się bierze z jointów, tego pasują. A wiadomo, że stii raczej



Wracając do baunsu, nie uważacie, że należy go tolerować w imię różnorodności polskiego hip-hopu?

Kecaj: Tolerować trzeba na pewno, ale tolerancja, a sympatia do czegoś, to są dwie różne rzeczy. Ja toleruje wszystkie style w muzyce, ale nie wszystkie mi się podobają. W hip-hopie również toleruje wszystkie style, ale niektóre mi się nie podobają, więc apeluję o ich poprawę. Ja rozumiem tolerancję jako przyjmowanie do wiadomości, że coś jest. Ale jeśli to akurat jest złe, to to krytykuje, żeby było lepsze.

Majkel: Ja się będę jarał baunsem, jeśli to będzie dobre. Bo np. dzisiaj rano włączyłem sobie eksperymentalnie Timbalanda, którego jeszcze nie słuchałem, i jaram się, podoba mi się ta muzyka, pomimo tego, że to jest nowoczesne i troszeczkę baunsowe. Natomiast jeżeli słyszę kawalki typu „Kręć dupę”, to nie podoba mi się to i nie będę tego tolerował... albo mogę tolerować, ale nie będę tego słuchał ani tego chwalił. Będę mówił wprost, że robi się to tak a nie inaczej. Druga sprawa: z tekstami jest czasem tak, że jakiś czas temu coś napisałem i zarzynałem, a dzisiaj troszeczkę inaczej do tego podchodzę. Moje poglądy ewoluują. Nie jestem nastawiony anty do tego klimatu, nie o to chodzi, jestem nastawiony anty do nieróbstwa i nie rozwijania się.

Drogie samochody i tańczące panny w teledyskach - nie ma to zbyt wiele wspólnego z prawdą, na pewno w Polsce. Popieracie lansowanie się w taki sposób?

Majkel: Dla mnie jest to zwyczajnie śmieszne. U nas żaden hip-hopowiec nie ma szans, żeby mieć drogie samochody. Może o dziewczyny łatwiej, bo jednak same przychodzą. Ale w polskim hip-hopie nie ma pieniędzy, które by pozwalały robić takie rzeczy. Jest parę polskich teledysków, które dotyczą tego klimatu, jedne lepsze, inne gorsze. Dla przykładu - klip F.F.O.D. jest zajebisty, mimo, że są drogie samochody, dziewczyny i biba w hotelu. Jest zajebiste zrobiony, z pomysłem. Kto obejrzy do samego końca, wie o co chodzi. Natomiast mamy również klip Onara, który jest obleśny. Dziewczyny są w miarę, ale Onar jest dramatyczny. A na Porsche na pewno nigdy go nie będzie stać, bo robi za słaby rap.

Kecaj: Mnie trochę nie pasuje, że ludzie robią to na siłę, bo tak zrobili w Stanach. I mają kolejne tłumaczenie - co z tego, że w Polsce tak nie ma,



skoro tak robią w Stanach. Argument, że skoro w Stanach tak jest, to w Polsce też powinno być...

Majkel: Mnie irytuje dosyć mocno taka grupa ludzi, która uważa się za bardzo elitarną grupę hip-hopowców, i bardzo dąży w kierunku rapu z Ameryki. Teraz jest tam boom na podziemiu, więc oni też robią podziemny rap, taki i taki. To jest kopiowanie, oni to robią, bo tak się robi w Stanach. Nie chce podawać przykładów, ale tak jest. Tłumaczenie, że tak jest w Stanach, więc tak jest hip-hopowo...

Kecaj: I tak jest dobrze. A moim zdaniem trzeba robić hip-hop po swojemu. Może to być podobne do tego, co robią w USA, jakaś inspiracja na pewno będzie, bo stamtąd to się wywodzi i stamtąd do nas przyszło. Ale tłumaczyć się tym, albo zżynać całkowicie ich stylistykę, jest bez sensu. Trzeba to zrobić po swojemu.

Majkel: I pójdź w swoją stronę. Wystarczy spojrzeć na europejskie sceny hip-hopowe, przede wszystkim: francuską i brytyjską. One poszły w swoją stronę. Korzenie oczywiście mają w rapie amerykańskim, bo innego nie było, ale idą swoją drogą. Mimo, że we Francji w tej chwili rap już też mocno się skomercjalizował.

Kecaj: Ale jest to inny komercyjny rap, niż w Stanach.

Tede powiedział, że w teledysku nie pokazałby samochodu, który nie należy do niego, by nie wmawiać innym, że ma coś, czego nie ma.

Kecaj: Zależy, o czym jest kawałek. Jeżeli jest to czysta fikcja, i chcesz w ten sposób coś przekazać, przemycić jakąś treść, to jak najbardziej. Np. w tekście jest, że jedziesz Lincolnem, to trudno, żeby pokazać w teledysku Malucha albo Trabanta. To jest bez sensu.

Majkel: Dokładnie, aczkolwiek zgadzam się z tym zdaniem. Tede nie robi na mnie najlepszego wrażenia, ale akurat tu się z nim zgodzę. Nie ma sensu pokazywać czegoś, czego nie ma, dlatego że nie wszyscy to rozumieją. Bardzo wielu słuchaczy obiera hip-hop bardzo dosłownie. To jest na pewno minus. Wszyscy nagle stwierdzili, że Tede musi mieć bardzo dużo pieniędzy, skoro nawija o hajsie. A tak naprawdę pewnie zarabia jakieś grosze na koncertach, ale nie są to rzeczy, które pozwolą mu odłożyć na emeryturę. Są to pieniądze, które starczą na bieżące potrzeby (zależy jeszcze, jakie się ma potrzeby). Ja jak zarobię jakąś kasę na rapie, będę ją pakował w sprzęt. Chcę sobie trochę przebudować pokój. Na pewno nie będzie to wielkie studio, ale coś na tym poziomie, jak jest u Zająca (*Bezkres - przyp.red.*). Niech będą dwa miejsca w Gliwicach, dlaczego ma być jedno? Wszyscy na tym skorzystają.

Stawiacie w tekstach bardziej na formę czy na treść?

Majkel: U nas jest złoty środek. Mamy oczywiście kawałki, w których posłużyliśmy się głównie formą. Jeśli robimy numer, w którym prezentujemy siebie, a refren brzmi np.: „Oto my, Koligacja”, to stawiamy na formę. Ja się jaram rapem na wysokim, technicznym poziomie. Ale kiedy kawałek jest bardziej poważny, staramy się utrzymać formę tak, by się fajnie tekst rapowało, ale przede wszystkim zależy nam wtedy na tym, żeby powiedzieć konkretne rzeczy.

Kecaj: Musi to być technicznie dobre, a jednocześnie przekazywać treść. Niektóre utwory są albo bardziej w tą stronę, albo w tą, to zależy od kawałka.

Majkel: Ja uważam, że równowaga to bardzo fajna sprawa. Mam nadzieję, że dzięki temu nasza płyta będzie odbierana przez słuchaczy w taki sposób, że jednym bardziej spodoba się te poważniejsze numery, innym te luźniejsze, i generalnie ludzie docenią to, że odnajdujemy się w różnych klimatach. Tak naprawdę nie jesteśmy gośćmi, którzy wymyślają sobie wiadomo co, a z drugiej strony nie jesteśmy gośćmi, w których życiu nic się nie dzieje. Też chodzimy na imprezy, mamy dziewczyny, mamy też szkołę i różne problemy, a w związku z tym - spostrzeżenia na temat otaczającej rzeczywistości, która niestety nie jest kolorowa. Dlatego te kawałki są bardzo różne.

Kecaj: A jeśli forma przeważa gdzieś treść, to mimo wszystko treść i tak jest, i to na tyle wyraźna, że nie ma całkowitej dominacji formy.

Majkel: Poza tym forma sama w sobie może przemycić bardzo dużo króciutkich skojarzeń, które zawsze niosą ze sobą treść. Jeżeli ja robię kawałek trueschoolowy, w którym są przechwałki, to samymi porównaniami mogę powiedzieć sporo na temat moich poglądów. Myślę, że to słysząc i jest to odbierane w taki sposób, w jaki ja chcę to powiedzieć.

Przed nami Wasza płyta, jakieś nadzieje?

Kecaj: Fajnie by było, gdyby ludzie usłyszeli, co mamy do powiedzenia. A jest taka szansa, bo płyta wyszła w wytwórni i poszła na całą Polskę. Mam nadzieję, że ludzie będą chcieli jej posłuchać i usłyszą to, co chcemy powiedzieć.

Majkel: Chociaż to nie jest płyta przełomowa. Połowa kawałków jest stara, ma około roku. Druga połowa jest świeższa, bo pochodzi z wiosny/lata 2002. Szkoda, że ta płyta nie wyszła w zeszłym roku, bo wtedy miałyby większe szanse się przebić. Ja i tak myślami jestem już przy następnych produkcjach...

Kecaj: Ale najważniejsze jest to, że jest to nasza pierwsza płyta, która poszła do szerszego grona, pokuje nasze poglądy, przedstawia nas.

Majkel: Na pewno jest godna zauważenia. Trudno samemu siebie oceniać, ale jestem zadowolony, że to zrobiliśmy. Mam nadzieję, że płyta otworzy nam drzwi, żeby zrobić następną. A jak nie, to mamy u Zająca kanciapę, mamy dwie nagrywarki, możemy nagrywać nielegali ile chcemy.

Pozdrowienia?

Majkel: Chciałbym pozdrawić moich wszystkich ludzi z bandy, lirycznej mafii, ale przede wszystkim pozdrawiam Moje Slonko, które niedawno do mnie dzwoniło. Przesyłam Jej duże serduszko.

Kecaj: Pozdrawiam tych, którzy są z nami, dziewczyny, chłopaków, znajomych, kumpli, przyjaciół, wszystkich, którzy nas znają i czytają ten wywiad.

Majkel: Pozdrawiam jeszcze tych, którzy w nas nie wierzyli.

Kecaj: I którzy w nas zwątpili. Niech się przekonają, że coś jednak z tego będzie. Myśleli, że nie damy rady, a jednak się udało.

Majkel: Warto było to zrobić, bo pamiętam, że jak w podstawówce przynosiłem pierwsze kawałki, to wszyscy mówili, że niby spoko, ale wiem, że po cichu się z tego śmiali. Śmiali się, a teraz nie będą się już śmiać.

Rozmawiał: Keb (Czyste Słowa)

Foto: Maja



Jak wiecie, mimo iż hip-hop to nie sport i zwycięzców jest wielu, to nie każdemu udaje się zdobyć rozgłos na skalę ogólnokrajową, problemem jest równa płyta, w związku z czym tysiące produkcji popadają w zapomnienie, najczęściej zupełnie słusznie. Czasem jednak na płytach dalekich od doskonałości znajdzie się parę numerów magnetyzujących, wartych zapoznania, z jakiegoś powodu ciekawych.

Wiem, że w założeniu hip-hop miał bawić, dawać radość - jednak o ile za kulturę nigdy go nie będę uważał, to muzyką jest diabelnie uniwersalną, idealną do generowania nastrojów: można wyleczyć się z doła, jednak czasem ma człowiek ochotę sięgnąć dna by się odbić, popaść w czern najgłębszą, melancholię z prawdziwego zdarzenia, a nie kryzysy dojrzwania, przejrzwania, niedorzeczne fochy o rodowodzie atmosferycznym, itd. Pesymizm i fatalizm to niezbędny element psychiki, świata, muzyka penetrująca te rejony ma ciężkie zadanie, musi trzymać poziom jak rzadko która - powiedzmy inaczej, zwłaszcza ona, kawałki imprezowe z natury rzeczy są bowiem idiotyczne. To cboardzenie po chwiejącej się linii - nigdzie tak łatwo o banał, wtórność, populizm, dojść do standardowej w takim rapie puenty „Jest źle, będzie gorzej, kurwa, kurwa, kurwa, hej, bej, bej”. „Dobre!”, „Cburowe.”, „Podoba mi się”, „Nie podoba mi się”...

Siedzieliśmy kiedyś u Dobrego Piotra, chyba nawet trzeźwi, debatując nad epką elbląskich Szarych Twarzy. Oczywiście ja byłem zwoleńnikiem, zaś stary 2pacofil (hahaha, to słowo brzmi jak stosowana do odbytniczki maść na żylaki) P. antagonistą.

Najlepszym dla mnie utworem z epki jest „Żyje się tylko raz (eutanazja)” - z natury rzeczy młodzi ludzie mówiący o śmierci to rzecz przejmująca. Obojętni jesteśmy przecież na reportaże o samotnych matkach z czworgiem dzieci, modlących się o koniec życia, nie jest to ktoś, z kim byśmy się utożsamiali, zawsze przecież gdzieś obok leży pilot. Z tą piosenką jest inaczej - przede wszystkim refren zapada w pamięć i sam w sobie jest zdaniem mogącym zainspirować porządną filozoficzną debatę. „Żyje się tylko raz... lecz do znudzenia” - to zarazem paradoks, gdyż ten największy z darów dany nam przez los, potrafi sukcesywnie wyścieńczyć, jak i gra frazeologią przypominająca „Myśli nieuczesane” Stanisława Jerzego Leca - nudzenie się czymś, co zdarza się tylko raz, jest niesamowite. Życie jest procesem trudnym do ogarnięcia, długim a zarazem krótkim - tyle jest dróg, wątków, osób, miejsc, cały wszechświat przyczyn i skutków... Można znudzić się wakacjami, filmem, dniem, no nawet tygodniem... Znudzenie się życiem jest ponad mnie, ponad moją wyobraźnię, logikę - to w nim powstają scenariusze, których najbardziej chore głowy nie byłyby w stanie z siebie wyrzucić. A jednak...

Jest takie zjawisko jak synestezja - cecba charakterystyczna dla jednego ze zmysłów, przechodzi na drugi, wiecie, można posmakować kolory, czy zobaczyć zapach. „Eutanazja” jest jednym z utworów, który ma temperaturę. Lodowatą. Słuchając, maluje mi się obraz w rodzaju kadru z „Symfonii solo” Fu. Czern, biel, para z ust, zatarty kontur w tle. Dobry sampel (klawisz, niepokojąco odległy), wchodzący nieśmiało po fragmencie z pełnego energii „Się żyje” Molesty, zjawisko potęguje.

Kolejna zaleta - utwór narasta, narasta w miarę jego trwania ekspresja MC's, wokale falują. Soba i Fako (oni to bowiem wchodzą w skład ST) próbują uchwycić temat krążąc wokół niego - i to krącenie bardzo mi się podoba, to, że nie ma tu prostych recept na niewyjaśnialne problemy z którymi rap nasz słynie (na zasadzie: Polityka? Jebać to. Prawo? Jebać to! Narkomania? Jarać to! Komercja? Jebać to!). Autorzy jakby sami nie wiedzieli co o tej śmierci myśleć, myślą więc głośno. Nie boją się faktu, iż za szarymi twarzami stoją szare komórki. Śmiało się ze mnie ostatnio Król Maciuś Pierwszy, gliwicki MC i producent, że względem wrzeszczących małolatów używam słów takich jak metafizyka, słów niosących za sobą więcej, miliard razy więcej, niż jest w rapach. Miał dużo racji, jednak znowu zaryzykuje: miesza się tu metafizyka, „byty” i „imperatywy”, z liryzmem („Kolejny dzień przy świecach nadziei będzie się dłużyl”, „Parzy w stopy wciąż obca dla mnie ziemia”, „Schemat życia ich przytłacza, już nie słychać dźwięków lutni”), wszystko to przyprawione rzecz jasna dawką naiwności, niepewności - przez co szczere.

Wątpię i nie wiedzieć, zamiast udawać, że wie się wszystko, bo to jebrany system ciągnie za pierdolone sznurki - czyli to o czym cbwilę wcześniej mówiłem. Nie ukrywam, że są i wady - perkusja mogłaby być cięższa i brudna, bihat wpleciony jest nienajlepiej. Ekspresja ekspresją, ale raperzy czasem nie trzymają po prostu tempa. Jest jedno takie przeciągnięcie końcówki i akcent położony na ostatnią sylabę, które uderzają w uszy i psują strasznie wrażenie. W końcu rymowanie na „-anie”, którego spokojnie dałoby się uniknąć. Nie zmienia to postaci rzeczy, że „Żyje się tylko raz” jest jednym z moich faworytów, przy którym wyłączam analityczne postrzeganie rapu. Fako i Soba doskonale się uzupełniają, pasując do siebie idealnie, jak bracia (choć z tym to już różnie bywa). To warte odnotowania - teraz jeżeli słucham rapu któregoś z panów, to już raczej Soby, mimo słyszalnego we flow lenistwa i braku właściwej pracy nad talentem.

Drugi z kawałków wybranych jest inny... ale zarazem podobny. Wykonujemy skok z północy (do której obiecuje jeszcze wrócić) na południe. Nie dotyczy sensu życia, a raczej asertywności w myśleniu, mimo to jest smutny, motywem przewodnim beatu znów jest klawisz, fortepian cbyba, brzmiący minorowo (pojawia się króciutki dźwięk, kiedy dla odmiany brzmi bardzo wysoko), przełamany orientalnie pobrzmiwającą próbą, wszystko to do surowej perkusji. Numer „Sam wiesz co masz myśleć”, bo o nim mówimy, pochodzi z płyty Emala. Sam gospodarz nie prezentuje jednak nic: czasowniki, ogólniki, niezreżymowane sformułowania, albumu „Otwarte myśli” słucha się raczej dla gości, w ogóle radziłbym raczej go ominąć, gdyby nie ta piosenka: przejmująca, będąca w stanie uchwycić gliwicką Koligację w ciekawym momencie: Kecz brzmi jeszcze bardzo jak na „Urwanych Chwilach”, Majkel zaś bliżej nowszej „Autonomii”.

Pierwszy z nich - uniwersalny, zaczyna wersem „w świecie nowych idei każda niesie podpowiedzi” i idzie w stronę niebanalnych wniosków i metafor, by potknąć się czasem na koszmarkach w rodzaju „główka/lufka”, rodem z wierszowanych bajek dla dzieci. MC ma przyszyty flow, gdybym nie widział na własne oczy, ryzykowałbym tezę, że to człowiek, który uśmiecha się nadzwyczaj rzadko, bardzo więc do tej tonacji pasuje, z dużym zasobem słów przychodzącym mu naturalnie, w sposób inny od pretensjonalności niektórych artystów, przytłaczając światopogląd liryzmem („Bez własnego zdania depcze szkła, nogi bose/ ocierasz z oczu rosę nieorientowany w porę”).

Drugi - mało uniwersalny, skoncentrowany na piętnowaniu patologii rodzimej sceny rap, gorzki w osądach, jednak gorycz nie przyćmiewa racjonalnych argumentów. Wydawałoby się więc, że kombinacja jest bezsensowna, że każdy sobie... Nie, to udany kolaż, zamiast przejmować pałeczkę można przecież pójść w drugą stronę, nie omijając jednocześnie tematu. „Mam szczere chęci by powiedzieć wiele/ ale dzieci i tak wolą uliczne tere-fere” - cóż, daleko temu od finezji „zwieszającego ze smutkiem leb” Afro Jaxa, zakładającego, iż odbiorcy są „za głupi na jego mesaż”, bo w głowie im „gorzała i dupy” - bliżej za to do puncblinu. Cała zwrotka jest taka, chirurgicznie precyzyjne ciecica: „Czy nie widzisz, że ponizasz się na oczach artystów?/ goniąc za modnym brzmieniem w poszukiwaniu zysku/ Ruff Ryders w wykonaniu gwiazd z RRR'u”.

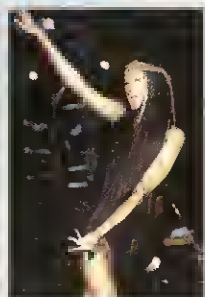
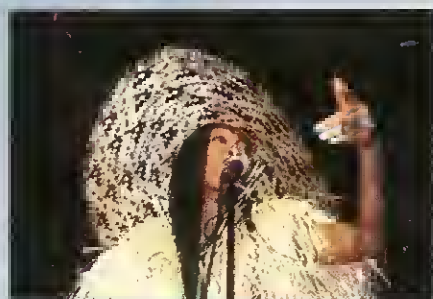
Kecz daje zaplecze z wrażliwością, poetyckim sznytem, ideologią, Majkel wypełnia je ironią, techniką i flow... które albo zniesiesz, a nawet polubisz, albo znienawidzisz, gdyż nie da się ukryć, że jest nieco bełkotliwe i wyklepane, złośliwcy mówią o n'tym Krecie. Gdzieś między tym wszystkim płacze się zabrzański Emal...

Niedługo zbliży się wiosna, póki co topią się brudne resztki śniegu, dzień jest krótki. Przynajmniej dla mnie, to dwa magnetyczne numery na ten okres.

Flintstone (CS)

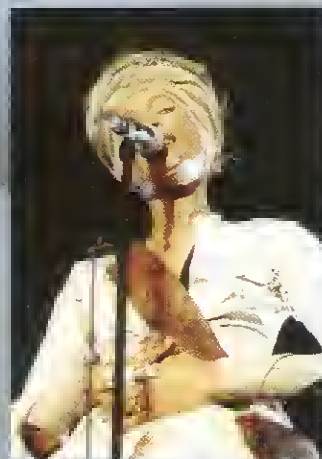
Szare Twarze „Żyje się tylko raz (Eutanazja)” z „EP”, Beat: Owsik + Soba, Rymy: Soba i Fako, kontakt: soba@o2.pl, www.skwer.prv.pl download: <http://mp3.wp.pl/p/strefa/sciagnij/2777.mp3>

Emal gość. Koligacja Gie Ka „Sam wiesz co masz myśleć” z „Otwartych myśli”, Beat: Emal, Rymy: Kecz, Majkel, Emal, kontakt: gliwice@hip-hop.pl, download: <http://gliwice.hip-hop.pl/mp3/Koligacja%20G.K.%20+%20Emal%20-%20Sam%20wiesz%20co%20masz%20myslec.mp3>



ERYKAH BADU

Mozna ją rozpoznać po wyrafinowanym nakryciu głowy i oszałamiająco charyzmatycznym wokalu. Nie da się jednak scharakteryzować jednym zdaniem takiej gwiazdy jak Erica Wright - piosenkarki, aktorki, żony i matki, a przede wszystkim fascynującej kobiety. Posługuje się pseudonimem Erykah Badu. Tłumaczy to w ten sposób, że 'kah' to urzeczywistnienie jej wewnętrznego ego, a 'ba-du' jest melodyjne i charakterystyczne dla wielkich sław jazzu.



Urodziła się w Dallas w Teksasie 26 lutego 1972 (Ryby) w rodzinie z tradycjami aktorsko-muzycznymi. W wieku 4 lat Erykah po raz pierwszy wystąpiła na scenie, wraz ze swą matką - Kollen Wright, aktorką. 3 lata później mała gwiazda napisała swój pierwszy utwór, a babcią kupiła jej pianino, by mogła ćwiczyć.

Jej inspiracją była muzyka lat '60 i '70, R&B, a także kultura hip-hop. Kształciła się w szkole muzycznej, udzielała się regularnie w lokalnym radiu, rapując w programie „Apples”.

Na uniwersytecie stanowym w Luizjanie objęła katedrę teatru, by powrócić potem do Dallas i zająć się swoją karierą muzyczną. Utrzymywała się z tańca, nauki gry aktorskiej, była nawet kelnerką w kawiarni. Kolejnym etapem była współpraca z kuzynem Robertem „Free” Bradford'em; stworzyła z nim duet hip-hopowy „Erykah Free”. Ich dokonania zostały zauważone, demem z 19 utworami zainteresowała się wytwórnia, a D'Angelo wysłedził Badu i zaproponował współpracę z Kedar Massenburg. W tym czasie związała się z członkiem OutKast - Dre (Andre Benjamin). W dniu, gdy album „Baduizm-live” (Kedar/Universal, 1997) pojawił się na sklepowych półkach, Erykah wydała na świat synka, którego nazwała Seven Sirius.

Swoją debiut zaliczyła pół roku wcześniej, nazwa płyty to po prostu „Baduizm” (Kedar/Universal, 1997) i brzmiał niezym nowa religia. Brzmienia ciepłego jazzu, hip-hopu i przyjemnego soulu podbiły dusze milionów. Sama artystka powiedziała o płycie: „Kiedy pisałam słowa i muzykę, kontynuowałam tworzenie samej siebie jako człowieka, kobiety, a przede wszystkim jako Afro-Amerykanki”. Swoją wizję utwierdziła w klipie „On and On”, do którego scenariusz napisała sama, opierając się na filmie „The Colour Purple”. Kolejne teledyski, wraz z przebojem zagrany na żywo „Tyrone”, tylko potwierdzały to, co już było wiadome - Erykah czaruje swym głosem starych i młodych.

Później zrezygnowała z regularnego koncertowania na rzecz wychowania swojego synka. Pojawiała się natomiast gościnnie u innych wykonawców. Wystąpiła między innymi w

duecie z D'Angelo w utworze „Your Precious Love”, który znalazł się na soundtracku do filmu „High School High”. Badu zaśpiewała również z Evą Bayou („A child with the blues”), Havem Plenty („Ye Yo”), Chaka Khan („Hollywood”), nadając utworom to niecodzienne, wysublimowane brzmienie. Uczestniczyła w nagraniach Busta Rhymes'a („The light”) i jej starych przyjaciół - The Roots - w kawałku „You got me”, który został niekwestionowanym przebojem okresu wiosna/lato '99.



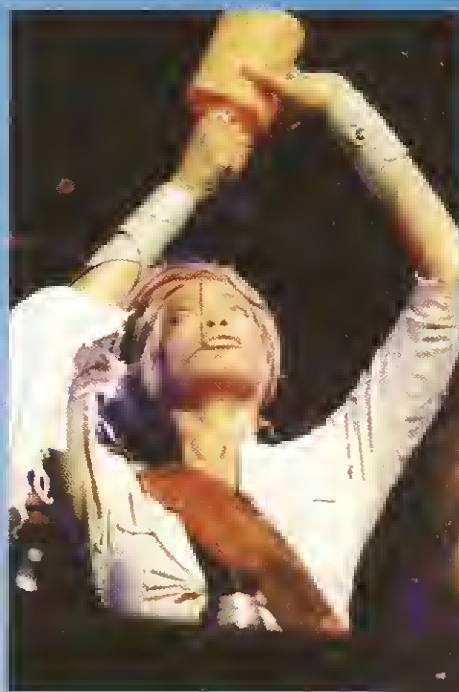
Po 3 latach „nieobecności”, Erykah jesienią wydała kolejną płytę, zatytułowaną „Mama's Gun” (Kedar/Universal, 2000). Pierwszy singiel „Bag Lady” osiągnął 1. miejsca list przebojów. Artystka znów potwierdziła nieprzeciętny talent i wysoką formę. Nowe utwory to kwintesencja tego, co Badu potrafi najlepiej - śpiewać duszą. Mimo na siłę włączanej elektroniki i innych mniej lub bardziej trafionych innowacji muzycznych, czy skondensowanej, popowej breji, którą podają nam media, Erykah potrafiła się odnaleźć, tworzyć w swoim oryginalnym, wyrafinowanym stylu. Piosenkarka opisała swoją płytę słowami: „To jest mój prezent, moje dziecko, moja sztuka”. W wywiadzie dla The Dallas Morning News określiła siebie i swoją muzykę: „To nie nostalgia, to naprawdę jest dla mnie”.

Badu może się pochwalić sporą kolekcją nagród. W 1997 r. otrzymała dwie prestiżowe nagrody Grammy w kategoriach: najlepszy album R&B oraz piękniejszy głos kobiecy R&B, po cztery nagrody Soul Train Awards i Soul Train Lady of Soul Awards, dwie nagrody NAACP Image Awards, a także American Music Awards. W 2000 r. znów flesze błyskały dla Erykah na rozdaniu nagród Grammy, tym razem wespół z The Roots w kategorii Best Rap Performance by Duo or Group.

Muzyka z jej udziałem to prawdziwa uczta dla zmysłów. Jej koncerty są niezwykle widowiskowe, przypominają wręcz sztuki teatralne. Gwiazda na scenie czuje się swobodnie, tańcząc nawiązuje bliski kontakt z publicznością. W występy wkłada całe serce, oddaje siebie ludziom. Nie bez powodu okrzyknięto ją królową muzyki soul. Twórczość divy porywa miliony wiernych fanów. Wirtuozeria została również doceniona przez krytyków, którzy wyrażają się w samych superlatywach.

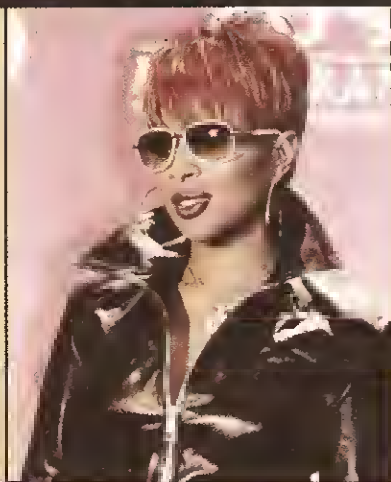
Erykah Badu ma niesamowity głos, który hipnotyzuje słuchacza. Opowiada w swoich utworach o sobie, otaczającym ją świecie, marzeniach tych małych i dużych. Jest bliska każdemu, kto jej choć raz posłucha.

Roberta Flack wypowiedziała kiedyś sentencję o artystce: „Uwielbiam to, że ma tak niespotykany głos... to wspaniała droga do wyrażenia samej siebie, bez powielania czegoś, co już kiedyś powstało”. Erykah to magnetyczna osobowość ze zniewalającym, a zarazem subtelnym głosem. Warto wsłuchać się w jej duszę...



Opracowała: Effes
Foto: Ewelina Wisniewska

„Pozwól mi wsadzić mój kluczyk do twojej stacyjki” śpiewa R. Kelly w swoim ostatnim przeboju - Ignition. Niech mu ktoś powie, żeby przestał. To naprawdę nie pomaga jego sprawie, szczególnie że w jego domu na Florydzie znaleziono nowe zdjęcia, na których Kelly wsadza swój „kluczyk” w różne 14-letnie „stacyjki”. Najprawdopodobniej ława przysięgłych nie będzie zbyt wyrozumiała, zamkną go i nie zobaczy żadnej „stacyjki” przez jakiś czas. To będzie na pewno miało jakieś dobre skutki, R. Kelly odpocznie od nas, my od niego i wszystkim wyjdzie to na zdrowie. Cały czas przecież można słuchać jego muzyki. Chociaż nie polecałabym piosenek w stylu „Come To Daddy” (z Best Of Both Worlds), może wywoływać niezdrowe skojarzenia.



Podczas gdy R. Kelly toruje sobie drogę do piekła, Mary J. Blige kieruje się w stronę nieba raczej i oświadczyła, że jej najnowszy album będzie albumem gospel, bo właśnie na to przyszedł teraz czas. Ogólnie nie jestem zachwycona pomysłem. Nie to, żebym nie lubiła gospel, ale to mi wygląda na jakąś fanaberię. Mary stwierdziła również, że właściwie jej ostatni album („No More Drama”) był albumem gospel (jak słowo daję, w ogóle nie zauważyłam), jeśli oczywiście pominąć utwór „PMS”. Tak, pisanie o syndromie napięcia przedmiesiączkowego raczej nie leży w konwencji muzyki gospel. Tak na marginesie, w konwencji jakiej muzyki leży pisanie piosenek o syndromie napięcia przedmiesiączkowego? Mimo wszystko, życzę szczęścia Mary na drodze jej duchowego odrodzenia, ale mam nadzieję, że jej następny album będzie po prostu fajny. Pamiętam jeszcze co się stało, gdy Lauryn Hill się duchowo odnalazła i wydała płytę „Unplugged”, której nie zrozumiał nikt poza nią samą.

Jedyna w swoim rodzaju Lil' Kim za to, nie odnalazła się, tylko zgubiła kompletnie. 4 marca ma miejsce premiera jej najnowszej płyty „La Bella Mafia”. Miałam wątpliwą przyjemność obejrzeć okładkę tejże płyty. Lil' Kim nadal się nie ubrała, za to zrezygnowała z blond peruki oraz różowego tła - co można uznać za pewne pocieszenie. Na okładce Lil' Kim wystąpiła w rozpiętych spodniach oraz szelkach. Odkąd kupiła sobie nowe piersi, po prostu nie jest w stanie ich zakryć. W sumie jest to zrozumiałe, gdybym wydała na coś tyle pieniędzy, też chciałabym żeby cały świat to obejrzał. Pytanie tylko, czy świat naprawdę chce to oglądać za każdym razem. Osobiście tęsknię za czasami „Hard Core”, kiedy to Lil' Kim była... jakby to powiedzieć... normalna, a czasem nawet całkiem interesująca.



Na sam koniec smutna informacja. W wypadku zginął Kevin A. „Dino” Conner, główny wokalista grupy H-Town, która była znana (w pewnych kręgach oczywiście, bo w innych nie była znana w ogóle) z kawałków takich jak „Knockin' Da Boots”, „Natural Woman”, „Part Time Lover”. H-Town reprezentowało Houston zanim pojawiły się na dobre Destiny's Child, i serwowało porcję porządnego soul i r'n'b w stylu Jodeci. Ponoć grupa pracowała właśnie nad nowym materiałem. Mam nadzieję, że uda im się to wydać mimo braku głównego wokalisty. Jest tak mało dobrych męskich soulowych głosów ostatnio, że będę chyba musiała zacząć lubić Justin'a Timberlake'a, pod warunkiem, że przestanie piszczeć jak Mariah Carey.

Playette

KRZYŻÓWKA

1.						
2.						
3.						
4.						
5.						
6.						
7.						
8.						
9.						
10.						
11.						
12.						

1. Utwory pod tym tytułem nagrali zarówno Fisz jak i Tede.
2. Jordan, ale nie Michael.
3. Nowozelandzki DJ.
4. Jones, bohater filmu animowanego, któremu głosu udzielił Chris Rock.
5. Jedno z wcieleń autora „If I Ruled The World”.
6. Najbarwniejsza, obok George’a Clintona, postać muzyki funk, Bootsy...
7. Tytuł drugiej solowej płyty warszawskiego rapera, członka Zipery.
8. Anderson, grał we wszystkich filmach Andrzeja Bartkowiaka.
9. Partner Doctora Dre z programu „Yo! MTV Raps” i filmu „Who’s the man”.
10. „...”, „Mo Problems” Notoriousa B.I.G.
11. Dikembe, koszykarz NBA.
12. Eddie, aktor znany m.in. z filmów „John Q” i „Undercover Brother”.

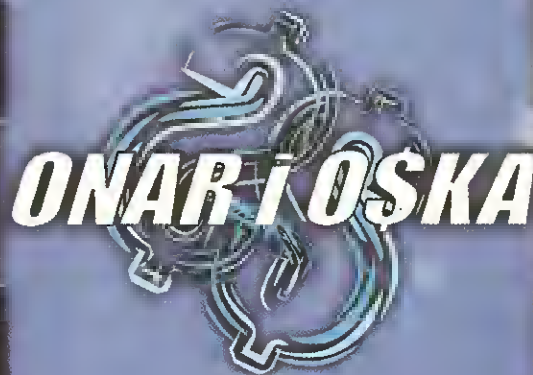
Hasłem jest imię i nazwisko wybitnego muzyka.

Rozwiązanie krzyżówki przysyłajcie na kartkach pocztowych bądź e-mailem na adres redakcji.

W myśl zasady „kto pierwszy ten lepszy”, pierwsza osoba, która przyśle prawidłowe hasło, otrzyma od nas płytę Tedego „Hajs Hajs Hajs”. Na kolejne trzy osoby czekają single Onara i Ośki „Klubing”.



Nagrody ufundował Warner Music Poland.



wszystko co mogę mieć



GOSCIŃNI: PEZET, BORIXON,
FENOMEN, SELMA, ZGZTERY7,
ŻADŁO, LEREK

CD, MC, VINYL
W DOBRYCH SKLEPACH
MUZYCZNYCH!

03.03.2003



WARNER MUSIC POLAND



IGS

NAJDROŻSZE HOBBY ŚWIATA

Rozchwytywany przez wielu raperów utalentowany muzyk, autor znakomicie przyjętych albumów producenckich, niezależny wydawca. Rozmawiam z Igorem (IGSem) o blaskach i cieniach hiphopowej branży, o straconych nadziejach i nadziejach na przyszłość.

Blek: Jak Ci się podoba idea BLEK'a?

IGS: Pierwszy numer BLEK'a podobał mi się szczególnie dlatego, że było w nim sporo treści. Lubię sobie poczytać a BLEK to gazeta, którą można cieszyć się długo. Dużo wywiadów, felietonów, recenzji, fajny papier i aż 78 stron. Dodałkowe słowa uznania dla całej redakcji i wydawcy, że w tak trudnych czasach mają odwagę startować z nowym tytułem. To ryzykowne przedsięwzięcie. Życzę Wam powodzenia i czekam na drugi numer. Niestety, nie odbyło się bez lekkich wpadek. Kilka literówek, nieczytelny wywiad z Mesem i źle poskładany wywiad z Hastem. Ale to drobnostka, wiem, że będzie lepiej. Wiem też, że nowego BLEK'a zawsze chciałbym mieć pod ręką.

Dzięki. W poprzednim BLEK'u rozmawialiśmy z HST, którego płytę wydałeś. Jak się sprzedawała?

Słabo. Wtopiłem ostro na tym.

Czy mimo to wydasz jego drugi album?

Bardzo chciałbym. Podobała mi się współpraca z Hastem i Jajonaszem. Mają jasne wizje i duże pojęcie o tym, co robią. Jeśli jakiś bit czy tekst tak brzmi, to jest to zawsze przemyślane i nieprzypadkowe. Znaczący, że tak miało być.

Wtajemniczeni mówią, że IGS sprzedaje bity każdemu.

Rzeczywiście nie masz żadnych skrupułów i nie obchodzi Cię to, kto rapuje do Twojej muzyki?

Ciekawostka Dropsa... Do tej pory, do moich „muzyk” (oczywiście nie licząc producenckich albumów) rapowali: dAb, TEDE, BRX, CNE&WSZ i PiH. Osobiście jestem dumny z tego, że to właśnie oni wzięli ode mnie podkłady. Niejeden polski producent dałby wiele, by móc im produkować bity. Ja mam właśnie tę przyjemność, a „wtajemniczeni” powinni zastanowić się nad kolejnym stopniem wtajemniczenia. Chyba, że owo wtajemniczenie polega jedynie na obrobieniu komuś dupy za plecami.

Ile sobie liczysz za bit?

To wszystko zależy od okoliczności. Najczęściej odbywa się to na zasadzie barteru: daję komuś muzykę w zamian za nagrania na moją płytę. Za gotówkę sprzedaję bity bardzo rzadko. Dokładnie zrobiłem to trzy razy: dla dAb, TEDE i CNE&WSZ. Nikomu więcej nigdy nie sprzedawałem muzyki. Nawet bity na najnowszą płytę MCF były rozliczane na zasadzie barteru. Hastowi musiałem sam płacić za to, że nagrywał do moich podkładów. Mam jednak zasadę, że nie rozdaję bitów za darmo. Cena? Od 99 do 999 zł. Można się targować.

To dużo, czy mało?

Dzielać liczbę lat robienia podkładów przez liczbę sprzedanych bitów, wychodzi jakiś jeden bit na rok. Sam sobie policz.

Możesz więc zdradzić, ile do tej pory zarobiłeś na hiphopie?

Za pierwszą płytę („Ekspedycje”) dostałem od Kozaka (szef wytwórni Y - przyp. red.) 12.000. Trwało to ponad pół roku a ostatnie 4.000 „wziębałem” w „towarze”, czyli w płytach i kasetach z RRX, które sprzedawałem we własnym zakresie. To było 4 lata temu. Z drugą płytą („Alchemia”) nie było już tak dobrze. Dostałem od Kozaka zaliczkę, która pozwoliła mi opłacić artystów występujących na płycie. Do dzisiaj również do dziś niespełnioną obietnicę. Sam za „Alchemię” nie zarobiłem zupełnie nic. Ostatnio, jako wydawca płyty HST, dołożyłem do tego interesu sporo. Przyjaciele śmieją się z tego, że mam trochę szersze hobby na świecie. To prawda. Chodzę do pracy, a w domu na 8 godzin, by po godzinach móc robić hip-hop.

W jednym z wywiadów Kozak zmieszał Cię z błotem, opowiadając, że po śmierci Magika chciałeś mu sprzedać niepublikowany utwór i żej wynienionego za niebagatelną sumkę 10.000 zł. To prawda?

Nie pamiętam tego wywiadu i nie wiem, co on tam powiedział. Jedno wiem, że nie był moim sprzymierzeńcem a Kozak stał się moim wrogiem. Nie leży Krzyżowski na wątrobie fakt, że oświadczyłem publicznie, że nie zapłacił mi za płytę. To podważa jego autorytet, jako wydawcy. Dziwne jest to, że wszyscy ze „starej gwardii” od niego odeszli. Spytaj ich dlaczego. Swoją nową fortecę KNT próbuje budować promując nowe twarze i lansując się na hip-hop forum dla nastolatków. A może to dobry nich, bo to oni kupują płyty?

Ostatnio także Deliś (szef wytwórni T-1 Teraz - przyp. red.) nawrzucał Ci w pewnym felietonie...

Ta sprawa jest dość złożona. Wszystko zaczęło się od tego, że wysłałem Mateuszowi z Konkretu kilka moich „muzyk”. Były to proste pętle, raczej coś w rodzaju szkicu. Prosiłem Mata, by nie rozpowszechniał tego materiału dalej. Mimo tego, płyta z moimi podkładami, nie wiem czemu, dotarła do Deliśa. On skrytykował moje pomysły, mówiąc, że nie da się do nich rymować. Ciekawe, bo do tych samych „muzyk”, oczywiście w bardziej rozbudowanych formach, powstało już kilka znakomitych nagrań. Krytyka Deliśa

była zbyt pochopna a tak naprawdę nie powinien w tej formie tych bitów nigdy usłyszeć. Tym bardziej, że nie znam Arka osobiście i chyba go nigdy nie widziałem na oczy.

Masz jeszcze jakieś antypatie na tej scenie?

To nie tak, że sympatia, czy antypatia. W zasadzie, znając Krzyśka, było to do przewidzenia. Liczyłem się z tym, że nie powiem, że się spodziewałem takiego obrotu sprawy.

Co do innych antypatii, pomimo tak napiętego polskiego rynku, udało mi się unikać kolejnych spięć. Zakończyłem ostatnio kilka konkretnych przypadków, kiedy zawiodłem się z osobami „z branży”. Najbliższych znajomych, kumpłach... Wiem też, że ja zawiodłem współtwórców płyty HST.

Masz wielu przyjaciół czy raczej samotnika?

Mam wielu przyjaciół, z którymi lubię i imprezuję. Jednak, kiedy produkuję bit czy też gotowy kawałek, potrzebuję maksymalnego skupienia, które zapewnia mi jedynie samotność.

Jak idą prace nad słynnymi jeszcze przed premierą „Efektami Specjalnymi”, wspólną produkcją płytą Twoją i Jaja?

Ciężko było się pozbyć po porażce wydawniczej Hasta. Tymczasowo, drogi współtwórców płyty się rozszedł. To, co mówiłem pół roku temu, że płyta HST to dla mnie „wóz albo grzyb”, to była prawda. Wyszło na to, że „przewóz”. Doszło do tego, że na tę naszą płytę nikt nie chciał wydać a ja musiałem poszukać sobie innej formy pracy. Obecnie pojawiła się nowa opcja wydania legalnie tego materiału. Prace ruszyły szybko. Razem z Jajonaszem mamy zgromadzone kilkadziesiąt nowych podkładów. Jesteśmy na etapie pracy nad koncepcją całości. Chcemy złapać pomysł na płytę, a nie tylko zbierać do kupy kilkanaście kawałków. Niektóre nagrania są już gotowe. W ciągu kolejnych spodziewamy się na dniach. Planujemy skończyć do września. To realny plan.

Znana jest już dokładnie lista gości?

Dokładna lista gości będzie znana w dniu premiery płyty. Zawsze pracuję w ten sposób, że nagrywam więcej niż ukazuje się na płycie. Jedno jest pewne: będzie na tej płycie kawałek Basa pt. „Inwazja”, o który tak wiele osób pyta mnie w mailach. Wiem również, że znajdzie się tam kilku innych wykonawców, na których można jeszcze liczyć, oraz zupełnie nowe głosy.

Coś oprócz „Efektów” zaplanujesz sobie na ten rok?

Tak. Chciałbym spłacić długi. Chciałbym również ukończyć prace nad płytą Mustafarai oraz singlem Basa pt. „Pod znakiem zapytania stanęła długo przygotowywana płyta młodej polskiej kapeli „Przedmowa”. Płyta nagrana w IGS Studio, prawie w całości zrealizowana. Potrzebny jedynie wydawca. Ponad rok temu, po nagraniu „Alchemii”, nie miałem zamiaru robić kolejnej płyty producenckiej. Chciałem wziąć udział we współprodukcji płyt innych artystów. I tak też zostało. Wystąpiłem gościnnie u dAb, TEDE, BORIXONA, PiHa, CNE&WSZ, HST, MCF, itd. W ten sposób zrealizowałem kolejny swój pomysł, kolejny plan. Zajął mi to rok i nie był to rok stracony. Nie dało mi to jednak oczekiwanej satysfakcji. Wszystkie pomysły rozminęły się na drobne, a materiał muzyczny niejednokrotnie stracił spójność. Obecnie chcę się znowu skupić na producenckich albumach. To jest o wiele większa frajda. W najbliższym czasie chciałbym skończyć prace nad epką Basa i wydać „Garaze”, czyli niepublikowane wcześniej, archiwalne nagrania z IGS Studio. Myślę też nad przygotowaniem mojej pierwszej produkcji z '98 roku pt. „Monopol na rację”. Zarówno „Garaze” jak i „Monopol...” byłyby w całości dostępne w formacie MP3 na mojej stronie: www.igs.prv.pl. Później, zaraz po „Efektach”, chciałbym rozpocząć prace nad nowym moim albumem pod roboczym tytułem „Na kredyt”.

Wiążesz swoją przyszłość z robieniem muzyki, czy masz coś w zanadrzu, na przykład w wysłanki wypadek?

Na wszelki wypadek mam doświadczenie z wyróżnieniem Politechniki Śląskiej, tytuł magistra inżyniera i kilka zdanych amerykańskich egzaminów z nowoczesnych technologii sieciowych firmy Cisco. Do tego leć na karku i dwie ręce do roboty.

Jesteś osobą ambiczną?

Zdecydowanie tak. Jestem spod znaku Byka i jak każdy byk jestem ambiczny, czasem do przesady. Każdy normalny człowiek, po tylu porażkach związanych z robieniem muzyki, dałby sobie już dawno z tym spokój. Ja znoszę to spokojnie, jak KNT mnie bluzga, jak Deliś jedzie po mnie jak po burej suce. Mam to w dupie.

Tvoja największa życiowa porażka?

Nie odbieram tego jako życiową porażkę, ale zrobiłem zły ruch wydając „Alchemię” w RRX i kolejny błąd wydając samemu HST. Chciałem dobrze, wyszło źle.

Jak wyobrażasz sobie piekło?

Piekło? Taka wielka brama, wejście z napisem: „NO HIP-HOP”.

A niebo?

Taka sama brama, tylko napis: „HIP-HOP ONLY”.

Gdzie Ty pójdziesz po śmierci?

To chyba proste. (Śmiech)

Rozmawiał: Dobry Piotrek

PODEJRZANY

Opis: Świetny i genialny obsadowo (Freeman, Hackman, Bellucci, Jane) thriller. Szanowany prawnik, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w małym miasteczku, podejrzany o brutalne morderstwo dwóch młodych dziewczyn. Cała akcja rozgrywa się podczas jednej nocy na komisariacie, a mimo wszystko obraz hipnotyzuje bardziej niż gros filmów z wybuchami, strzelaninami, widowiskowymi pościgami. Pozycja obowiązkowa, szczególnie w wersji na DVD, gdyż w tak bogate dodatki obfituje bardzo niewiele wydanych w kraju krążków.

Dodatki: filmografie i biografie twórców, reportaż z planu filmowego, wywiady z aktorami i reżyserem, galeria fotografii, zwiastun, reklamówka DVD, zapowiedzi, sprawozdanie z polskiej konferencji prasowej Morgana Freemana.

Dla kogo: fanów ponurych dreszczowców, mistrzowskiego duetu Freeman i Hackman (po raz kolejny po „Unforgiven”), wielbicieli elektryzującego piękna Monici Bellucci.

LENNY LIVE

Opis: Wyreżyserowana przez Marka Seligera światowa trasa koncertowa Lenny'ego Kravitz. Całość trwa ok. 130 minut i robi naprawdę duże wrażenie. Scenografia minimalistyczna, ale charyzma wokalisty, ekstatyczne piski fanek i czysty dźwięk surround sprawiają, że siedząc w wygodnym fotelu przed telewizorem bezproblemowo można się poczuć uczestnikiem niniejszego show.

Dodatki: wywiad z Seligerem, Lennym i jego dziadkiem.

Dla kogo: fanów Kravitz i dobrych koncertów rockowych.

WYŚCIG SZCZURÓW

Opis: Milioner-ekscentryk proponuje losowo wybranej grupie osób udział w wyścigu po wielką kasę. Mistrz komedii, Jerry Zucker, wygrał do tego zadania istną plejadę gwiazd, w większości komediowych: Whoopie Goldberg, Rowana Atkinsona, Johna Cleese, Cubę Goodinga Jr.'a, Jona Lovitza, Amy Smart, Setha Greena, Breckina Meyera. Przednia zabawa.

Dodatki: wywiady z aktorami, zwiastun kinowy.

Dla kogo: miłośników humoru Zuckera, fanów Tedego („Wyścig Szczurów”).

STAFF

Opis: Lexington Steele jako erotyczny odpowiednik Shafta. Różnica między herosami jest w sumie nieznaczna: obaj przystojni, dobrze zbudowani i wchodzą z impetem. Tyle, że metody ich działań są cokolwiek inne...

Dodatki: zwiastuny trzech innych filmów z wytwórni Elephant Channel.

Dla kogo: miłośników niekonwencjonalnych filmów porno.

RAP RULES

Opis: Zbiór kultowych teledysków na jednym krążku, 18 wspaniałych klipów starszych i nowszych; wśród wykonawców: Snoop Dogg, Body Count, Sugacane, King Tee, Słabak, A Tribe Called Quest, Monie Love, Channel Live, Digable Planets, Luniz, Mellow Man Ace, Rappin 4 Tay, Kid Frost, Young MC, Mantronix vs. EPMD, Tag Team, MC Hammer.

Dodatki: brak.

Dla kogo: fanów oldschoolu, kolekcjonerów videoklipów.

WOŻĄC PANIĄ DAISY

Opis: Nagrodzone czterema statuetkami Oscara dzieło Bruce'a Beresforda. Wzajemna niechęć starszej pani do osobistego szofera, stopniowo przeradza się w szacunek, a w efekcie nawet przyjaźń. Doborowa obsada (Freeman, Tandy, Aykroyd) to główny atut tej szalenie sympatycznej komedii obyczajowej, w subtelny sposób ukazującej problem uprzedzeń rasowych. Jak mawiają Amerykanie - „must see!”

Dodatki: zwiastun, ujęcia z planu filmowego.

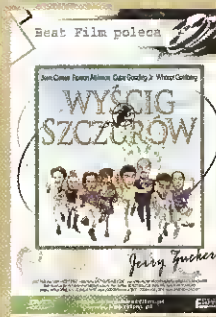
Dla kogo: dla każdego. niezależnie od wieku.



Best Film



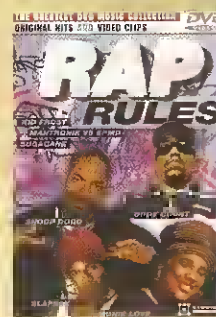
Virgin/Pomaton EMI



Best Film



Elephant Channel



Disky



Best Film

Dobry Piotrek



Let's talk!

Całkowicie zrozumiałe jest zjawisko dyskusji w obliczu zainteresowania pewnej, mniejszej lub większej, grupy ludzi danym tematem. Rzecz to codzienna i powszechna, niejako wpisana w każde zamilowanie, któż z nas bowiem, zachwycony daną płytą, filmem czy książką nie miał ochoty podzielić się swymi wrażeniami z drugim człowiekiem? Nie pomyślał, aby zapytać go o zdanie i dowiedzieć się, czy ten podziela jego entuzjazm, czy wręcz przeciwnie? A jeśli nie, dlaczego? Wymiana poglądów jest jak najbardziej potrzebna, wzbogaca poszczególnych rozmówców, pozwala im poznać odmienny punkt widzenia, przeanalizować czyjeś racje, spojrzeć na omawianą kwestię z innej strony. Pozornie sprawa wydaje się oczywista, łączy nas hip-hop, słuchamy tych samych płyt i tych samych kawałków, mamy więc o czym rozmawiać, a do tego uważamy się przecież za cywilizowanych i kulturalnych ludzi, którym utrzymanie dyskusji na odpowiednim, przyzwoitym poziomie nie sprawia trudności. A jednak uczestnicząc w wielu konwersacjach służących dzieleniu się swoimi spostrzeżeniami na temat muzyki, lub tylko je obserwując (to znacznie bezpieczniejsze, nie kosztuje tyle nerwów), doszedłem do wniosku, że termin taki jak „kultura dyskusji” to u nas najczęściej abstrakcja, sfera marzeń, trudniejsza do osiągnięcia niż cokolwiek innego.

Zacznijmy od formy poszczególnych wypowiedzi, wskazującej zwykle na fascynację podwórkowym prostactwem wymieszane z prymitywizmem, gdzie słowo „kurwa” służy za przecinek, a „zajebisty” czy „chujowy” są jedynymi znanymi wyrazami wyrażającymi emocje. Ja rozumiem, że dla wielu z nas hip-hop jest muzyką prostą i nie skomplikowaną, wolną od urozmaiconej elokwencji, filozofowania i tym podobnych intelektualnych wyzń, ale bez przesady, można wykazać się odrobiną wyobraźni, udowodnić, że opanowało się niezwykle trudną sztukę posługiwania się językiem polskim i wyrażać siebie trochę ciekawiej, może pełniej, choćby po to, by być bardziej obrazowym i uwiarygodnić opinię. Osobiście wolę rozbudowane nawet w niewielkim stopniu wypowiedzi, pozwalające lepiej zrozumieć, co autor miał na myśli, od krótkich, jednocześnie obowiązkowo wulgarnych uwag, które zmuszają do posądzenia polskich hip-hopowców o przerwania się infantylizmem (choć dla nich podobne wystawianie się to oznaka nie-infantylizmu właśnie). Ręce opadają, gdy nieraz czytam wypociny (inaczej tego nazwać nie można) rodzimych rap-fanów. A przecież już w wieku nawet 14 czy 15 lat można pokusić się o minimalne wzbogacenie zasobu słów oraz stwierdzeń (książki chyba są pod ręką?), przydadzą się w życiu, gwarantuję. Nie polecam natomiast, jeśli komuś wieczne wychodzenie na idiotę sprawia przyjemność.

Przejdźmy do kwestii argumentów, którymi posługują się dyskutujący, aby przekonać swoich rozmówców, iż racja leży po ich stronie. Niestety, z przykrością muszę stwierdzić, że polscy fani hip-hopu nie są zbyt wymagający - te najmniej konkretne i rzeczowe bez problemu do nich trafiają, sądząc po olbrzymiej popularności pustostów. Ja jednak przekonać się nie dałem. Jak zareagowalibyście na: „płyta jest dobra, bo tak”? U przedszkolaków, nie radzących sobie jeszcze z tłumaczeniem, dlaczego pałają sympatią do danej kreskówki, a innej nie znoszą, to normalne, ale czy Wy, dojrzały ludzie, nie oczekujecie rozsądniejszej argumentacji? Nie tęsknicie za wskazaniem przyczyn niechęci lub zachwyty daną płytą?

Są rzeczy nie podlegające dyskusji, np. barwa głosu danego rapera, która może się danej osobie podobać lub nie i trudno będzie jej wyjaśnić, dlaczego właśnie tak reaguje. Natomiast tekst, rymy, flow, bity? Na jakość każdej produkcji składają się m.in. te właśnie elementy, chyba potrafimy wskazać, które z nich naszym zdaniem kuleją, a które podnoszą wartość płyty, tym samym - dlaczego odbieramy omawiany materiał tak a nie inaczej. Tymczasem wciąż natrafiam na podstawy opinii typu: „nie podoba mi się, bo jest chujowe”, „zajebiste, bo to przecież Tede” lub nawet „świetna płyta, tylko nie mój klimat”. Bez przesady, klimat też z czegoś wypływa. A szkoda w czymś tkwi, bo tkwić musi. Już niedługo ktoś stwierdzi „dobre, bo to hip-hop”. Tym samym wszystko, co choćby trochę będzie przypominało tą muzykę, będzie zasługiwało na zachwyt z naszej strony. Idea dyskusji upadnie, bo po co dyskutować, kiedy hip-hop z racji na to, że to hip-hop, nie podlega krytyce? Wszystko ma swoje wady i zalety, sztuką wydobyć je na światło dzienne, by wymienić zdań na czymś oprzeć. Na czymś sensownym.

I rzecz chyba najbardziej godna pożałowania - wzajemne stosunki rozmawiających, szczególnie w przypadku odmienności poglądów. Tutaj ponownie odzywa się w nas syndrom nastolatków, którym powyzywanie się z kolegami sprawia nie lada przyjemność, można bowiem zabłysnąć i pochwalić się znajomością arkanów ulicznej nomenklatury: „kretynie”, „debiłu”, „idioto”, czy „cieciu” (oczywiście pozostałem tylko i wyłącznie przy tych delikatniejszych słowach). Zwykle nie musi upłynąć wiele czasu, by poszczególne strony, porzuciwszy pole muzyki, po którym wcześniej stapały, przeszły do prób jak najtrafniejszego oceniania się wzajemnie. Efektem są dysy najniższych lotów, o których stwierdzić „głupie” to za mało (tu w grę wchodzi najprawdopodobniej ograniczenie językowe, o którym pisałem w akapicie pierwszym). Zaraz, dyskutujemy o muzyce, czy nie? Argumenty powinny dotyczyć jej, czy osób, z którymi przyszło nam się werbalnie spierać? Nad tym trzeba by się było zastanowić, nim otworzymy usta czy wstukamy coś na klawiaturze. A wciąż podziwiam wypowiedzi, których fundamentem są cząstki: „co ty pier...”, „głupi jesteś”, itp. bez których można by się w zupełności obejść, skupiając się na tym, co naprawdę istotne i co coś wnosi. Ratujemy się jednak, gdyż z czasem argumenty zaczynają się powoli wyczerpywać. Nieraz związałem się ze śmiechem, czytając internetowe dyskusje, w wyniku których ich uczestnicy zaczęli się umawiać na pojedynki: „jutro o 20:00 pod Mega Clubem!” usłyszał np. Szczecinianin. Autor, składając tą propozycję, pewnie już miał za sobą telefony do wszystkich znajomych z prośbą, by w razie czego pojawili się go wesprzeć.

O gustach się niby nie dyskutuje, jednak to właśnie różnice w poglądach są zachętą do konwersacji i to dzięki nim może ona istnieć. Bardzo mnie cieszy, że hip-hopowcy żywo reagują na poszczególne zjawiska występujące na polskiej scenie i pragną je komentować, oznacza to przecież, że muzyka nie jest im obca ani obojętna. Życzyłbym sobie jednak, by były to dysputy kulturalne, przemyślane i wartościowe, dające każdemu z uczestników szansę wyniesienia z nich czegoś - po to w końcu wprowadza się je w życie. A nie popis do niczego nie prowadzący, poza klótnią, prostactwem. Zabierajmy głos, ale rozsądnie i z głową, zachowując do wszystkiego zdrowy dystans. Do następnego razu.

Keb (Czyste Słowa)

KLANstrofobia

Generalnie lubię Szkotów. William „Braveheart” Wallace, oskarowe alter ego Mela Gibsona, to mój ulubiony bohater. Dowcipy o skapstwie szkockiej nacji też nie należą do tych najgorszego sortu. Jednak jedno mam celtyckiej rasie za złe. Są odpowiedzialni za etymologię słowa „klan”, którego pierwotne znaczenie to, według Słownika Wyrazów Obcych, „patriarchalny związek rodowy występujący w Irlandii i Szkocji”. Obecnie wyraz „klan” ma oczywiście więcej znaczeń, jednak do rzadkości należą przypadki, kiedy dźwięk tych czterech liter wywołuje u mnie pozytywną reakcję. Co więcej, zapadłem na klanstrofobię. Ta osobliwa choroba objawia się mniej więcej tym samym, co niegdyś słynny „kompleks Lenina”; pamiętacie zapewne doskonale ze starego żartu - gazeta, radio, TV, lodówka - wszędzie Lenin.

Bardzo podobnie jest u mnie z „klanem”. Płyty sygnowane znaczkami Wu-Tang Clan, prócz nielicznych przebysków (GZA), to badziewie jakich mało, czasy 36-ciu komnat minęły chyba bezpowrotnie.

Na TVP1 kilkaset-których odcinek praojca polskich telenowel „Klanu”. Nie dość, że co chwilę ktoś tam umiera, bądź przynajmniej (wersja light) ma/powoduje wypadek. Nie dość, że jedynym bohaterem, który nie zdradził żony/męża jest pies Lubiczów. To jeszcze to rudowłose, nadęte brzydactwo Paschalska emanuje z ekranu tak odpychającym stylem bycia i mierną grą aktorską, że mam ochotę sięgnąć po pilota, ale nie telewizyjnego, a takiego za sterami MIG-29, z poleceniem natychmiastowego zestrzelenia tej britejopodobnej „gwiazdy”.

Przeglądając informacje ze świata w internetowych serwisach, napotkam na wzmiankę, że niesławny Ku-Klux-Klan reaktywuje się i przybiera na sile, tym razem nie tylko na terenach należących do Wujy Sama, lecz także w Europie i stawia sobie za cel tępienie nie tylko czarnoskórych obywateli, ale również azjatów, arabów i innych mniejszości. Ręce opadają...

Opadają także po lekturze lutowego Ślizgu. W piśmie tym, w dziale Hajd Park, boss magazynu Klan, Arek Deliś, poczynił zarzuty pod moim adresem. Po pierwsze, ponoć puściłem przed premierą płytę duetu Pezet/Noon w obieg po Internecie. Otóż nie, skopiowałem płytę, ale tylko jednemu zaufanemu kumpłowi. Wiem, że nie powinienem i przeprosiłem już za to Noona, jednak różnica wg mnie jest znaczna. Zasilić ziomka płytą to nie to samo co umieścić ją na ogólnodostępnym serwerze, jednak pan Deliś tak bardzo oburzył się faktem, że kilka osób będzie miało „Muzykę Klasyczną” za friko (swoją drogą, osoby te to dziennikarze różnych mediów, więc i tak przysługiwały im egzemplarze promo za free, i tak prędzej czy później by ten album dostały), że wszczął dochodzenie. Jakbyście znali jednak bliżej naczelnego Klanu, nie dziwiłobyście się absolutnie, ten człowiek za darmo nie puściłby nawet pawia, a co dopiero płytę koledze...

Po drugie, Arkadiusz insynuuje, iż nieelegancko rozstałem się z Klanem. I tu muszę przyznać, że ma rację. Ja, biedny głupek bez czci i godności, wysłałem tylko maila do Tymona, w którym grzecznie powiadomiłem, iż rozstaję się z Klanem i jasno nakreśliłem powody mego odejścia. A przecież powinienem wynająć Marriott, albo przynajmniej Stodołę i zrobić wielkie pożegnalne party z szampanem, gorącymi mulatkami i wyskakującą z tortu Lisiczką, na którym obściskivalibyśmy się z byłym naczelnym w potoku łez, nucąc radośnie przebój Prodigy „Smek (tała) my bitch up”. Do dziś biję się w piersi, że poprzestałem na mailu. A tak serio, odszedłem z Klanu, gdyż nie czułem się dobrze w gronie dupolizów (chłopaki ciągle zapominają zmienić dumny okładkowy podtytuł z „reprezentujemy kulturę hip hop” na „reprezentujemy kulturę lizania dup”) i nie chciałem się mieszać do polityki, której w Klanie coraz więcej. Może zapatrzyli się za bardzo na kolegów z Albanii, u których równieź wychodzi magazyn Klan, pismo stricte polityczne (zdjęcie obok)? Mniejsza o to, i tak mimo wszystko, bardziej niż klan złożony z Delisia, Pudła i Człowieka o Tysiącu Ksyw, napawa mnie wstrętem inny klan. Tym razem klan dwuosobowy, w którym cholera jasna, znów udziela się nieszczęsny szef T-1. Mowa o klanie SLD. Nie, nie, nie pomieszało mi się nic. Nie mam na myśli Stronnictwa Lewicy Demokratycznej. Chodzi o Sylwestra Latkowskiego-Delisia, biznesową hybrydę, maszynkę do robienia kasy za pomocą skandalu (nie tego Molesty) i wykorzystywania bliźnich. Tych dwóch działa na zasadzie akcja-reakcja i jak tak dalej pójdzie, pewnie za kilka lat będzie się ich kojarzyć jako nierozłączny duet na wzór Jacka i Placka czy Pawła i Gawła. Aruś wprowadził Sylwusia w świat blockersów, Sylwus nakręcił o tym film. Sylwus wypromował filmem Peję, Aruś szczyty się złotą płytą Peji jakby to była jego zasługa. Aruś pisze w superlatywach na łamach Klanu o Sylwusiu, Sylwus realizuje Arusiowi teledyski. Etc., etc. Mam jednak nadzieję, że Arek aż takim idiotą nie jest, żeby bratać się z Sylwestrem na wieki. Przy całej swej chciwości pozostaje bowiem sympatycznym człowiekiem i ostatnią rzeczą jakiej bym mu życzył, to kojarzenia do końca swych dni z Latkowskim.

Jeszcze o tym ostatnim. Nie tak dawno miał miejsce ogromny szum medialny, towarzyszący premierze „Gwiazdora” - dokumentu S.L. o fenomenie lidera Ich Troje. Film miał obnażyć fałszywe oblicze polskiego showbiznu, a jest jednym wielkim pierdolonym zbiorem frazesów i jedyne co obnażył to niesamowitą wręcz zdolność Latkowskiego do manipulacji. W jednej z gazet z wyższej półki sprzedaży prowokujący tytuł: „Kto się boi Sylwestra Latkowskiego?”. No właśnie, kto? Jeśli ktoś wie, proszę o pilny kontakt, bo ja zachodzę w głowę i nie potrafię nikogo wymienić. Ja się boję tylko jednego. Żeby Latkowski nie okazał się Leninem polskiego dokumentu i żebym mógł bez palpitacji otwierać lodówkę. Nasz reżyser z przypadku prowokuje na potęgę i nieuchronnie dąży do tego, by i jemu w przyszłości wystawić celuloidowy pomnik. Jeśli rzeczywiście kiedyś jakiś desperado podjąłby się tego heroicznego czynu, mam już nawet tytuły do wyboru: „Czy leci z nami w kulki?”, „O takim jednym, co ukradł dobry smak”, „Strzelając śmieciem”. A propos strzelania. Nie mogę się już doczekać Nowego Roku. W końcu nie ma to jak wystrzelić racę w Sylwestra...

Dobry Piotrek



Girls Kissing

www.girlskissing.co.uk



WWW.HIPHOP.PL

Włóczęga

WEJDŹ I TWORZ
Z NAMI POLSKI
HIPHOP



NIEZALEŻNY SERWIS HIPHOPOWY